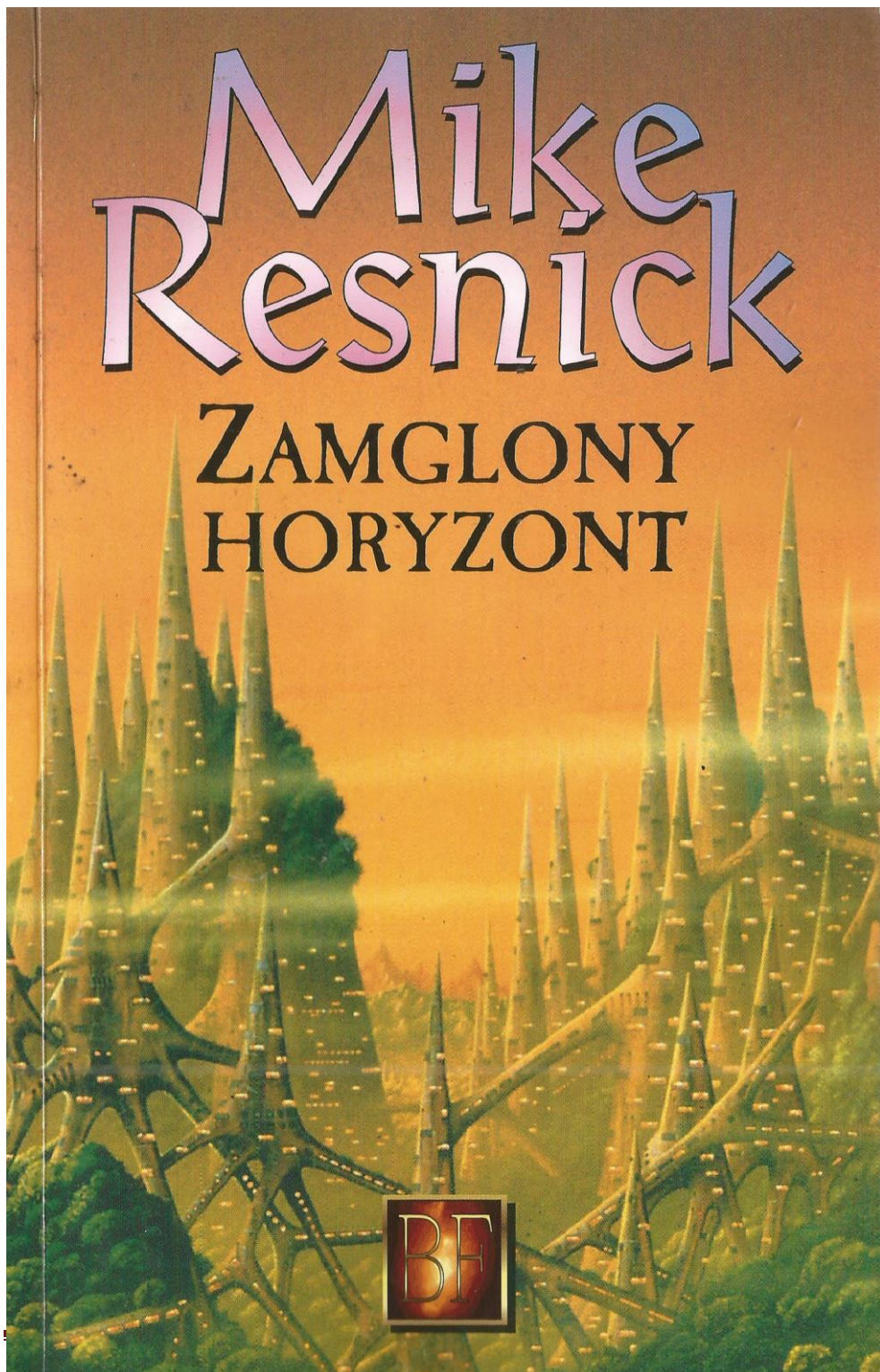


ZAMGLONY HORYZONT

Mike
Resnick

ZAMGLONY
HORYZONT



Biblioteka Fantastyki

87

ZAMGLONY HORYZONT

Mike Resnick
**ZAMGLONY
HORYZONT**

Przełożył
Jarosław Cieśla

Wydawnictwo ALFA
Warszawa 1998

Dla Carol, jak zawsze

Oraz dla wspaniałych Pań z GENie

Pat Cadigan	Beth Meacham
Susan Casper	Lyn Nichols
Kate Daniel	Kristine Kathryn Rusch
Barbara Delaplace	Michelle Sagara
Mary Frey	Josepha Sherman
Esther Friesner	Susan Schwartz
Adrienne Gormley	Janna Silverstein
Lea Hernandez	Janni Simner
Nina Kiriki Hoffman	Martha Soukup
Kij Johnson	Judith Tarr
Katharine Kerr	Jane Yolen
Terry McGarry	Leah Zeldes
Maureen F. McHugh	

których każda z osobna jak i wszystkie razem
stanowią rzadko spotykany cud.

1

Xavier William Lennox człapał wąską, krętą ulicą próbując naśladować niezdatny sposób chodzenia Świetlików. Starał się nie zwracać uwagi na ostry smród gnijącego pożywienia i pieczenie w nozdrzach.

Spojrzał w niebo. Trzy księżycy już wzniosły się ponad horyzont, ale ogromne żółte słońce miało zejść dopiero za dwie godziny. Oznaczało to, że zanim rozpocznie ostatni etap wędrówki do piramidy, będzie musiał pozostać tu jeszcze co najmniej przez godzinę.

Rozejrzał się wokół. Trzy pogrążone w rozmowie Świetliki stały przed trójkątnym wejściem do wzniesionego z mułu budynku. Spowite w kolorowe szaty nie zwracały zupełnie uwagi na upały, który, minuta po minucie, wysysał coraz więcej siły z Lennoxą. Próbował dosłyszeć, o czym rozmawiały, lecz znajdował się za daleko od nich, a nie ośmielał się podejść bliżej; ostatnią rzeczą jakiej potrzebował, był nadmiernie przyjacielski Świetlik zapraszający go do towarzystwa.

Przydreptało do niego jakieś świetlicze dziecko, najwyżej dwuletnie, zupełnie nagie. Promienie słońca odbijały się od jego złocistej skóry, a malutkie, szczątkowe skrzydła trzepotały gwałtownie, całkiem bezsensownie. Lennox odwrócił od niego wzrok w nadziei, że maleństwo przestanie się interesować jego osobą i odejdzie.

Nagle pociągnęło go za kraj szaty.

— *Bebu?* — spytało. — *Bebu?*

— Nie jestem twoim *bebu* — odparł Lennox, z trudnością

wymawiając obce słowa (na szczęście dziecko nie było w stanie uchwycić jego obcego akcentu). — Idź do domu.

— *Bebu?* — powtórzyło małe.

Lennox rozejrzał się znów dokoła, sprawdzając, czy nikt mu się nie przygląda, a potem powoli unióś ramiona i gwałtownie je opuścił. U dzikich, drapieżnych ptaków, które przez tysiąclecia polowały na Świetliki, obecnie bardzo już rzadkich, była to oznaka agresji. Ujrawszy ten gest dziecko cofnęło się instynktownie, a potem popędziło ku zbudowanemu z mułu domowi o ostrych kantach. Był to zapewne typowy dom Świetlików, pozbawiony okien, z tworzącymi dziwaczne kąty ścianami i wysokim sufitem, pokrytym niepojętymi symbolami religijnymi.

W chwilę później przez drzwi wysunęła głowę matka dziecka, po czym, gdy maleństwo wskazało w kierunku Lennox, utkwiała w nim spojrzenie. Po pewnym czasie, uznawszy, że przyjrzała mu się wystarczająco dokładnie, zniknęła we wnętrzu domu, a wtedy palce Lennox, zaciśnięte na ręczce pistoletu, ukrytego pod luźną szatą, rozluźniły swój uścisk.

Kropła potu spłynęła mu po twarzy i po górnej wardze dotarła do jego ust, po niej następna, jeszcze jedna, i nagle zdał sobie sprawę, że jest spragniony. Więcej niż spragniony — groziło mu poważne odwodnienie. Ta myśl wprawiła go we wściekłość. Tyle czasu poświęcił, by przygotować odpowiednio swoje ciało na ów dzień, i oto właśnie poczuł się przez nie zdradzony. Z niepojętych dlań przyczyn (wszak wszystkie istoty oddychające tlenem potrzebowały wody, a Medina była piekielnym miejscem) Świetliki piły — w istocie rzeczy pociągały małe łyżki — jedynie o świcie i o zachodzie. On jednak, ryzykując, że zostanie zdemaskowany, musiał dostarczyć swemu ciału płynu, którego tak bardzo pragnęło, już teraz, gdy słońce stało nadal wysoko

na niebie.

Stąpając powoli wzdłuż ulicy, zaglądał mimo woli do wnętrza każdego mijanego budynku. W każdym ktoś był i świadomość, że musi poczekać na zaspokojenie pragnienia, sprawiała, że tym silniej je odczuwał.

Doszedł wreszcie do końca tej ulicy i znalazł się u zbiegu pięciu innych, jeszcze bardziej krętych — wszystkie były wąskie, wszystkie gęsto zabudowane graniastymi budynkami, których przeznaczenia nie potrafił dociec. Skręcił w prawo — nie dlatego, by sądził, że ma tu większe szanse natrafić na jakieś puste domostwo, lecz po prostu dlatego, że w ten sposób mógł łatwiej znaleźć miejsce, skąd podejmie przeszukiwanie kolejnych mijanych domów — i znowu zaczął sprawdzać budynek za budynkiem. Światliki obu płci i wszelkich rozmiarów gapiły się na niego nie odzywając się doń ani nie okazując żadnego zainteresowania jego osobą.

Być może nawet im jest gorąco, pomyślał, krocząc dalej. Mniej więcej w połowie długości ulicy dotarł do stajni — miejsce, w którym się znajdowała, było ostatnim, w jakim można się było jej spodziewać, więc oczywiście właśnie tu ją zbudowano — i wszedł do środka, zadowolony, że może się skryć przed słońcem, pomimo obcych zapachów, które uderzyły go w nozdrza. Wewnątrz mieściło się dziesięć boksów — siedem po lewej i trzy po prawej — wszystkie o nieregularnych kształtach. Powoli ruszył przejściem pomiędzy nimi, licząc się z tym, że w każdej chwili może zostać zatrzymany.

Nie było jednak nikogo, kto mógłby zagrozić mu drogę. Zauważył, że dwa boksy były puste. Wszedł do jednego z nich, starając się nie zwracać uwagi na ciche beczenie kosmatych, niewiarygodnie szpetnych tutejszych jucznych zwierząt („W po-

równaniu z nimi gnu ze starej Ziemi wydają się uosobieniem gracji i piękna”, powiedział Fallico podczas ich pierwszej wizyty na Medinie), usiadł w kącie tak, iż znalazł się poniżej linii wzroku Świetlików, które mogły ewentualnie przechodzić obok, szybko wyciągnął manierkę, łąpczywie wlał sobie połowę jej zawartości do gardła i przerwał, by zaczerpnąć oddechu. Jeszcze przez moment siedział nieruchomo, rozkoszując się uczuciem ulgi — skończyła się wreszcie udręka żaru i pragnienia — potem opróżnił do końca manierkę i podszedł do koryta, by ją napełnić. Było puste.

Ostrożnie przeszedł wzdłuż przejścia i sprawdził wszystkie koryta. Najwyraźniej wszystkie zwierzęta trzymały się takiego samego rozkładu dnia jak ich panowie; nigdzie nie znalazł nawet kropli wody.

Lennox wrócił do pustego boksu, ukrył manierkę pod ściółką i ruszył z powrotem tą samą drogą, którą przyszedł. W momencie gdy już miał wyjść ze stajni, zobaczył idące w jego stronę dwa Świetliki. W pierwszym odruchu chciał się cofnąć do środka, ale natychmiast doszedł do wniosku, że jeżeli tak zrobi, prędzej zwróci na siebie uwagę niż wtedy, gdy wyjdzie po prostu na ulicę, osłonięty szczelnie swoją długą szatą, zachowując się w sposób możliwie najbardziej naturalny. Podjąwszy decyzję skierował się wprost ku Świetlikom. Wpatrzony w ziemię minął ich, nie zmieniając kroku, a oni przeszli obok w milczeniu, raz tylko nań spojrzawszy.

Poczuł zapach jakichś nieznanych potraw. Dobrze. Świetliki zaczęły przygotowania do wieczornego posiłku. To znaczyło, że słońce zajdzie już lada moment, w ciągu najbliższej godziny temperatura powinna spaść o czterdzieści stopni lub więcej i będzie mógł w końcu przestać się obawiać śmierci z przegrzania.

Nagle zdał sobie sprawę, że czuje wilgoć pod pachami. Cholera! Pomimo wszystkich środków ostrożności, pigułek solnych, zastrzyków adrenaliny, natlenienia krwi, antyperspirantów i luźnego stroju zaczął się na dobre pocić. Pot wylewał się wszystkimi porami jego ciała. Jak prędko plamy zaczną być widoczne? A co ważniejsze, czy Świetliki pocą się kiedykolwiek? Tylu rzeczy o nich nie wiedział; któżby pomyślał, że może zostać zdradzony przez coś tak trywialnego jak pot?

Wsunął się w niszę jakiegoś wejścia, zastanawiając się, jakie ma możliwości wyboru, i w końcu doszedł do wniosku, że nie ma żadnych. Nie po to dotarł tak daleko, by teraz rezygnować, a skoro nie znał żadnego sposobu, który pozwoliłby mu zamaskować plamy, gdy staną się dostrzegalne, na dobrą sprawę mógł przestać się nimi przejmować. Gdyby przyjął nienaturalną pozę, gdyby zaczął sprawiać wrażenie, że coś ukrywa, prędzej zwróciłby na siebie uwagę niż po prostu, śmiało, z udaną pewnością siebie, krocząc pomiędzy Świetlikami. Być może, jeśli nikt go nie obserwował, mógłby pokryć swe szaty kurzem, by wyglądały, jak gdyby dopiero co przyszedł z pustyni. Ale pustynia była czerwona, a miejski kurz brązowy — w rezultacie, gdyby użył tego sposobu, mógłby jeszcze bardziej rzucić się w oczy.

Najlepiej byłoby powrócić do stajni i zaczekać tam, aż słońce zajdzie całkowicie. Zamierzał już właśnie tak postąpić, gdy obok przeszła karawana Świetlików i ich jucznych zwierząt, obładowanych egzotycznymi towarami. Istniała szansa, że gdzieś dalej przy drodze znajduje się następna stajnia, w której zwierzęta zostaną ulokowane na noc, lecz to, co mógł zyskać, nie było warte ryzyka, że zostanie rozpoznany, w wypadku gdyby się przeliczył.

Mały owad usiadł mu na policzku i Lennox instynktownie

trzepnął go dłonią. Jeden ze Świetlików, siedzący na grzbiecie swego szpetnego wierzchowca, odwrócił się i utkwiał w nim uważne spojrzenie.

Co teraz? pomyślał Lennox. Czy nikt z was nigdy nie zabił owada? A potem spróbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział Świetlika reagującego na owada? Nie pamiętał ani jednego takiego wypadku.

Świetlik nadal go obserwował i Lennox poczuł, że powinien zrobić coś, cokolwiek, aby rozwiać podejrzenia tubylca. Rozważał pośpiesznie wszelkie możliwości, poczynając od udawania, że zjada owada, i w końcu, z pewnym niepokojem, zaczął skrupulatnie poprawiać ciężki kaptur swej szaty. Odważył się zerknąć w stronę Świetlika; ów najwyraźniej stracił zainteresowanie jego osobą i znów tępo wpatrywał się w drogę.

Mimo to, dla pewności, Lennox ruszył powoli naprzód i skręcił w najbliższą przecnicę. Prowadziła wzdłuż rzędu szop, w których mieszkali tkacze. Stały tam potężne zbiorniki z barwnikami, wisały suszące się wielkie zwoje przędzy w rozmaitych kolorach: czerwonym i pomarańczowym — barwy plemion pustynnych, brązowym i zielonym — barwy mieszczaństwa, a nawet białym — kasty wojowników, i złotym — kapłanów, wszystkie w różnych odcieniach. Kobiety Świetlików siedziały przy swoich krosnach, tworząc subtelne wzory szybkimi, pewnymi ruchami palców, a ich dzieci tymczasem bawiły się przed domami. Mały, podobny do kota zwierzak wyszedł z którejś szopy i ruszył w poprzek ulicy. Jedno z dzieci rzuciło w niego kamieniem; warknął i popędził z powrotem.

Lennox kroczył ulicą, ignorując dzieci i ignorowany przez nie. Gdy od czasu do czasu jego wzrok napotykał którąś z wiszących przy szopach tykw z wodą, starał się o nich nie myśleć. Nie

miał możliwości by niepostrzeżenie ukraść jedną z nich, zbyt wiele Świetlików znajdowało się wokół. Nasunęło mu to myśl, że warto by sprawdzić, czy nadal się poci. Polizał górną wargę; była wilgotna i słona. Czy plamy potu stały się widoczne? Nie wiedział i nie miał możliwości, by to sprawdzić, lecz skoro dzieci nadal nie zwracały nań uwagi, przyjął, że wierzchnie okrycie pozostało wciąż jeszcze suche.

Popatrzył na dwóch chłopców goniących się po ulicy. Jak oni, do diabła, potrafili tak biegać w tej temperaturze? Ich metabolizm nie mógł być aż tak odmienny, skoro żyli na tlenowej planecie, gdzie istniały warunki umożliwiające życie człowiekowi. A przecież nie pocili się, nie ślinili, nie dyszeli ciężko, nie widać było u nich żadnych oznak oddziaływania upału. Ewolucja i adaptacja, odpowiedział sam sobie, ewolucja i adaptacja. Lecz to nie wyjaśniało faktu posiadania przez nich skrzydeł. Nie mogli latać — sądząc po ich budowie nigdy nie latali — więc po co im one były? I czemu mieli tak długie palce? Jaką rolę w walce o przetrwanie mogły odegrać bezużyteczne skrzydła i palce o czterech stawach?

Powinienem być lepiej odrobić pracę domową.

Ale oczywiście nadrabiał to właśnie teraz. Świetliki nie żyły sobie mieć nic wspólnego z ludźmi. Nie chciały handlować, nie chciały dokonać wymiany ambasadorów. Nie chciały mieć żadnych kontaktów z rozszerzającą się Republiką Człowieka. Pozwoliły ludziom na budowę niewielkiej bazy, dokładnie w samym środku wyprażonej słońcem południowej pustyni, znanej jako Piekielny Piec, lecz żaden człowiek nie miał prawa wstępu do ich miast. To, że Lennox zdołał nauczyć się ich języka, należało właściwie uznać za coś w rodzaju cudu, ponieważ nie było żadnych nagrań radiowych czy telewizyjnych, które

można by studiować i analizować. Stało się tak dzięki temu, że umieszczono go w jednej celi ze Świetlikiem, który zabił czterech ludzi. Musiał z nim stoczyć walkę o życie chyba z pięćdziesiąt razy, zanim współlokator zgodził się zawrzeć rozejm i zaczął z nim rozmawiać. Nawet teraz, gdy starał się, udając Świetlika, dotrzeć do piramidy, zupełnie nie pojmował znaczeń ukrytych w topornych, krzywych kreskach, które uchodziły za pismo Świetlików.

Język mówiony był niewiele lepszy — bardzo prosty i szorstki, przykry dla ucha. Po przełożeniu na ziemski dostrzegano w nim pewien element poezji. Świetliki nazywały Medinę Grotamana, co oznaczało „Dotknięta przez Boga”, a nazwa miasta, w którym się znajdował, Brakkanan, oznaczała dosłownie „Złote pod Koniec Dnia”. Tylko na tej półkuli istniało pięćdziesiąt parę dialektów, lecz na szczęście język, którego się nauczył od współtowarzysza w celi, stanowił mieszaninę składników różnego pochodzenia, coś w rodzaju lingua franca używanego na obszarze tysięcy mil wokół.

Trzy latające owady zaczęły krążyć bzyząc donośnie wokół jego twarzy. Próbował nie zwracać na nie uwagi, lecz po chwili dołączyło do nich kilka następnych.

To musi być sól, uznał. Teraz, już przygotowany na ich natręctwo, był w stanie kontrolować swoje reakcje. Jednakże żadnego ze Świetlików owady nie nękały i jeśliby zleciało się ich zbyt wiele, ktoś mógłby się zainteresować, jaka jest tego przyczyna.

Kroczył dalej i dopiero kiedy oddalił się już znacznie od dzieci, skręcił za róg jakiegoś domu, ukradkiem przesunął dłoń po zasmolonej ścianie budynku i pokrył twarz kurzem i brudem, mając nadzieję, że w ten sposób ukryje przed owadami zapach

potu. Nie pomyślał nawet, jak to zmieni jego wygląd. Jeżeli jakiś Świetlik zobaczyłby jego twarz, nie miałoby znaczenia, czy jest czysta czy brudna — musiałby się już pożegnać z życiem.

W miarę jak słońce zapadało za odległe wzgórza, cienie wydłużały się coraz bardziej i w Lennoxie obudziła się nadzieja, że być może jakoś mu się uda osiągnąć cel. Temperatura zaczęła gwałtownie opadać. Nadal było gorąco, i tak miało pozostać, lecz nie doznawał już uczucia, że się za chwilę roztopi. Pragnienie nie ustąpiło, lecz nadejście ciemności pozwalało mu je w jakiś sposób kontrolować.

Zastanawiał się, jak podejść do piramidy. Ulice pustoszały i wkrótce mogłyby mieć wolną drogę, nie napotkałby żadnych przeszkód ze strony Świetlików. Lecz samotny marsz w tym kierunku zwracałby znaną uwagę, poza tym zupełnie nie wiedział, czego oczekuje się od kogoś, kto tam przybywa, czekał więc w mroku, mając nadzieję, że pozostanie nie zauważony. Zamierzał przedostać się do celu za pierwszą grupą Świetlików, które wynurzą się ze swych domów, by rozpocząć milową wędrówkę.

Najchętniej kucnąłby, oparłszy plecy o ścianę, i przez najbliższą godzinę udawał sen, ale nie miał pojęcia, czy Świetliki sypiały w takiej pozycji — ten, z którym dzielił celę, zdawał się w ogóle nie sypiać — i postanowił nie ryzykować. Nagła cisza i opustoszałe ulice świadczyły o tym, że nie należało też do tujejszych zwyczajów przechadzanie się w ciemnościach, przynajmniej do chwili kiedy wyruszano pod piramidę; stał więc po prostu nadal nieruchomo w mroku, licząc na to, że nikt go nie spostrzeże.

Minęło pięć minut, potem kolejne dziesięć — i wtedy wąską ulicą nadszedł samotny Świetlik. Lennox stał nieruchomo, pró-

bując ukryć wywołane napięciem usztywnienie i sprawiać wrażenie, że jego obecność w tym miejscu jest jak najbardziej uzasadniona.

Świetlik zatrzymał się w odległości około dziesięciu stóp od niego i utkwiał w nim badawcze spojrzenie. Lennox wbił wzrok w ziemię, udając że go w ogóle nie dostrzega.

Wreszcie Świetlik ruszył dalej i właśnie w chwili gdy Lennox zaczął się odprężyć, odwrócił się i powiedział coś w dialekcie, którego Lennox nigdy dotąd nie słyszał.

Patrzył nadal w ziemię i nie odpowiadał. Świetlik podszedł bliżej i powiedział jeszcze raz to samo.

— Nie rozumiem, co mówisz — wymamrotał Lennox w jędynym znanym mu języku tej planety.

— Nie jesteś z Królestwa ani z Legionu — rzekł Świetlik przechodząc na lingua franca.

— Nie, nie jestem — przyznał Lennox, zastanawiając się, o czym tamten mówi.

— Nie jesteś również z Siedmiu.

— To prawda — przyznał Lennox.

— Jest w tobie coś obcego — uznał Świetlik. — Kaleczysz język i nie patrzysz w oczy.

— Od urodzenia mówię niewyraźnie — odrzekł Lennox. — A nie patrzę w oczy, bo wstydzę się swej ułomności.

Odpowiedź zabrzmiała całkiem sensownie, lecz było w niej widocznie coś szalenie niestosownego, gdyż Świetlik natychmiast rzucił się na Lennox, usiłując chwycić go za gardło.

Całkowicie zaskoczony nagłością ataku Lennox w chwilę później musiał walczyć o życie, bo dłonie Świetlika zacisnęły się na jego szyi. Kopnął go potężnie w krocze — unieszkodliwiłoby to każdego przeciwnika będącego człowiekiem, lecz na Świe-

tliku nie wywarło żadnego wrażenia. Wbił mu kciuk pod pachę — wywołało to jęk, lecz nie spowodowało rozluźnienia uchwytu. Usiłując daremnie złapać powietrze Lennox czuł, że coraz bardziej kręci mu się w głowie. Przed oczami zaczęły mu wirować czarne płatki i w końcu uznał, że ma tylko jedną szansę na przeżycie; odpowiedzieć zaskoczeniem na zaskoczenie. Szybko sięgnął dłonią do twarzy i ściągnął do końca oślaniającą ją chustę.

Oczy Świetlika rozszerzyły się gwałtownie.

— Jesteś człowiekiem!

Lennox wykorzystał ten moment by się wyrwać. Nie dał przeciwnikowi czasu na zebranie myśli czy wezwanie pomocy; natychmiast jednym kopnięciem złamał mu lewe kolano, Świetlik jęknął i upadł, a Lennox szybko owinął trzymaną w rękach chustę wokół jego szyi i zaczął ją zaciskać.

Świetlik walczył, chcąc się uwolnić, z początku zaciekle, potem coraz słabiej, w końcu znieruchomiał. Lennox upewnił się, że przeciwnik żyje, potem szybko zaciągnął go w najciemniejszą część ulicy, gdzie związał go i zakneblował jego własną szarfą.

Choć walka była krótka i cicha Lennox wciąż nie mógł uwierzyć, że Świetliki nie wysypują się tłumnie na ulicę, by sprawdzić, co było przyczyną zamieszania, i doszedł do wniosku, że niezależnie od tego czy jest zbyt wcześnie, czy nie, bezpieczniej będzie pójść ku piramidzie niż czekać tutaj. Starając się pozostawać przez cały czas w jak najgęstszym mroku, zaczął iść w kierunku północnym. Czujnie łowił wzrokiem każdy ruch w otoczeniu i wsłuchiwał się w każdy dobiegający go dźwięk, choćby najcichszy.

Gdy znalazł się już poza miastem i przeszedł połowę drogi, usłyszał po prawej stronie odgłosy karawany zmierzającej w tę samą stronę co on. Ukrył się za skałą i obserwował nadchodzą-

cych. Sześciu Świetlików jechało wierzchem, prowadząc jeszcze trzydzieści zwierząt dźwigających ciężkie ładunki, powiązanych uzdami w długi szereg. Słońce już zaszło, więc czterech jeźdźców miało odsłonięte głowy i dłonie. Przypatrywał się im zafascynowany. W blasku dnia Świetliki wyglądały być może niepozornie i nieciekawie, lecz nocą, dzięki jakiemuś składnikowi obecnemu w ich skórze, naprawdę delikatnie świeciły.

Przyszło mu do głowy, że mógłby odciąć ostatnie juczne zwierzę w szeregu, potem uwolnić je od ładunku i dosiąść go, szybko jednak zrezygnował z tego pomysłu. Zwierzęta owe były hałaśliwe i kapryśne, a nie chciał ryzykować, że zostanie wykryty, gdy stworzenie zacznie beczeć w charakterystyczny dla swego gatunku sposób.

Po dotarciu do otaczających piramidę płonących pochodni karawana dawałaby mu wszakże pewną osłonę, a pozostawiane przez nią ślady zatartyby ślady jego własnych stóp. Poczekał więc, aż minie go pierwszych dwadzieścia zwierząt, a potem szybko wyszedł z ukrycia i ruszył u boku dwudziestego pierwszego. Gdy wyczuło jego obecność, oczy rozszerzyły mu się gwałtownie i podrzuciło niespokojnie głowę, lecz nie wydało żadnego dźwięku i szło dalej. Na wypadek, gdyby któryś z sześciu jeźdźców obejrzał się, Lennox trzymał się tak blisko stworzenia, jak to było możliwe, ale uwaga Świetlików skupiła się całkowicie na migocących przed nimi pochodniach.

Karawana zatrzymała się w odległości około ćwierć mili od piramidy i Lennox ledwie zdążył zniknąć w ciemnościach, zanim jeden ze Świetlików przeszedł wzdłuż szeregu, sprawdzając, czy żadne ze zwierząt się nie uwolniło. Potem Świetliki zamieniły szeptem parę słów i ruszyły wzdłuż wyznaczonej pochodniami drogi.

Lennox przyglądał się, jak podeszły na odległość trzydziestu stóp do podnóża piramidy, przyklękły na jedno kolano, wykonały rękami serię dziwnych gestów i zaczęły z wolna okrążyć piramidę w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara.

Szukał wzrokiem jakiejś oznaki obecności kapłana czy przywódcy, lecz jedynymi Świetlikami, które potrafił dostrzec było sześciu członków karawany. Coś tutaj się wyraźnie nie zgadzało. To było najświętsze z ich świętych miejsc: *musiało* się tu dziać więcej, nie mogło się wszystko ograniczać do wędrówki kilku Świetlików po dużym okręgu.

Nagle zdał sobie sprawę, że działo się więcej. Zbliżał się tłum Świetlików z wioski, były ich tysiące, może dziesiątki tysięcy. Maszerowali w stronę piramidy długim rzędem, jeden za drugim, i gdy znajdowali się jeszcze w odległości pół mili, nagle uświadomił sobie, że nie będzie w stanie wtopić się w tę procesję, tak jak dołączył do karawany, ponieważ część z nich niosła pochodnie, a w dodatku, jeśli trzymaliby się tej samej trasy co juczne zwierzęta, to przeszliby w odległości ponad sześćdziesięciu stóp od niego. W żadnym wypadku nie udałoby mu się pokonać niepostrzeżenie takiego dystansu.

Miał dwa wyjścia: mógł poczekać, aż ostatni z nich go minie i pójść za nimi, albo natychmiast, jeszcze przed nimi, podejść do piramidy. Ponieważ nie miał żadnej gwarancji, że któryś z zamykających pochód Świetlików nie będzie niósł pochodni, zdecydował się na drugie rozwiązanie.

Ruszył żwawo w kierunku szlaku, którym, jak się zdawało, Świetliki podążały zupełnie instynktownie, odwrócił się ku piramidzie i szedł dalej wolniejszym krokiem. Gdy dotarł do miejsca, gdzie tamci z karawany przyklękali, uczynił to samo, a następnie spróbował, najlepiej jak umiał, powtórzyć gesty ich rąk. Potem

zaczął okrążyć piramidę, znów naśladowując tamte Świetliki, skróciwszy krok, by mieć pewność, że ich nie dogoni.

Kontynuując swój marsz wokół piramidy w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara, zniknął z pola widzenia nadchodzącego z wioski tłumu, a wtedy przystanął i wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi. Dokonał tego! Pozostało mu tylko poczekać, aż się zjawią wieśniacy; uda, że się potknął, pozwoli paru z nich go minąć, a potem ruszy wraz z nimi tak, by móc naśladować wszystko, cokolwiek będą robić. Nic więcej. Najgorsze miał już za sobą.

Ciągle jeszcze gratulował sobie sukcesu, gdy nagle Świetlik w złotych szatach wyłonił się z ciemności, schwycił go za ramię, obrócił wokół i zdart chustę z twarzy.

— Spodziewaliśmy się ciebie, Xavierze Williamie Lennoxie — powiedział Świetlik, i chociaż wysoki głos dobiegał z obcych ust, Lennox wyczuł w nim złowieszcze nuty.

Jak spod ziemi pojawiły się nagle trzy inne Świetliki i skierowały w jego stronę włócznie o metalowych grotach.

Lennox nie potrafił wymyślić żadnej odpowiedzi, która mogłaby złagodzić sytuację, więc stał po prostu nieruchomo i milczał.

— Wielokrotnie ostrzegano cię, byś się trzymał z daleka od tego miejsca — ciągnął Świetlik. — Powiedziano ci, że nie pozwolimy na takie naruszenie naszej prywatności. Mimo to przyszedłeś. Dlaczego?

— Z ciekawości.

Świetlik wydał z siebie odpowiednik pogardliwego prychnięcia. Był to nieprzyjemny dźwięk.

2

Lennox, ze związanymi na plecach rękami, został poprowadzony do potężnej piramidy, dla zobaczenia której odbył tak długą drogę. Miała około sześćdziesięciu stóp wysokości, a jej gładkie, złote ściany pozbawione były jakichkolwiek napisów czy ozdób. Zdumiewało go, że rasa tak prymitywna jak Świetliki mogła ją zbudować. Zaczął rozważać możliwość, że to jakaś inna, znajdująca się na etapie podróży międzygwiazdnych rasa stworzyła ją a następnie porzuciła, zaś po wiekach, kiedy budowla stała się najświętszym z licznych religijnych monumentów Świetlików, zapomniano o jej pochodzeniu.

— Po to tu przyszedłeś, Xavierze Williamie Lennoxie, czyż nie tak? — spytał Świetlik w złotych szatach, wskazując na piramidę.

— Przyszedłem, żeby obejrzeć całą ceremonię — zgodnie z prawdą odpowiedział Lennox.

— Dlaczego?

— Mówiono mi, że jest piękna i przerażająca zarazem.

— My nie pragniemy oglądać waszych ceremonii religijnych — rzekł Świetlik.

— Powinniście być obecni choćby na jednej — powiedział Lennox. — Mogłaby was zainteresować.

— Wasz Bóg pozwala każdej istocie dowolnej rasy na taką obecność?

— Większość moich współziomków utrzymywałaby, że jest to również i wasz Bóg.

Świetlik zachichotał na swój obcy sposób.

— Niech sobie tak myślą.

— Byłbym szczęśliwy mogąc porozmawiać z wami o naszych religiach — zaproponował Lennox.

— Jestem pewien, że byłbyś — powiedział Świetlik.

Zatrzymali się u stóp piramidy.

— Co zamierzacie ze mną zrobić? — zapytał Lennox, próbując ukryć napięcie.

— Znałeś konsekwencje swojego postępowania, zanim tu przyszedłeś — odparł Świetlik.

— Być może wy powinniście lepiej przemyśleć konsekwencje waszych działań — rzekł Lennox, próbując nadać swemu głosowi autorytatywne brzmienie. — Nie możecie zabić Człowieka i uniknąć odwetu.

— W twojej sytuacji nie możesz nam grozić.

— Nie przybyłem tu, by skrzywdzić kogokolwiek — odparł Lennox. — Przyszedłem sam i nie uzbrojony. Czemu nie moglibyście mi pozwolić, bym obejrzał ceremonię i odszedł w spokoju?

Świetlik przyglądał mu się przez długą chwilę.

— Jesteś tak uparty i głupi, jak mówiono.

Coś pośredniego między szyderczym grymasem a wymuszonym uśmiechem pojawiło się przez moment na twarzy Lennox.

— Taką mam już naturę.

— Twoja natura nie ma tu nic do rzeczy.

Jakiś inny Świetlik, także odziany w złote szaty, zbliżył się do nich na dwadzieścia stóp i gestem ręki przyzwał tego, który schwytał Lennox.

— Jesteś otoczony — powiedział pierwszy Świetlik. — Nie ruszaj się, bo inaczej zginiesz na miejscu.

Powiedziawszy to podszedł do drugiego ubranego w złoty

strój Świetlika i obaj pogrążyli się w ożywionej dyskusji, prowadzonej w niezrozumiałym dla Lennox'a dialekcie. W końcu, po kilku minutach, pierwszy Świetlik powrócił do niego.

— Masz dużo szczęścia, Xavierze Williamie Lennoxie — powiedział. — Moi ludzie zgadzają się, że zabicie ciebie spowodowałyby określone następstwa. Dla mnie nie ma to prawie znaczenia, bo wiem, że mój Bóg będzie nas chronił, lecz są inni, których wiara nie jest tak silna jak moja. Dlatego też, jeśli dasz mi słowo, że opuścisz Grotamanę i nigdy tu nie powrócisz, pozwolimy ci żyć.

Skurwysyn! pomyślał Lennox. *Kupili to. Nie zabiją mnie!*

— Masz je — odpowiedział i zaraz dodał: — po obejrzeniu ceremonii.

— Twoja odpowiedź jest nie do przyjęcia.

— Przekonacie się, że broń moich przyjaciół będzie dla was czymś jeszcze bardziej nie do przyjęcia — odparł Lennox znacząco.

— Nas jest wielu, was mało — zauważył Świetlik. — Być może zabijemy was wszystkich.

— Jeśli to zrobicie, wkrótce, któregoś dnia, wasze niebo pociemnieje od statków Republiki i ani jeden Świetlik, ani jedno zwierzę pociągowe, ani jedna roślina czy kwiat nie przeżyją do zmierzchu.

— Już wyjaśniłem ci, że twoje groźby są bez znaczenia.

— Nie grożę wam — powiedział Lennox. — Ja tylko przepowiadam przyszłość.

Świetlik odwrócił się od Lennox'a i podszedł do swojego towarzysza w złotych szatach. Przez chwilę ponownie prowadzili ożywioną rozmowę, po czym Świetlik powrócił.

— Rozważamy sytuację.

Lennox skinął głową.

— Bardzo mądrze czynicie. — Przerwał na chwilę. — Czy masz jakieś imię?

— Czemu o to pytasz?

— Chcę wiedzieć, komu powinienem dziękować, gdy zostanę uwolniony.

— Nazywam się Chomanche, ale mogę cię zapewnić, że wcale nie będziesz chciał mi dziękować.

Nagie Świetliki zamilkły i zaczęły patrzeć w górę. Lennox poszedł za ich przykładem i na szczycie piramidy zobaczył nagiego Świetlika, którego skóra lśniła bladozłotym blaskiem w ciemności.

— Pozostaniesz w tym miejscu do chwili, aż zdecydujemy co z tobą zrobić — powiedział Chomanche.

— Dokąd mógłbym pójść? — spytał Lennox.

— Nigdzie — rzucił twardo Chomanche. Skinął na dwóch uzbrojonych Świetlików i rzucił krótką komendę. Zanim Lennox zdolał ją przełożyć i pojąć co się dzieje, przebiły mu stopy włócznie.

Zaskoczony Lennox wrzasnął z bólu. Chciał paść na kolana, zrobić cokolwiek, by zmniejszyć nacisk na stopy, lecz Chomanche mocno przytrzymał jego związane na plecach ręce. W końcu skinął głową i Świetliki wyciągnęły włócznie z ciała Lennox. Przeszył go ból jeszcze bardziej okrutny niż w momencie, kiedy mu je wbijały. Gdy Chomanche poczuł, że Lennox pada, puścił jego ręce i pozwolił człowiekowi osunąć się na ziemię.

— Nie musieliście tego robić! — wycharczał Lennox przez zaciśnięte zęby, kiedy krew zaczęła wypływać przez dziury w butach.

— Oczywiście, że musieliśmy — odparł spokojnie Chomanche.

— Nie zamierzałem nigdzie stąd odejść!

— Nie można ci ufać.

Chomanche odszedł o dwa kroki od niego i przeniósł wzrok na samotną postać na szczycie piramidy. Przez mgłę bólu Lennox popatrzył w górę.

Nagi Świetlik stał na samej krawędzi, jakieś sześćdziesiąt stóp ponad nimi, wykonując rękami ruchy, które Lennox przyjął za mistyczne gesty. Nagle zaczął trzepotać swymi szczątkowymi skrzydłami. Po raz pierwszy Lennox widział dorosłego Świetlika poruszającego błonami na plecach. Zgromadzeni wokół piramidy zaczęli śpiewać niskimi, gardłowymi głosami monotonną pieśń. Skrzydła trzepotały coraz szybciej, Lennox nie był już w stanie rozpoznać ich kształtu, i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Świetlik rzucił się w pustkę.

Przez jedną chwilę Lennox myślał, że mógł naprawdę popfrunąć, lecz wówczas tamten zaczął spadać w dół jak kamień, wciąż z szaloną szybkością łopocząc skrzydłami. W połowie drogi odbił się od ściany piramidy, co oddaliło go od niej na piętnaście stóp, i spadał dalej ku ziemi, o którą uderzył z mogącym przypisać o mdłości łomotem.

Wkrótce drugi Świetlik pojawił się na szczycie piramidy, całe widowisko powtórzyło się i legł martwy u jej stóp.

Lennox czekał jeszcze na trzeci występ, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że tłum przestał spoglądać w górę, uznał więc, iż ta część ceremonii — jeśli była to właściwa nazwa tego, co tu widział — już się zakończyła.

Spróbował wstać, lecz ból okazał się zbyt silny i natychmiast, klnąc straszliwie, upadł na ziemię. Chcąc odwrócić swoją

uwagę od przejmującej udręki, zmusił się do myślenia o czymś innym, czymkolwiek innym.

Ceremonia. Skoncentruj się na ceremonii. Spróbuj ją zrozumieć.

Rytualne samobójstwo? Raczej nie. Niewiele wiedział o kulturze Świetlików, ale samobójstwo nie pasowało do okruchów wiedzy o niej, jaką zdobył.

Zaczął odczuwać rwanie w krwawiących stopach.

Skoncentruj się!

Jeśli nie samobójstwo, to co? Jeżeli Świetliki nie zamierzały umrzeć, to musiały wierzyć, że mogą latać. Lecz, oczywiście, nie mogły; miały za ciężkie kości i za słabe skrzydła, o zupełnie nieodpowiedniej budowie. Lecz jeśli... Czyżby to była jakaś próba sprawdzenia, czy jest się czymś w rodzaju mesjasza? I gdyby któryś z nich rzeczywiście poleciał, zostałby przywódcą?

Ale ta hipoteza wydawała się śmieszna. Te skrzydła nigdy nie były w stanie utrzymać w powietrzu ciała Świetlika. Po wiekach, w czasie których Świetliki rzucały się ze szczytu piramidy w objęcia śmierci, musiały zdać sobie sprawę, że żaden z nich nigdy nie utrzyma się w powietrzu.

Ból zaczął znowu wsączać się w jego świadomość. Spróbował ponownie wypchnąć go poza nią.

Obaj skoczkowie byli mężczyznami. Czy miało to jakieś znaczenie? A jeśli tak, to jakie?

A może byli przestępcami? Ale czemu miano by włączać przestępców do ceremonii religijnej?

Jego rozmyślenia przerwał Świetlik w złotych szatach, nie Chomanche, lecz inny, którego nigdy przedtem nie widział, a który zaczął nagle śpiewać wysokim głosem jakąś pieśń. Potem, gdy pieśń zamilkła, wszyscy zgromadzeni puścili się bie-

giem wokół piramidy.

Chomanche natychmiast chwycił Lennox'a za szatę na plecach i zaczął go odciągać od piramidy. Kilkanaście sekund później najszybsze ze Świetlików okrążyły róg budowli i przebiegły przez miejsce, w którym ranny leżał przed chwilą.

— Dlaczego ci dwaj skoczyli z piramidy? — zapytał Lennox.

Chomanche wezwał uzbrojonego wojownika.

— Nasz więzień uparcie zadaje pytania — powiedział. — Powściągnij jego ciekawość.

Świetlik zrobił parę kroków i stanął za Lennoxem. Człowiek usiłował się obrócić, by zobaczyć, co tamten robi, ale Chomanche unieruchomił go, położywszy mu na ramieniu ciężką rękę. Przez moment Lennox myślał, że nie może być nic gorszego niż niepewność, co nastąpi za moment. Potem ostrze spadło na palce jego prawej dłoni i gdy przewrócił się na bok, czując straszliwy ból i przeklinając jego sprawcę, zrozumiał, że się mylił, że rzeczywistość okazała się gorsza niż oczekiwanie.

— Nie masz już więcej pytań? — zagadnął szyderczym tonem Chomanche.

— Lepiej mnie zabij, bydlaku! — warknął Lennox. Krew tryskała mu z kikutów po odrąbanych palcach. — Bo jeśli tego nie zrobisz, wrócę po ciebie, przysięgam!

Chomanche wydał z siebie dźwięk przypominający mlaśnięcie.

— Bardzo powoli się uczysz, Xavierze Williamie Lennoxie.

Skinął na wojownika i Lennox poczuł, że obca ręka chwyta i unieruchamia jego lewą dłoń, a potem ostrze spadło jeszcze raz. Lennox wyrzeszczał przekleństwo, niemal zemdlał, zagryzł wargi aż do krwi i w milczeniu popatrzył na Chomanche.

— Na twoim miejscu, Xavierze Williamie Lennoxie — powiedział Chomanche — trzymałbym język za zębami, dopóki jeszcze tkwi on w twojej głowie.

Lennox poczuł, że ktoś ciasno przewiązuje jego przeguby miękką materią. Opaski nie przecięły skóry lecz były na tyle obcisłe, że powstrzymały strumienie krwi ciekące z pozbawionych palców dłoni. Potem przecięto sznury krępujące mu ręce na plecach i przez moment z bólem przesuwiał ręce do przodu, aż okaleczone dłonie znalazły się przed nim. Chciał je złączyć, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że nie ma już czym tego zrobić. Gdy krwawienie ustało, zadowolił się skrzyżowaniem ramion i wsunięciem dłoni pod pachy.

Ceremonia trwała dalej, rozbrzmiewały modlitwy i pieśni, jarzące się światłem złote ciała tworzyły rytualne układy, lecz Lennox niepomny był tego wszystkiego. Wiedział, że umrze, że będzie konał powoli i w bólu, cząstka po cząstce, męcząc się bardziej, niż sobie to kiedykolwiek wyobrażał w najgorszych koszmarach. Skupił się na nienawiści do Chomanche — to jedno pozwalało mu choć przez moment nie myśleć o bólu.

Dwa Świetliki w złotych szatach podeszły do Chomanche i coś doń zaszepotały. Skinął głową, odpowiedział im, po czym odwrócił się do Lennox.

— Powiedziałeś mi, że przyszedłeś tu sam.

— To prawda — wymamrotał Lennox.

— Uparcie chcesz mnie okłamywać — powiedział Chomanche. — To bardzo nierozsądne.

Niemal niedostrzegalnie skinął głową i spoza pola widzenia Lennox spadł miecz odcinając połowę jego lewej stopy. Chlusnęła krew, nieszczęśnik wydał kolejny wrzask i niemal stracił przytomność.

ZAMGLONY HORYZONT

— Grupa dwudziestu ludzi zbliża się do Brakkananu — podjął Chomanche. — Mogą mieć tylko jeden cel, chcą oczywiście znaleźć ciebie. Gdy przekonają się, że cię tam nie ma, przyjdą tutaj.

— Nic o nich nie wiem — wyszeptał Lennox, któremu tymczasem założono na lewą nogę kolejną opaskę zaciskową.

— Nie możemy im pozwolić tu przyjść — rzekł Chomanche. — Musielibyśmy zabić ich wszystkich, a nie mamy ochoty ściągnąć na Grotamana statków twojej Republiki. Dlatego też znajdą cię w połowie drogi pomiędzy Brakkananem a piramidą, a znalazłszy cię, nie pójdą dalej.

— Zaczną cię ścigać — wymamrotał Lennox.

— Będą mieli dwie możliwości do wyboru — odpowiedział Chomanche. — Albo uratować ci życie, albo dokonać zemsty, pozwalając ci umrzeć. Ponieważ przyszli tu po ciebie, wybiorą pierwszą.

Skinął głową w kierunku dwóch wojowników. Na ten znak każdy z nich chwycił Lennoxa za jedną kostkę u nogi i zaczęli brutalnie wlec go po suchej, spieczonej ziemi.

Nie miał pojęcia, jak długo go ciągnęli ani jak daleko. Wiedział tylko, że z jego pleców zdarta została niemal cała skóra, i że zaciśnięte ciasno na rękach i lewej nodze opaski powodowały straszliwy ból. Zdawało mu się, że od strony piramidy nadal dobiegał śpiew, lecz był tak oszołomiony i bliski utraty przytomności, że nie wiedział czy to nie halucynacje.

— W tym miejscu znajdą cię twoi przyjaciele, Xavierze Williamie Lennoxie — oznajmił Chomanche. — Jeśli będziesz miał dużo szczęścia, to może nawet uda im się utrzymać cię przy życiu.

Lennox nie miał siły odpowiedzieć.

— Widziałeś rzeczy, których nie może zobaczyć żaden członek twojej rasy — ciągnął Chomanche. — Tego nie możemy zmienić, możemy jednak usunąć świętokradcze organy. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Lennox spróbował stanąć na nogi, poczuł obezwładniający ból w resztkach lewej stopy i upadł. Jeden z wojowników obrócił go na plecy a potem, pomimo że resztkami sił rozpaczliwie próbował się uwolnić, przygwoździli mu ręce do ziemi.

— Uspokój się, Xavierze Williamie Lennoxie — powiedział Chomanche. — Jeśli nawet uwolnisz ręce, do czego ci się przydadzą? Czy możesz zacisnąć pięść? Czy możesz chwycić mnie za rękę i odepchnąć?

Lennox znowu zaczął się wrywać wojownikom i jeden z nich wolną ręką unieruchomił mu głowę.

Nagle jakieś ostre narzędzie pojawiło się w dłoni Chomanche. Lennox łudził się, że straci przytomność, zanim dłoń się zbliży, lecz zarazem wiedział, że nie będzie mu to dane.

3

Był nieprzytomny przez trzy dni i majaczył przez następne dwa. Dręczyły go koszmarne sny o lśniących, złotych ostrzach odcinających małe kawałeczki jego ciała. Swędziały go palce, choć nie miał w ogóle palców. W którymś momencie spróbował się obrócić i zdał sobie sprawę, że jest przywiązany do łóżka. Wydawało mu się, że podłączono go mnóstwem rurek i kabli do całej baterii maszyn, lecz nie mógł otworzyć oczu, by je zobaczyć.

W końcu zaczęło docierać do jego świadomości, że ktoś uporczywie poszturkuje go w ramię. Chciał powiedzieć temu komuś, żeby sobie poszedł, że póki śpi, to nic go nie boli i radzi sobie z koszmarami, że chce przespać resztę swojego życia, bo kiedy się ocknie, będzie musiał stawić czoła strasznej rzeczywistości. Szturchanie nie ustawało. Usta miał tak wyschnięte, że język przykleił mu się do podniebienia i nie mógł nic powiedzieć nie oderwawszy go — a nie chciał już doznać ani trochę bólu więcej, żadnego bólu, nawet drobnej przykrości, jaką sprawiłoby mu mówienie. Jęknął i spróbował się odtoczyć w bok, lecz więzy mu to uniemożliwiały.

— Aparatura sygnalizuje, że się pan obudził, panie Lennox — odezwał się kobiecy głos.

Leżał absolutnie nieruchomo, mając nadzieję, że uda mu się oszukać elektroniczne urządzenia.

— Ma pan szczęście, że pan żyje — ciągnął głos.

Koszmary zniknęły, zastąpiły je wspomnienia. To było jeszcze gorsze.

— Co pani rozumie przez „szczęście”? — wymamrotał Lennox.

— Gdybyśmy znaleźli pana dziesięć minut później, już by pan nie żył.

Lennox starał się uwolnić od obrazu noża Chomanche i zbyt był tym pochłonięty, by odpowiedzieć.

— Był pan w bardzo złym stanie.

Powiedz mi coś, czego nie wiem, pomyślał Lennox.

— Widzę drganie pańskich powiek, panie Lennox — powiedział głos. — Proszę, niech pan nie próbuje ich otwierać. Zostały zaszyte dla zapobieżenia infekcji.

Poczuł nagłą chęć poruszenia wszystkimi palcami rąk i nóg

i z trudem jej się oparł.

— Czy czuje pan jakikolwiek ból? — zapytał głos.

Sprawdził szybko i ku swemu zdumieniu stwierdził, że nie czuł żadnego.

— Chyba nie.

— To dlatego, że podaliśmy panu bardzo silne analgetyki — wyjaśnił głos. — One maskują pański ból, lecz nie powinny oddziaływać na pańskie zdolności percepcyjne. Gdy dopasuje się pan do swojej obecnej sytuacji, powinien pan być zdolny myśleć logicznie.

— Jaka jest moja obecna sytuacja?

— Znajduje się pan w izbie chorych statku Republiki, który zmierza do Hipokratesa, ośrodka badań medycznych, krążącego wokół Windsoru V.

— To jest nasza sytuacja — wycharczał. — Jaka jest moja?

— Został pan poważnie okaleczony, panie Lennox — padła odpowiedź. — Odcięto panu część lewej stopy, a obie zostały przebite mieczami lub włóczniami. Brakuje panu trzech palców u prawej dłoni i czterech u lewej. Wykluto panu oboje oczu i odcięto lewe ucho. Powiedziano mi, że znaleziono pana przygwożdżonego do ziemi dwiema włóczniami, którymi przebito pańskie ramiona.

Głos umilkł na chwilę.

— Przeszedł pan trzy operacje i cztery transfuzje. Konieczna była amputacja resztek pańskiej lewej stopy — infekcja rozwinęła się za daleko, a my w końcu walczyliśmy o pańskie życie — i z tego samego powodu musieliśmy usunąć kikuty palców. Najwyraźniej wleczono pana przez piach i kurz z otwartymi ranami; uniknięcie zakażenia było niemożliwe.

ZAMGLONY HORYZONT

— Czy podjęto jakieś kroki odwetowe przeciwko Świetlikom?

— Nie mam pojęcia — odparł głos. — Nie wiem nawet, co to jest Świetlik.

Lennox milczał przez chwilę.

— Jak to się dzieje, że nie odczuwam głodu? Nie jadłem od wielu dni.

— Był pan odżywiany za pomocą kroplówki.

— Czy jest pani moim lekarzem, czy pielęgniarką?

— Jestem jednym z pańskich lekarzy. W tej chwili opiekuje się panem nas sześcioro. — Chwila ciszy. — Jest pan jednym z moich najstawniejszych pacjentów. Czytałam wszystkie cztery pańskie książki.

Kolejna przerwa.

— Uchodzi pan za bardzo nieprzystępnego podróżnika. Jeśli materiały do swych książek zawdzięcza pan takim doświadczeniom, to jestem w stanie zrozumieć, skąd ta opinia.

Lennox skrzywił się.

— Zaczyna mi się kręcić w głowie.

— Pański organizm doznał zbyt wielu wstrząsów i na Medynie, i na sali operacyjnej. Większą część następnego tygodnia pan prześpi.

— Moja rodzina...

— Została poinformowana. Będą na pana czekać na Hipokratesie.

Był pewien, że chciał zadać jeszcze dużo pytań, lecz zasnął, zanim zdołał o nich pomyśleć.

4

Już od pięciu tygodni Lennox przebywał w domu. Większość czasu spędzał na dyktowaniu swojemu komputerowi i redagowaniu tekstu swej najnowszej książki. Opuszczał dom tylko wtedy, gdy należało złożyć kolejną wizytę w miejscowym szpitalu. Lekarze z satysfakcją śledzili tempo, w jakim powracał do zdrowia, a jednocześnie zdumiewali się ciągle faktem, że niezwykły pacjent uparcie odmawia oferowanych mu protez, z wyjątkiem jednego sztucznego oka.

Zatrudnił trzy pielęgniarki, które pracowały na ośmiogodzinne zmiany, lecz po miesiącu przestały mu być potrzebne i zastąpił je grupą zmieniających się co jakiś czas „osobistych towarzyszy”; ich obowiązki polegały głównie na dbaniu o jego posiłki, ubrania i kąpaniu go; stanowili też pierwszą linię obrony przed niepożądanymi gośćmi.

Po zakończeniu pierwszych dwóch rozdziałów książki przesłał je swojej agentce, Angeli Stone, rudowłosej piękności, drugiej z jego trzech byłych żon. Nie zdziwił się, gdy dziesięć dni później pojawiła się na schodach jego domu; polecił swemu „osobistemu towarzyszowi”, by wprowadził ją do gabinetu o wyłożonych boazerią ścianach i pozostawił ich samych.

Angela, ubrana w kostium, który przy każdym jej poruszeniu zdawał się przyjmować inną pastelową barwę, wkroczyła do pokoju. Lennox z przyjemnością i podziwem przyglądał się jej swoim jednym okiem.

— Wiesz, nadal wyglądasz cholernie atrakcyjnie — powiedział na powitanie.

Popatrzyła na niego bez słowa.

— Nie dowierzasz mi.

— Zgadza się.

— Czy nie mogę ci powiedzieć zupełnie szczerze jakiegoś komplementu, żebyś zaraz nie pomyślała, że chcę czegoś w zamian?

— Nigdy przedtem tego nie robiłeś — odparła otwierając teczkę.

Wyciągnęła gruby kontrakt, rzuciła go na stół i usiadła naprzeciwko.

— Jakimż cudem mógłbym to podpisać? — spytał sucho.

— Jeśli chcesz zarobić pieniądze, znajdziesz sposób — odrzekła Angela. W jej głosie nie było nawet odrobiny współczucia. — Na górze masz pokój pełen protez, Xavierze. Odgrywając tragicznego bohatera możesz wyrzeć wrażenie na twoich pełnych uwielbienia czytelnikach, lecz ja wiem lepiej.

Miał jej już odpowiedzieć, lecz powstrzymała go gestem uniesionej dłoni.

— Minęło już pięć tygodni — ciągnęła. — Prasa zdążyła obfotografować cię w tym stanie — wyglądasz, prawdę mówiąc, obrzydliwie — jestem też pewna, że masz już przygotowany absolutnie odrażający portret na obwolucie. Tak z ciekawości, jak długo jeszcze zamierzasz odgrywać kalekiego męczennika i kiedy w końcu zaczniesz używać swoich nowych dłoni i stóp?

— Chcę jeszcze najpierw parę razy wystąpić przed publicznością — odparł Lennox. W przyszłym tygodniu mam wykład na Roosevelcie III, w tydzień później kolejny na Syriuszu V. Sądzę, że mój wygląd przyda mocy temu, co mam do powiedzenia.

— Wątpię — powiedziała Angela. — Krytycy już mają pewne wątpliwości z rozstrzygnięciem, czy zamierzasz uchościć za

ZAMGLONY HORYZONT

uczonego czy też pragniesz wywoływać sensację.

— Kto powiedział, że te rzeczy wzajemnie się wykluczają? — spytał Lennox. — Jedno wspomaga drugie.

— To do mnie mówisz, Xavierze — przypomniała. — Żyłam z tobą przez całe trzy lata, pamiętasz?

— Bardzo mi się opłaciło małżeństwo z własnym agentem — rzekł krzywiąc się Lennox. — Najpierw uczyniłaś mnie bogatym, a potem na odchodnym, wzięłaś sobie połowę moich pieniędzy.

— Nie jesteś człowiekiem, z którym się łatwo żyje — odparła. — Zarobiłam każdy kredyt z tej sumy.

— Tak jak i inne moje żony — powiedział ze smętnym uśmiechem. — Dlatego nie widzę niczego złego w gonieniu za sensacją. Mam mnóstwo rachunków do zapłacenia, a wy, moje trzy panie, siedzicie na moich nieuczciwie przez was zdobytych pieniążkach.

— Bzdury — rzuciła. — Ja cię znam, Xavierze.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał.

— Chcę powiedzieć, że nie ma to nic wspólnego z pieniędzmi. — Umilkła na chwilę. — Przeczytałam te dwa rozdziały, które mi przysłałeś.

— Jak ci się podobały?

— Cholernie mnie przestraszyłeś — odparła ucziwie. — To dlatego tu jestem.

— Świetnie! Nie straciłem jeszcze, jak widzę, talentu.

— Nie to miałam na myśli — powiedziała. — Wracasz, nieprawdaż?

— Wracam? — powtórzył.

— Na Medinę.

— Po tym co mi zrobili? — zdziwił się. — Za żadne pienią-

dze bym tam nie wrócił.

— Nie robisz tego dla pieniędzy, Xavierze — odparła Angela zdecydowanie. — Nigdy nie robiłeś.

— Gadanie...

— Możesz okłamywać samego siebie, ale mnie nie okłamiesz — ciągnęła. — Zbyt dobrze cię znam. Zawsze myślałam, że jesteś po prostu przerośniętym chłopcem, że uwielbiasz wyprawy po przygody i że któregoś dnia dorośniesz.

— Myliłaś się.

— Wiem — przyznała. — Myliłam się w wielu sprawach. Postrzeganie ciebie jako niedojrzałego łowcy przygód było nadmiernym uproszczeniem. — Przerwała i spojrzała mu prosto w oczy. — Sądzę, że tak naprawdę kochasz, Xavierze, jedynie samego siebie... i śmierć. — Uśmiechnęła się kwaśno. — Oto jaki jesteś, ryzykujesz swoim życiem w tych wszystkich obcych światach, a wydawcy w rzeczywistości płacą ci właśnie za to. — Zaśmiała się krótko i sucho. — Jeśliby znali cię równie dobrze jak ja, kazaliby ci za to płacić.

— Psychiatra-amator znowu w akcji — odciął się pogardliwie. — Nie znużyło cię jeszcze analizowanie mnie?

— To przychodzi samo, gdy się ciebie pozna — odrzekła poważnie. — Robiłam to od chwili, gdy nasze małżeństwo zaczęło się rozpadać. Gdyby zainteresowała cię inna kobieta, czy nawet mężczyzna, wiedziałabym, co robić, jak walczyć, żeby ciebie odzyskać. Ale tu chodziło o serię bezimiennych niebezpieczeństw, czyhających na ciebie w światach jeszcze nieobecnych na żadnej mapie — to one były moimi rywalami. Nie wiedziałam jak z nimi konkurować, więc próbowałam dociec, skąd ta mania na ich punkcie.

— W ten sposób zarabiam na życie — oświadczył. — Żadna

z was tego nie rozumiała.

Zanim odpowiedziała, przebiegła szybko wzrokiem po różnych przedmiotach, będących wytworami obcych cywilizacji, którymi obwieszono były ściany gabinetu.

— Inni mężczyźni zarabiali na życie odwiedzając obce światy i opisując po prostu swoje doświadczenia. Tylko ty odczuwałeś ciągle konieczność ryzykowania własnym życiem.

— Właśnie dlatego, że nie prześlizguję się po powierzchni zjawisk, moje książki sprzedają się tak dobrze — wyjaśnił z irytacją. — Ja nie tylko obserwuję mieszkańców obcych światów, ja żyję z nimi. Mieszkam w ich domach, jem ich pożywienie, uczę się ich zwyczajów i wierzeń. Kiedy przeczytasz do końca jedną z moich książek, wtedy wiesz, jaki to świat!

— Naprawdę sądzisz, że to dlatego ludzie kupują twoje książki?

— A jaki może być inny powód?

— Oni są podglądaczami, Xavierze. Nie chcą zdobywać wiedzy o istotach z nieznanymi planet... Chcą twojej opowieści o połknięciu żywego węża na Bareimusie II lub relacji o tej między gatunkowej aferze seksualnej, z powodu której wykopano cię z Gromady Albion. — Przerwała na moment. — Mają gdzieś Świetliki, lecz kupią milion egzemplarzy twojej następnej książki tylko po to, by przeczytać o tym, jak cię okaleczono.

— Dość już tego! — warknął ze złością Lennox, uderzając dłonią o poręcz fotela. — Moje książki są autentyczne i wartościowe. Może musiałem słuchać tych bzdur, kiedy jeszcze byliśmy małżeństwem ale teraz, do cholery, nie muszę. Jeśli ci się nie podoba, to co piszę, zwyczajnie mi to powiedz, wezmę sobie innego agenta!

— Dopóki twoje książki się sprzedają, ja jestem twoim

ZAMGLONY HORYZONT

agentem i to cholernie dobrym agentem — odparła. — Jesteś mi przynajmniej tyle winien za całe piekło, które przeszłam przy tobie.

— Jeśli nie zamierzasz zerwać naszych powiązań zawodowych, to o co ci w ogóle chodzi?

— Gdybyś nie był tak zapatrzony w siebie, wiedziałbyś, o co chodzi — powiedziała Angela. — Nie chcę, żebyś wrócił na Medinę i tam zginął.

— Kto to mówi? Moja żona czy moja agentka? — spytał sarkastycznym tonem.

— Obie — odparła. — Twoja agentka nie chce, by wyszło jej najlepsze źródło dochodu, a twoja eks-żona wciąż jeszcze odczuwa do ciebie niewielkie przywiązanie, jeden Bóg wie czemu.

— Z twoich wypowiedzi wynikałoby, że jestem przypadkiem psychologicznym. — Uniósł swoje pozbawione palców dłonie. — Ja jestem przypadkiem fizycznym. Nic nie byłoby w stanie zmusić mnie do powrotu.

— Kogo ty chcesz oszukać? — zapytała Angela. — To ja jestem kobietą, którą opuściłeś, by powędrować na Jeffersona III, Nową Ghanę i Cinderblock. Jeśli twój wydawca da ci najmniejszy pretekst po temu, dwie minuty później zaczniesz pakować walizki.

Lennox potrząsnął zdecydowanie głową.

— Nie tym razem. Te bydlaki pokroiły mnie na plasterki.

— Wiem.

— Poprzebijali mnie włóczniami i porzucili na pastwę śmierci — ciągnął, wzdrygnąwszy się mimowolnie. — A ty sądzisz, że po czymś takim chciałbym tam wrócić?

Angela milczała przez chwilę.

— Mówisz szczerze? — rzekła w końcu. — Sądzę, że wró-

cisz tam właśnie dlatego.

— Nie bez odpowiedniego zabezpieczenia.

— A więc myślałeś o tym — rzuciła oskarżycielskim tonem.

— Zastanawiałem się, co zrobiłem źle — odparł zmieszany.

— I jak zrobić to dobrze następnym razem? — dokończyła Angela. — Na miłość boską, Xavierze, na trzech różnych planetach gniją kawałki twojego ciała! Czy to nie dosyć?

— Nie rozumiesz! — podniósł głos. — Żadna z was nigdy tego nie rozumiała!

— To pomóż mi — poprosiła. — Spraw, bym pojęła powab, jaki ma dla ciebie przerażająca śmierć na obcej planecie.

— Myślisz, że wybieram się tam, żeby umrzeć? — krzyknął. — Ja jadę tam, by się uczyć!

— A czego twoim zdaniem, się nauczyłeś?

— Przeczytaj sobie moje książki — odparł uszczypliwie. — Wszystko tam jest napisane, czarno na białym.

— Ja je czytałam. Dowiedziałam się jedynie, że ludzie którzy robią niemądre rzeczy, zazwyczaj płacą za to.

— Ale także coś osiągają! Czy chcesz bym resztę mojego życia spędził w tym pokoju gapiąc się w ścianę?

— Oczywiście, że nie.

— Więc czego ty chcesz?

— Chcę żebyś pisał książki jakie potrafisz pisać — odparła. — Ale nie chcę, żebyś próbował się przekradać do miejsc, gdzie ludziom nie wolno wchodzić, ani żebyś uczestniczył w ceremoniach, których nie wolno im nawet oglądać.

Przerwała i utkwiała wzrok w jego twarzy.

— Powiedz mi, Xavierze, czy kiedykolwiek pojechałeś na planetę, gdzie nie było tabu, które mógłbyś złamać?

— Czasami muszę je złamać, chcąc poznać historię, o którą

mi chodzi.

— Jak na Medinie?

— Właśnie.

— Więc wyjaśnij mi coś — powiedziała. — Zgodnie z twoim rękopisem, zdołałeś najpierw ukraść egzemplarz świętej księgi Świetlików. Pomijając moralną ocenę kradzieży czyjejkolwiek biblii, dlaczego, skoro miałeś już tę księgę w garści, musiałeś koniecznie, ryzykując życiem, dotrzeć do piramidy?

— Nie można zrozumieć Mszy Świętej dzięki samej tylko lekturze Nowego Testamentu — odparł Lennox. — Przerwał na moment. — Widziałem dwóch Świetlików skaczących ze szczytu piramidy w objęcia śmierci i założę się, że w ich biblii nie znajdę niczego, co wyjaśniłoby mi, dlaczego to zrobili.

— Wiem. I właśnie to o co gotów jesteś się założyć tak mnie niepokoi — zamilkła na moment. — Czy po tym wszystkim, co ci zrobili, nie żywisz do nich żadnych wrogich uczuć?

— Tak naprawdę to chyba nie — rzekł Lennox w zamyśleniu. — Musisz zrozumieć, że wtargnąłem na ich terytorium wbrew ich woli.

— Nie powinieneś próbować ich zrozumieć, Xavierze. Powinieneś albo zrobić wszystko, by zapomnieć, że to się w ogóle kiedykolwiek zdarzyło, albo zażądać od floty, żeby obróciła w popiół całą tę przeklętą planetę. Twoja reakcja jest nie-normalna.

Lennox wzruszył ramionami.

— Według mnie jest normalna.

— Wiem. I w tym problem.

— To interesująca kultura.

— To brutalna, barbarzyńska kultura.

— Te cechy między innymi czynią ją tak interesującą.

Westchnęła.

— Chciałabym, żeby ludzie stali się dla ciebie choć w połowie tak interesujący. Pożyłbyś dużo dłużej. — Podniosła się z miejsca. — Przypuszczam, że powinnam pocałować cię na drogę i życzyć ci, byś wrócił z kolejnym bestsellerem, ale nie mogę się na to zdobyć. — Podeszła do drzwi i odwróciła się ku niemu. — Postaraj się tylko nie zachowywać się zbyt nieodpowiedzialnie, kiedy wrócisz na Medinę.

— Powiedziałem ci: nie wracam tam.

— Wiem — odparła. — Ale kiedy to zrobisz, pamiętaj, co mówiłam.

Odwróciła się i wyszła z pokoju.

Lennox przez chwilę wpatrywał się w drzwi, potem wzruszył ramionami, jakby chciał dosłownie zrzucić z siebie rozdrażnienie, które wzbierało w nim w ciągu ostatnich paru minut. W końcu obrócił się do komputera i zażądał wyświetlenia kolejnego tekstu o Medinie.

5

Lennox właśnie zakończył prelekcję na Syriuszu V. Nawet on sam musiał przyznać, że wykład wywarł duże wrażenie. Opisując swoje przygody na Medinie w żywych barwach, podbił audytorium. Teraz nadszedł czas na pytania słuchaczy. Udzielił głosu młodej kobiecie siedzącej w jednym z pierwszych rzędów.

— Co pociąga pana w tych wszystkich obcych światach? — zapytała.

ZAMGLONY HORYZONT

Standardowa Odpowiedź Numer Trzy, pomyślał, zastanawiając się jednocześnie, kiedy rozpocznie się bankiet.

Głośno zaś powiedział.

— Kiedy byłem małym chłopcem, zawsze chciałem zobaczyć, co kryje się za następnym wzgórzem. Teraz chcę zobaczyć, co się kryje za następnym systemem słonecznym.

Zrobił krótką pauzę.

— W przestrzeni kosmicznej istnieją tysiące fascynujących światów. Czy ktokolwiek z was był kiedykolwiek na Doradusie? — Nie odezwał się nikt. — Ja byłem. Jego mieszkańcy nigdy nie stoją nieruchomo. Mają nieprawdopodobnie długie, przypominające szczudła nogi i podążają za słońcem w stronę horyzontu. Nigdy się nie zatrzymują, nigdy nie odpoczywają, nigdy nie widzą ciemności. Pobierają się, rodzą, kochają, nienawidzą i starzeją się, nigdy nie przerywając swej bezkresnej wędrówki.

Albo weźmy na przykład Brozjan z Namatosa VI. Rozmnażają się przez pączkowanie, jak drożdże. Nigdy nie wynaleźli komputerów — w gruncie rzeczy mają jeszcze przed sobą wynalezienie pisma — a mimo to stworzyli nową gałąź matematyki, którą zdołało pojąć zaledwie kilku ludzi. Inny przykład, Dжебеле, inteligentne gady, które zbudowały skomplikowany, dobrze funkcjonujący system społeczny, chociaż zapadają na śpiączkę kiedy spada temperatura.

Jak można, wiedząc o istnieniu takich miejsc i istot, nie chcieć ich zobaczyć na własne oczy?

Jego odpowiedź spotkała się, jak zawsze, z uprzejmym aplauzem, a potem wstał mężczyzna siedzący z boku sali.

— Jeśli żywi pan tak wielki szacunek dla obcych, to czemu stale łamie pan ich prawa?

— Nigdy nie złamałem żadnego prawa obcych — odpowie-

dział stanowczo Lennox.

— Wobec tego użyję, jeśli mi pan pozwoli, innego sformułowania — nie ustępował mężczyzna. — Dlaczego zachowuje się pan w sposób, o którym pan wie, że jest sprzeczny z ich życzeniami?

Kto wpuścił tu tego idiotę? Myślałem, że pytania są selekcyjonowane.

— Jeśli kiedykolwiek mamy żyć w harmonii z naszymi braćmi w rozumie — powiedział — jest rzeczą o zasadniczym znaczeniu, byśmy ich rozumieli. Nie wystarczy, że wiemy, iż nie życzą sobie naszej obecności. Musimy się dowiedzieć, dlaczego tak się dzieje, bo to pozwoli nam zmienić własne zachowanie na tyle, byśmy przestali być niepożądanymi gośćmi.

— Ale czy naruszanie ich prywatności nie umacnia w nich pragnienia, by nie mieć z nami nic wspólnego?

— To nie takie proste — odparł Lennox. — Republika jest dominującą siłą w galaktyce i te inne rasy będą się z nami kontaktować niezależnie od tego, czy im się to podoba, czy nie. Im lepiej je poznamy, tym łatwiej będzie się nam zachowywać w taki sposób, że w końcu nauczą się nas akceptować.

Wychodzę na idiotę! Dlaczego pozwalają mu na zadawanie kolejnych pytań i drążenie tematu?

Jakiś starszy pan wstał, by zapytać o organizację społeczną Świetlików i Lennox z wdzięcznością udzielił mu wyczerpującej odpowiedzi. Potem przeprosił za skrócenie spotkania, wyjaśniając, że jeszcze nie odzyskał w pełni sił, po czym dołączył do gospodarzy i wraz z nimi oczekiwał przy koktajlach na rozpoczęcie bankietu.

Jak zwykle brak palców bardzo utrudniał jedzenie, ale przyszła mu z pomocą pewna śliczna blondynka, która wszystko

dlań kroić i karmiła go jak dziecko. Jedna jego połowa znajdowała w tym przyjemność, druga uznała tę sytuację za śmieszna i dosyć poniżającą.

Był tak czarujący i pełen kurtuazji, jak być należało w tych okolicznościach, a po obiedzie wygłosił krótką mowę, która w rzeczywistości stanowiła reklamę mającej się wkrótce ukazać jego książki. Potem, znów wykorzystując jako pretekst stan swego zdrowia, oznajmił, że chce się wycofać do zarezerwowanego dlań przez sponsorów apartamentu, gdzie zamierza spędzić parę następnych godzin na lekturze lub oglądaniu jakiegoś głupiego programu rozrywkowego. Miał nadzieję, że będzie mógł wyjść o kulach — zwykle dobrze to wypadło na holotafelnie w wiadomościach — lecz zapewniono mu ruchomy fotel na kołach i dojechał na nim do windy, którą wzniósł się jakieś trzydzieści pięter do swego apartamentu. Blondynka upewniła się, że dotarł na miejsce, lecz nie dała mu do zrozumienia, że mogłaby wejść do środka wraz z nim, a on uznał to za niewielką stratę.

Wjechał do luksusowego salonu i wydał polecenie, by rozsunęły się zasłony, a wtedy zobaczył lodowatą, pozbawioną atmosfery powierzchnię rozciągającą się poza kopułą ochronną. Potem połączył się z obsługą hotelu i zamówił na koszt sponsorów butelkę alphardzkiej brandy.

Wyciągnął z torby podróżnej protezę ręki, by za jej pomocą uwolnić się od uroczystego, wytwornego stroju, wziął suchy prysznic i przebrał się w swobodniejszy strój domowy. Gdy wyszedł z sypialni zauważył, że brandy już dostarczono, i nalał sobie kieliszek.

Zainstalowany w pokoju system bezpieczeństwa powiadomił go, że ma gościa, więc sądząc, że blondynka wróciła i nie bardzo

wiedząc, czy go to ucieszyło, czy wręcz przeciwnie, odpiął sztuczną rękę, wsunął ją pod fotel i wydał polecenie otwarcia drzwi. Rozsunęły się, odsłaniając krępa kobietę w średnim wieku, ubraną w surowego kroju szary kostium, którego barwa prawie się nie różniła od barwy jej włosów.

— Pan Lennox?

— Tak. A kim pani jest?

— Nazywam się Nora Wallace. Czy mogę wejść?

Lennox wzruszył ramionami.

— Czemu nie?

— Dziękuję — powiedziała i gdy drzwi zamknęły się za nią, weszła do salonu.

— Nie przypominam sobie, żebym widział panią wśród publiczności — zauważył Lennox.

— Nie było mnie tam.

— Jeśli przyszła pani wręczyć mi honorarium, powinno ono zostać przelane na moje konto.

Zignorowała jego słowa i podeszła do butelki brandy.

— Z Alpharda! — wyraźnie zrobiło to na niej wrażenie. — Nie piłam alphardzkiej brandy od... och, już chyba od czterech lat. Może pięciu. Pozwoli pan?

— Proszę się poczęstować.

— Dziękuję — napełniła kieliszek. — Czy mogę usiąść?

— Proszę czuć się jak u siebie w domu — powiedział Lennox przyglądając się jej uważnie. — Powie mi pani w końcu, kim jest i czemu mam zawdzięczać pani wizytę, prawda?

— Oczywiście — odparła Nora Wallace, siadając na fotelu, który unosił się łagodnie kilka cali nad podłogą. Pociągnęła łyczek brandy. — Ach! Jest tak znakomita jak pamiętałam!

Wpatrywał się w nią w milczeniu.

— Nie przyłączy się pan? — spytała. — Proszę się nie krępować i posłużyć się jakąkolwiek protezą, której pan używa otworzyć butelkę i nalać sobie.

Lennox uśmiechnął się, wyciągnął sztuczną rękę z miejsca, gdzie ją ukrył, szybko założył i podniósł kieliszek.

— Za Medinę — powiedziała unosząc swój.

— A co znowu z Medyną? — zapytał ostro.

— To fascynujący świat.

— Wiem o tym.

— I ma duże znaczenie.

Obrzucił ją szybkim, badawczym spojrzeniem.

— Kim pani jest, u diabła?

Nora rzuciła mu tytanową kartę identyfikacyjną.

— Jestem zastępcą sekretarza w Ministerstwie Spraw Poza-ludzkich. Specjalizuję się w Gromadzie Quinellus.

Milczał.

— Medina znajduje się w Gromadzie Quinellus — podjęła.

— Wiem, gdzie jest Medina.

— Wygląda pan na trochę poirytowanego, panie Lennox — zauważyła z rozbawieniem.

— Jeśli wasze Ministerstwo sądzi, że ocenzuruję cokolwiek z tego, co powiem czy napiszę o swoim pobycie na Medynie...

— Nie zajmujemy się cenzurowaniem.

— No to chcecie, bym coś dodał albo zniekształcił fakty.

— To co pan pisze, panie Lennox, zupełnie nas nie interesuje.

— Więc czego chcecie?

— Przyjechałam właśnie po to, żeby o tym porozmawiać z panem — powiedziała Nora i pociągnęła kolejny łyżeczek brandy. — W zeszłym tygodniu wysłuchałam pańskiego wykładu na Roosevelcie III. Uważam, że pańskie doświadczenia są ogro-

mnie interesujące. — Przerwała na moment. — Uważam też, że są niekompletne.

— Ile jeszcze kawałków powinni mi odrąbać, żebyście byli usatysfakcjonowani? — spytał sarkastycznie.

Nora Wallace uśmiechnęła się.

— Podoba mi się pańskie poczucie humoru, panie Lennox. Żartowanie na temat tego, co się panu przytrafiło, musi być bardzo trudne.

— Zakładam, że do czegoś pani zmierza?

— Oczywiście — zamilkła na chwilę. — Jak by pan przyjął propozycję powrotu na Medinę?

— Poważnie? — spytał zaskoczony.

— Nie przyleciałam tutaj, żeby żartować, panie Lennox — odparła

Nie pozwól, by dostrzegła jak bardzo tego pragniesz. Tylko szalenieć mógłby chcieć wrócić, a rząd nie wchodzi w układy z szaleńcami.

— Ministerstwo Spraw Pozaludzkich nie ma własnych sił zbrojnych — zauważył — a mnie już znają na Medinie.

— A gdybym powiedziała, że mamy sposoby, by ochronić pana? — nalegała. — Byłby pan zainteresowany?

— Być może — powiedział nieobowiązująco. — Czemu wy interesujecie się Mediną?

— Nasze badania geologiczne wykazały obecność sześciu, a może nawet ośmiu złóż diamentów na pustyni leżącej na wschód od Miast znanego jako Brakkanan. Republika chce tam założyć kopalnię.

— Świetliki nigdy na to nie pozwolą.

— Nawet jeśli zaoferujemy im podpisanie umowy dzierżawnej, gwarantującej procent od zysków?

O czym ona mówi, do cholery? Gdzie tu jest miejsce dla mnie?

— Byłoby to dla nich czymś pozbawionym zupełnie znaczenia — odparł Lennox. — Ich gospodarka znajduje się jeszcze na szczeblu handlu wymiennego. Kredyty są dla nich bezużytecznym papierem.

— Do takich samych wniosków doszło nasze ministerstwo — przyznała Nora. — Czy chciałby pan znać odpowiedź Republiki?

— Domyślam się.

— Nie musi się pan domyślać, panie Lennox — powiedziała. — Ministerstwu Spraw Pozaludzkich dano rok na uzyskanie zgody Świetlików na dzierżawę.

— A jeśli odmówią?

— Wówczas Flota wkroczy z takimi siłami, jakie będą niezbędne do spacyfikowania tubylców i ochrony prac inżyniersko-wydobywczych.

— Spacyfikowania — powtórzył Lennox i w jego głosie zabrzmiała nuta pogardy. — Gładki eufemizm na określenie eksterminacji.

— Otóż to — pochyliła się do przodu. — Dlatego zostałam upoważniona do odszukania pana. Słyszałam pana opowiadającego o Medinie. Zdaje się pan nie żywić żadnej urazy wobec Świetlików, ale chcę być z panem całkiem szczerą: jest pan świetnym aktorem i nie mam pojęcia, jakie są pańskie prawdziwe uczucia.

— Nawet gdybyście byli w stanie mnie ochraniać, jestem ostatnim człowiekiem, którego by chcieli wysłuchać.

— Mamy bardzo mało czasu, a pan wie na temat Świetlików więcej niż jakikolwiek inny człowiek. A także, na ile mog-

łam to sprawdzić, jest pan jednym z kilku ludzi mówiących płynnie ich językiem.

— Mają setki języków i dialektów — zaprotestował Lennox. — Ja znam tylko jeden.

— Ten, którym mówią w Brakkanan, prawda? — zapytała.

— Tak.

— I to wystarczy. Będziemy mieli do czynienia ze Świetlikami z Brakkanan.

— Ciekaw jestem, jak możecie oczekiwać ode mnie, że będę prowadził z nimi negocjacje, skoro prawdopodobnie otrzymali rozkaz zabicia mnie na miejscu.

— Powiedziałam panu: mamy sposoby na to, by pana ochronić.

Lepiej żebyś miała rację — bo jeśli złożysz mi propozycję, nie będę umiał odmówić.

— To jest społeczeństwo z kastą wojowników. Konieczny byłby co najmniej uzbrojony po zęby pułk. A jeśli dysponujecie pułkiem, to nie potrzebujecie mnie. O co więc właściwie chodzi?

Norma uśmiechnęła się.

— Jeśli zgodzi się pan pracować dla nas, powróci pan na Medinę sam i nie uzbrojony.

Lennox zaśmiał się cierpko.

— Droga pani, pani jest bardziej szalona niż ja!

Szybka korekta: to prawie niemożliwe.

— Ma pan rację, że gdybyśmy zamierzali użyć siły, pan byłby nam niepotrzebny, panie Lennox. Potrzebujemy pana ze względu na pańską inteligencję i doświadczenie — Przyglądała mu się przez chwilę. — Jeśli pan się zgodzi — dokończyła — proponujemy zainwestowanie w pana ponad stu milionów kredytów.

— Dość tego! — wybuchnął z irytacją. — Myślałem, że przyszła pani z jakąś prawdziwą ofertą. Co to za głupie żarty?

— Pan wybaczy?

— Żadna z moich książek nie przyniosła więcej niż dwa miliony kredytów, a wy nagle zamierzacie zapłacić mi pięćdziesiąt razy więcej? Nie wiem, kto panią z tym przysłał, ale w ten sposób zabiera mi pani tylko mój cenny czas.

— Pan mnie źle zrozumiał, panie Lennox — wyjaśniła cierpliwie. — Nie powiedziałam, że zapłacimy panu sto milionów kredytów. Wzbogaci się pan wystarczająco, sprzedając książkę opartą na własnych doświadczeniach, a gwarantuję, że będą one odpowiednim tworzywem dla bestsellerów. Powiedziałem, że zainwestujemy w pana.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Dowie się pan — zapewniła go Nora.

— To znaczy, że oczekuje się ode mnie, żebym tam po prostu pojechał, dogadał się i wrócił bez jednego zadraśnięcia?

— Powiedziałam, że mamy sposoby, by pana chronić — odpowiedziała Nora. — Nie powiedziałam, że zadanie jest pozbawione ryzyka.

— Nie mam nic przeciwko ryzyku w rozsądnych granicach — powiedział Lennox. — Stanowi element konieczny w moim fachu i zapewnia mi poczytność.

— A więc mogę założyć, że jeśli przekonam pana, iż nie zostanie pan tam natychmiast zaatakowany, to będzie pan zainteresowany powrotem na Medinę?

— Mówi to pani tak, jakby spodziewała się pani, że atak nastąpi, tyle że nieco później — zauważył krzywiąc się z niesmakiem.

— To będzie zależało wyłącznie od pana, panie Lennox.

Nalał sobie kolejną porcję brandy.

— No dobrze, sprawdźmy, czy dobrze wszystko zrozumiałem. Chcecie, abym wrócił na Medinę i spróbował przekonać Świetliki, by zezwoliły Republice na rozpoczęcie prac górniczych. Zamierzacie wydać na moją ochronę sto milionów kredytów, a jednocześnie mam działać sam, bez pomocy armii. Jeśli przeżyję, pozwolicie mi opisać i sprzedać moje doświadczenia. Czy o to chodzi?

— Tak. Czy jest pan zainteresowany?

Wyszczrzył do niej nagle zęby w uśmiechu.

— Do diabła, jestem! — powiedział. — Teraz tylko chodzi o to jak zamierzacie mnie ochraniać?

— Właśnie miałam to powiedzieć — pochyliła się do przodu. — Będziemy musieli działać szybko, ponieważ Republika nie dała nam dużo czasu.

— Z tym może być kłopot — zauważył Lennox.

— Och? Dlaczego?

— Proszę na mnie spojrzeć — powiedział. — Może minąć z pół roku, zanim nauczę się posługiwać tymi wszystkimi protezami, które mam w domu.

Nora Wallace uśmiechnęła się.

— Niech pan o nich zapomni, panie Lennox — powiedziała. — Mamy wobec pana inne plany.

6

Lennox zatrzymał się o kilka stóp od stołu i utkwiał wzrok w ciele Świetlika.

— Prawdziwe? — zapytał.

— Jak najbardziej — odpowiedziała wysoka, koścista kobieta w białym fartuchu laboratoryjnym.

— Gdzie to zdobyliście?

— Oczywiście na Medinie.

— Wiem — rzucił Lennox z irytacją. — Miałem na myśli, jak to zdobyliście.

— Niech pan się nie przejmuj szczegółami, panie Lennox — powiedziała kobieta. — Popatrzyła w dół na ciało Świetlika. — Niezwykłe stworzenia, nieprawdaż?

Lennox nie odpowiedział. Poczł nagły ucisk w brzuchu.

— Interesujący układ mięśniowy — ciągnęła kobieta. — I w żaden sposób nie jestem w stanie zrozumieć powodu istnienia szczątkowych skrzydeł... Na żadnym etapie swej ewolucji te stworzenia nigdy nie latały.

— Po prostu uznajmy, że Świetliki są unikatowymi, zdumiewającymi i budzącymi szacunek istotami. Nora Wallace powiedziała mi, że to pani wyjaśni mi istotne elementy całego procesu, doktor...

— Doktor Ngoni — dokończyła. — Ponieważ będziemy bardzo ściśle współpracować przez długi czas, nie mam nic przeciwko temu, by mówił mi pan Beatrice.

— Wcale nie wiedziałem, że będziemy pracować razem dłużej niż przez to jedno popołudnie — odparł Lennox. — Jeśli potrafi pani nadać planom Nory Wallace cechy prawdopodobieństwa, lepiej od razu przystąpić do rzeczy.

— Zrobię co w mojej mocy — rzekła Beatrice Ngoni, prowadząc Lennox do sąsiedniego pokoju, w którym stało biurko, kilka komputerów i trzy chromowane krzesła. — Zechce pan spocząć.

Lennox usiadł na jednym z krzesel, a Beatrice zajęła miejsce za biurkiem.

— Czekam — powiedział.

— Wiem — odparła. — Powiem panu to, co wiem, lecz musi pan zrozumieć, że proces ten jest dla nas czymś równie nowym jak dla pana.

— Wątpię — rzekł Lennox. — Co do mnie, to po raz pierwszy usłyszałem o nim wczoraj wieczorem.

— Oczywiście wszystko, co zamierzamy zrobić, stanowi po prostu zwyczajne rozwinięcie tego, z czym mieliśmy do czynienia poprzednio — mówiła dalej, zignorowawszy jego uwagę. — Jak pan wie, jestem chirurgiem rekonstrukcyjnym. W innych okolicznościach naprawiałabym uszkodzenia pańskiego ciała i zaopatrywała pana w różne protezy. W pewnym sensie przez następnych parę miesięcy właśnie tym będę się zajmować.

— Ale czegoś takiego nie robiła pani nigdy dotąd.

Uśmiechnęła się.

— Nigdy dotąd żaden człowiek nie miał uchodzić na Medinie za Świetlika.

— Miałem na myśli, że nigdy jeszcze nie przekształcała pani człowieka w obcego?

Potrząsnęła głową.

— Nie. Lecz wyposażaliśmy ludzi w unikatowe protezy, zaprojektowane w taki sposób, by pomagały im w wykonywaniu zawodu.

— W porządku — rzekł Lennox. — Proszę mi powiedzieć, co obejmuje ów proces?

— Czy Nora Wallace jeszcze tego panu nie wyjaśniła?

— Nora Wallace jest biurokratką i działa według własnego programu — powiedział Lennox. — Chcę usłyszeć to od chirur-

ga odpowiedzialnego za operacje.

— Jak pan sobie życzy, panie Lennox — rzekła z głębokim westchnieniem. — Po pierwsze będziemy musieli usunąć pańskie nogi i ręce. Mają zupełnie niewłaściwy układ mięśni i stawów. Zastąpią je protezy identyczne z kończynami Świetlików. Skrócimy również pański tułów i przekonstruujemy stawy biodrowe. Najwięcej roboty będzie z pańską twarzą, ponieważ będzie zawsze odsłonięta. Będziemy musieli zmienić kształt kości policzkowych i szczęk, całkowicie usunąć nos, nadać pańskim oczom kolor taki, jaki mają Świetliki, wydłużyć czaszkę i pozbawić pana wszystkich włosów na twarzy, nawet tych w nozdrzach i uszach.

— Co pozostanie ze mnie prawdziwego? — skrzywił się Lennox.

— Istota pańskiej osoby — mózg, układ nerwowy, serce — nie ulegnie żadnym zmianom. Nie jesteśmy jeszcze pewni, jak wygląda kwestia pańskich organów wewnętrznych. Zachowa je pan, oczywiście, ale być może trzeba będzie wszczepić parę sztucznych.

— Sztuczne organy? — zdziwił się. — Po co?

— By lepiej mógł pan radzić sobie z upałem i niższą zawartością tlenu w atmosferze — wyjaśniła. — Musimy usunąć większość pańskich gruczołów potowych, choć prawdopodobnie pozwolimy panu na pocenie się przez stopy. Konieczna również jest zmiana pańskiego metabolizmu; musi pan móc jeść i pić to samo co Świetliki, inaczej zwracałby pan zbyt dużo uwagi. — Przerwała na moment. — Wyposażymy też pana w mięśnie, dające pewną kontrolę nad skrzydłami. Najtrudniejsza będzie skóra. Według pańskiego opisu w świetle słonecznym wygląda zwyczajnie, ale w mroku może jarzyć się delikatnym bla-

ZAMGLONY HORYZONT

skiem. Przypuszczam, że jest to zjawisko zależne od woli — w pańskim manuskrypcie znajduje się informacja, iż nie wszystkie Świetliki świecą w ciemności. Niestety, te trzy osobniki, które badałam, już nie były do tego zdolne. Nie mam pojęcia co wyzwała tę reakcję, prawdę mówiąc, nie wiem nawet, jak ona wygląda. Jeśli nie uda nam się uzyskać tego efektu za pomocą jakiegoś nieszkodliwego preparatu chemicznego oraz znaleźć sposobu, który pozwoliłby panu pokrywać nim ukradkiem ciało wtedy, gdy pan będzie obserwowany, to bardzo możliwe, że będziemy zmuszeni dać panu również sztuczną skórę.

— A więc mówi pani, że zamierzacie wymienić moje ręce, nogi i skórę, a resztę przekonstruować? — skrzywił się znowu Lennox. — To więcej niż oni zrobili.

— Zamierzamy wymienić również pańskie narządy płciowe, panie Lennox — dodała. — Są zupełnie odmienne od tych, jakie posiada Świetlik.

— Zaraz, chwileczkę...

— Jaki byłby sens tych wszystkich operacji, jeśli miałby pan zachować ludzkie genitalia? — spytała.

Lennox milczał chwilę.

— Zanim przejdziemy dalej, niech mi pani pozwoli zadać jedno pytanie natury praktycznej — powiedział. — Zakładając, że wrócę żywy z Medyny, czy potraficie odtworzyć mnie takiego, jakim byłem przedtem?

— No cóż, i tak, i nie — rzekła Beatrice Ngoni.

— A co to, u diabła, znaczy?

— Nie będziemy mogli przyszyć z powrotem własnych pańskich kończyn i genitaliów, a możliwe też, że jeśli całkowicie usuniemy panu nową skórę, pański organizm nie będzie w sta-

nie wytworzyć nowej. Lecz potrafimy odbudować pana wraz z w pełni sprawnymi kończynami i genitaliami. Sprzęgniemy je z pańskim układem nerwowym i pod każdym względem będzie pan mógł funkcjonować normalnie.

— Pod każdym względem? — spytał Lennox znaczącym tonem.

— Włącznie z seksem — potwierdziła. — W gruncie rzeczy wcale nie wykluczam, iż uzna pan końcowy rezultat za wyraźną zmianę na korzyść. Możemy uczynić pana silniejszym, szybszym i zdrowszym, niż był pan dotąd, i zyska pan w dodatku miłą gwarancję, że nigdy więcej nie złamie pan ręki, ani nogi.

— Jest pani pewna?

Uśmiechnęła się.

— Naprawdę trudne będzie przekształcenie pana w Świetlika. Proszę mi wierzyć, jeśli nam się to uda, bez wątpienia będziemy mogli przekształcić pana z powrotem w człowieka.

— Powiedziała pani „jeśli” — zauważył Lennox. — Jakie są negatywne strony tego całego przedsięwzięcia?

— Powinno to być oczywiste. Do negatywów zaliczyć trzeba ewentualność pańskiej śmierci na stole operacyjnym, a także, jeśli przeżyje pan zabieg — rozpoznania pana na Medinie. — Przerwała na moment. — Panie Lennox, ostatnim razem miał pan naprawdę dużo szczęścia, że udało się pana uratować. Moim zdaniem można spokojnie przyjąć, że kiedy zakończymy już cały proces, to dla ratowania tego, czym się pan stanie, żaden człowiek nie będzie chciał narażać swego życia.

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Ile operacji mam przed sobą?

— Siedem, może osiem, to zależy od skóry — odpowiedziała Beatrice Ngoni. — Każdy zabieg zajmie około dziesięciu go-

dzin i będzie wymagać udziału sześciu do ośmiu chirurgów.

— A kalendarz operacji?

— Zależć będzie od pańskiej na nie reakcji — odparła. — Osobiście najchętniej dałabym panu na dojscie do siebie po każdym zabiegu przynajmniej miesiąc, lecz biorąc pod uwagę termin wyznaczony przez Republikę, sądzę, że to nie wchodzi w ogóle w grę. Jeśli mamy się zmieścić w czasie, to najprawdopodobniej będziemy musieli przeprowadzać operacje co jakieś dziesięć do czternastu dni. Potem nastąpi okres rekonwalescencji, w którym będzie się pan musiał nauczyć żyć i funkcjonować w swoim nowym ciele. Ministerstwo Spraw Pozaludzkich nalega, by udał się pan na Medinę tak szybko, jak to tylko możliwe. — Znowu przerwała na chwilę. — Najpierw jednak, zanim przystąpimy do jakichkolwiek zabiegów chirurgicznych, przynajmniej przez tydzień będzie pan indagowany pod hipnozą.

— Dlaczego?

— Musimy wiedzieć o Świetlikach wszystko, co pan wie, łącznie z tym, co zdążył pan już zapomnieć. Na przykład, nie mamy pojęcia, jak brzmi głos mówiącego Świetlika, nie wiemy więc zupełnie, jak zestroić pańskie struny głosowe.

— Potrafię wam to opowiedzieć bez hipnozy.

— Być może, lecz są również tysiące innych szczegółów. Na przykład, czy kiedykolwiek widział pan Świetlika kichającego, kaszlącego czy mrugającego? Czy mają jakieś nieświadome odruchy? Chodzi o drobiazgi, które mógł pan dostrzec, lecz nie zwróciły pańskiej uwagi. Czy kiedy się zmęczą, dyszą lub sapią? Czy chrapią, kiedy śpią? Jak ostry mają słuch? A węch? Spędził pan jakiś czas w celi z jednym z nich: jak oddają kał i mocz?

— Dobrze, już dobrze, rozumiem, czemu to potrzebne.

— W porządku — powiedziała. — Czy ma pan jeszcze ja-

kieś pytania?

— Tylko jedno. Jakie, według pani, fachowca, są szanse na powodzenie operacji?

— Co pan rozumie pod słowem „powodzenie”?

— Czy przeżyję?

— Powiedziałabym, że ma pan siedemdziesiąt procent szans na przeżycie.

— A czy będę mógł rzeczywiście uchodzić za Świetlika?

— Tu odpowiedź nie jest tak prosta. Chociaż nigdy dotąd nie przeprowadzaliśmy operacji plastycznych o takim zakresie, nie widzę powodu, dla którego rzecz miałaby się nie udać. Ale oczywiście to, czy zostanie pan rozpoznany na Medinie, czy nie, zależy już całkowicie od pana, panie Lennox. My możemy tylko sprawić, że będzie pan wyglądał jak Świetlik, pańską sprawą będzie zachowywać się tak jak on — i albo się to powiedzie, albo nie. — Wzruszyła ramionami. — Może uda się panu żyć wśród nich miesiącami, ale może się pan zdradzić przy pierwszym kontakcie.

Lennox milczał przez dłuższą chwilę, starając się przyswoić sobie wszystko, co usłyszał. W końcu popatrzył na nią ponad stołem.

— Doktor Ngoni, co pani zrobiłaby na moim miejscu?

— Jeśli wziąć pod uwagę, jak pana potraktowali — odpowiedziała Beatrice Ngoni — nawet to, że w ogóle rozważa pan możliwość ponownego znalezienia się wśród nich, uważam za coś całkowicie bezsensownego. Jednakże...

— Jednakże?

— Widziałam pański profil psychologiczny.

— Ooo?

— Wynika zeń, że jest pan wyjątkowo upartym, egocentrycz-

nym i obdarzonym niesłychanie silną wolą człowiekiem, rozkwitającym wręcz wśród niezwykłych zagrożeń, związanych z uprawianym zawodem, mającym w dodatku znikomy instynkt samozachowawczy. Wyciągam z tego następujący wniosek: im dłużej będziemy rozmawiać o niebezpieczeństwach — mam na myśli zarówno same zabiegi chirurgiczne, jak i pańską misję — tym silniej będzie pan pragnął stawić im czoło.

— Przypomina mi pani jedną z moich byłych żon — powiedziała Lennox z pewnym niesmakiem.

— Pan wybacz — zareagowała gwałtownie.

— Nie chciałem pani urazić — wyjaśnił Lennox. — Miałem na myśli tylko jedno: obie zdajecie się reprezentować pogląd, że powinienem nosić kaftan bezpieczeństwa.

— No cóż, ostatecznie okazałby się chyba bardziej wygodny niż ciało Świetlika — powiedziała Beatrice Ngoni. — Z drugiej strony powinnam, jak sądzę, dodać, że moim zdaniem pański profil gwarantuje maksymalne prawdopodobieństwo powodzenia całej misji.

— Dlaczego tak pani uważa? — zainteresował się Lennox.

— Ponieważ obsesja będzie działać na pańską korzyść. Jeśli nie powstrzymało pana okaleczenie, to nie widzę powodu, dla którego miałyby tego dokonać niebezpieczeństwa i przykrości związane z fizyczną transformacją.

— Dokładnie tak to odczuwam.

Wyciągnęła z szuflady kartkę papieru.

— Chciałabym, by przed wyjściem pan to podpisał.

— Co to jest? — zapytał, przyglądając się kartce.

— Oświadczenie zwalniające szpital i Ministerstwo Spraw Pozaludzkich od jakiegokolwiek odpowiedzialności w wypadku pańskiej śmierci w trakcie operacji lub podczas wykonywania

misji. — Umilkła na moment. — Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Tylko jedno — powiedział Lennox, posyłając jej rozbrajający uśmiech. — Czy ma pani pióro?

7

Cholera!

Lennox ciężko upadł na podłogę i teraz leżał tam dysząc z trudem.

— Czy wszystko w porządku, panie Lennox? — spytała Beatrice Ngoni.

— Nie, nie, wcale nie w porządku! — warknął. — Boli mnie w miejscach, o których nawet nie wiedziałem, że je mam!

Skrzywił się.

— Nigdy bym nie pomyślał, że tak trudno będzie nauczyć się chodzić na świetliczych nogach. Nie zauważyłem, by oni mieli z tym jakiegokolwiek kłopoty.

— Oni ćwiczyli to przez całe życie — odparła. — Przez trzydzieści cztery lata chodził pan jak człowiek, a nie jest pan jeszcze choćby w połowie Świetlikiem, nawet teraz. — Stała przed nim. — Potrafi pan sam się podnieść?

— Oczywiście, że potrafię!

— No więc?

— Odpoczywam.

— Będzie pan miał mnóstwo czasu na odpoczynek po na-

stępanej operacji — powiedziała. — Jest sprawą zasadniczej wagi, by pan zaczął panować nad swym ciałem.

— Uczę się tego.

— Leży pan na podłodze.

— Przyzwyczajam się do swojego nowego wzroku — wyjaśnił. — Niech pani spróbuje przyzwyczać się do świata, w którym wszystko co jest niebieskie, stało się szare, a za to widzi się dwa nowe kolory oraz podczerwień w wielu odcieniach.

— Nie powinno to zmienić pańskiego postrzegania kształtów i odległości — zauważyła Beatrice.

— Nie, ale niełatwo się przyzwyczać.

Niepewnie wstał na nogi.

— Ostrożnie — powiedziała Beatrice. — Pochyla się pan za bardzo do przodu.

Poprawił postawę, najlepiej jak umiał.

— Dlaczego mają takie dziwne stawy? — zapytał z niechęcią, wskazując na swoje nogi. — Czemu to służy?

— Świetliki ewoluowały inaczej niż Człowiek — odparła. — Nigdy nie żyły na drzewach. Gdy tylko nauczy się pan utrzymywać równowagę, przekona się pan, że na tych nogach da się biegać szybciej, niż mógł pan to robić kiedykolwiek na swych własnych.

— Byli gatunkiem drapieżnym, czy żerem dla drapieżników? Wzruszyła ramionami.

— Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie czasami jednym, czasami drugim. — Umilkła na chwilę. — Jest pan gotów?

Skinął głową.

— Dobrze — powiedziała. — Proszę znowu zacząć krążyć dookoła pokoju w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Lennox ruszył niezdarnie naprzód.

— Kiedy dostanę moje nowe ręce? — zapytał. — Mam chęć chwytać się różnych przedmiotów, by uniknąć upadku.

— W przyszłym tygodniu — odparła. — Lepiej będzie, jeśli się pan nauczy chodzić bez nich. Jestem pewna, że Świetliki nie pomagają sobie stale w ten sposób zachowywać równowagę, więc nie chcę, by pan nabrał takiego nawyku.

Jeszcze przez godzinę uczył się posługiwać swoimi nowymi nogami, po czym nastąpiła przerwa na lancz.

— Jak panu smakuje? — spytała Beatrice, gdy asystent za pomocą łyżeczki zaczął go karmić papkowatą breją, stanowiącą podstawową dietę Świetlików.

— Da się zjeść — odparł.

— To za mało, panie Lennox — oznajmiła. — Czytałam pańskie książki i doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że jadał pan znacznie mniej smakowite rzeczy. Jednakże dla naszych celów niezbędne jest, by pan nie tylko mógł to zjeść, lecz by pan to lubił.

— To będzie wymagało trochę roboty.

— Mówię całkiem poważnie — powiedziała Beatrice. — Będziemy wprowadzać zmiany w pańskich kubkach smakowych tak długo, aż zacznie pan to lubić.

— To niekonieczne — odrzekł Lennox. — Mogę to jeść tak jak teraz.

— Proszę pomyśleć, panie Lennox — nalegała. — Przewidujemy, że jeśli pańska misja ma się zakończyć sukcesem, niewiele posiłków będzie pan jadł samotnie. Jeśli podadzą panu pożywienie zepsute czy gorzkie, czy takie, które z jakichś przyczyn nie przeszłoby przez gardło żadnemu Świetlikowi, a tylko *pan* tego nie zauważy, lub nie zaprotestuje, to wówczas może się pan zdradzić. — Przerwała i popatrzyła na niego. — Teraz pan ro-

zumie?

Westchnął i skinął głową.

— Niech pani robi, co musi.

— Nigdy nie miałam innego zamiaru.

Lennox zaklął głośno, kiedy znowu mu się nie udało.

— Proszę spróbować jeszcze raz — powiedziała Beatrice Ngoni.

— Świetliki płci męskiej nie zajmują się szyciem ubrań, więc po kiego diabła mam wiedzieć, jak się nawleka igłę? — zapytał ze złością.

— To zwyczajne ćwiczenie koordynacji oka i ręki — wyjaśniła. — Czekam pana jeszcze sporo innych, zanim będzie pan gotów.

— Jest tu tak zimno, że z trudem opanowuję drżenie rąk — powiedział.

— Dobrze — rzekła Beatrice. — Miałam nadzieję, że pan to zauważy.

— Jaka tu jest temperatura?

— Dwadzieścia trzy stopnie Celsjusza.

Odwrócił się do niej.

— Pani żartuje!

— Mówię jak najpoważniej — uśmiechnęła się do niego. — Staje się pan Świetlikiem, panie Lennox.

Obudziło go jakieś mamrotanie. Potrząsnął głową, by pozbyć się sennej złądy, otworzył oczy i zobaczył przed sobą nieznanego mężczyznę w mundurze.

— Dzień dobry, panie Lennox — powiedział nieznajomy. — Jestem major Luis Eduardo Belmonte. — Uśmiechnął się. — Od tej chwili, aż do momentu pańskiego wyjazdu na Medinę, będziemy stale razem.

ZAMGLONY HORYZONT

— Tak? — zdziwił się Lennox, jeszcze nie całkiem rozbudzony. — Dlaczego?

— Ponieważ mówię dialektem brakkanańskim. Jestem pewien, że nie tak biegle jak pan, lecz wystarczająco dobrze, by rozumieć to, co się do mnie mówi i być rozumianym, gdy sam go używam w rozmowie. To są ostatnie słowa, jakie wypowiadam do pana po ziemsku. Od tej chwili, aż do wyjazdu na Medinę, będzie pan mówił wyłącznie tym dialektem — zmienił język. — Czy to jasne?

— Zupełnie jasne — Lennox również posłużył się dialektem brakkanańskim.

— Świetnie — rzekł Belmonte. — Zalecono, by założyć panu maleńki aparacik, który łagodnie... hm... powiedzmy, upomni pana za każdym razem, gdy odezwie się pan po ziemsku. Czy zgodzi się pan na to?

— Jak łagodnie?

— Proszę mówić wyłącznie dialektem, a nigdy się pan nie dowie.

Lennox zastanawiał się przez moment, potem skinął głową przyzwalająco.

— Dobrze, zgadzam się na to.

— Znakomicie — ucieszył się Belmonte. — Z tego co wiem, pańska krtań, język i wargi nie będą operowane jeszcze przez sześć dni, więc do tego czasu nie oczekuję od pana perfekcyjnej modulacji i wymowy.

— Moja znajomość tego języka już przeszła test na Medynie — zauważył Lennox. — Musi mi pan uwierzyć na słowo. Pański akcent jest wręcz koszmarny, więc nie bardzo się pan nadaje do oceniania mojego.

— Mocno powiedziane — zgodził się Belmonte. — W każ-

dym razie od tej chwili będzie się pan porozumiewał z personelem szpitalnym tylko za moim pośrednictwem.

— W porządku — powiedział Lennox. — Jak długo stacjonował pan na Medinie?

— Byłem tam przez niemal pięć lat. Tyle czasu zajęło mi nauczenie się tej odrobiny dialektu brakkanańskiego, jaką znam. Zazdroszczę panu zdolności językowych.

— Czy był pan tam w czasie, gdy miałem swoją pechową przygodę?

Belmonte potrząsnął głową.

— Nie, byłem wtedy na przepustce, ale słyszałem o tym. — Przerwał na chwilę. — Nadal nie mogę uwierzyć, że komuś udało się dotrzeć do piramidy!

— Jak się okazało, dotarcie do niej było łatwiejsze niż powrót — zauważył sucho Lennox.

— O ile wiem, napisał pan już kilka rozdziałów o swych przeżyciach na Medinie — powiedział Belmonte. — Ciekaw jestem, czy będę mógł je kiedyś przeczytać?

— Są w komputerze — odparł Lennox, wskazując na szeszcian jarzący się na jego biurku. — Proszę się nie krępować.

— Dziękuję — rzekł Belmonte. — Z góry się cieszę.

Otarł pot z czoła i rozluźnił mundur.

— Okropnie tu gorąco, prawda?

— Nie zauważyłem — powiedział szczerze Lennox.

— Działają? — spytał Lennox, próbując trzepotać przejrzystymi błonami wyrastającymi z miejsc, w których kiedyś znajdowały się jego łopatki.

— Troszeczkę — odpowiedział Belmonte.

— W ogóle ich nie czuję — poskarżył się Lennox.

Belmonte przetłumaczył jego słowa Beatrice Ngoni.

— To dlatego, że są sztuczną konstrukcją i posługuje się pan mięśniami, których nigdy dotąd pan nie używał. — Zamilkła na moment. — Ściśle mówiąc, mięśniami, których dotąd pan nie miał.

— No to jak...

— Dojść do tego, jak nimi manipulować, może pan tylko w jeden sposób — metodą prób i błędów.

Lennox skupił się.

— Czy tym razem coś się poruszyło? — spytał.

— Jeszcze nie.

Natężył się i wymruczał:

— Jak teraz?

Belmonte potrząsnął głową.

— Napręża pan jedynie ramiona.

— Używam wszystkich mięśni, jakie mam — poskarżył się Lennox. — Muszą być źle połączone.

— Proszę po prostu próbować w dalszym ciągu.

Skupił się znowu.

— Nic — powiedział Belmonte.

— Niech to szlag! Nigdy nimi nie poruszę.

Ale w końcu tego dokonał.

— Co pan o tym myśli? — spytał Belmonte, wskazując na pożywienie Świetlików, które Lennox zjadał.

— Naprawdę całkiem niezłe.

— Jak się to ma do ludzkich potraw?

— Nie jest to stek, ale ujdzie.

Na obiad Lennox dostał stek. Ugryzł dwa kęsy i natychmiast wymiotował.

— Sądzę, że robimy postępy — zauważył Belmonte, a Lennox spojrział na niego z wściekłością swoimi pomarańczowymi

oczami obcego.

— Dobrze — Powiedziała Beatrice Ngoni. — Czas wypróbować pański nowy głos.

— W każdej chwili do usług — odrzekł Lennox.

Odwróciła się do Belmonte'a i spojrzała na niego pytająco.

— Coś jest odrobinę nie tak — powiedział. — Chodzi o ton.

— Na czym to polega?

Belmonte skrzywił się.

— Powinien być... niższy, nie, to niewłaściwe słowo... bardziej dźwięczny.

— Zaraz, zaraz — wtrącił się Lennox. — Powiedziałem tylko jedno zdanie.

— Trochę lepiej? — spytała Beatrice.

— Nie jestem pewien — odpowiedział Belmonte.

— Niech pan rozmawia z nim całe popołudnie, aż straci głos — poleciła. — Jeśli w którymkolwiek momencie ton i barwa wydadzą się panu właściwe, proszę mnie natychmiast wezwać. Będziemy nagrywali całą sesję. Gdy tylko się dowiemy, jak to powinno brzmieć, podczas kolejnej operacji będziemy mogli wprowadzić drobne poprawki.

— Nie mogę mówić przez całe popołudnie — zaprotestował Lennox. — Gardło mnie już boli.

Beatrice zaczęła aż Belmonte przetłumaczy jej tę kwestię, po czym zwróciła się do Lennox.

— Gardło boli pana po operacji, a nie od mówienia w dialekcie brakkanańskim. Kiedy się pan zmęczy, siła i barwa pańskiego głosu zaczną się zmieniać. Wszystko, czego nam trzeba, to żeby major Belmonte poinformował nas, kiedy będzie brzmiał właściwie, nawet przez jedno czy dwa zdania. Wtedy będziemy mogli wprowadzić konieczne poprawki.

— No więc o czym chciałby pan pogadać? — spytał Belmonte gdy zostali sami.

— O torturach.

— Torturach? — powtórzył zdumiony. — Czy ma pan na myśli jakąś konkretną ofiarę?

— Zaczniemy od Beatrice Ngoni.

Następnie przyszła kolej na nowe zęby, potem na dwa organy wewnętrzne, których funkcje pozostały dlań tajemnicą. Kilka-naście sesji poświęcił na przystosowanie się do swych obecnych możliwości widzenia w mroku, przewyższających wielokrotnie możliwości człowieka w tym zakresie. Jego nowe uszy zdolne były do odbierania niesłyszalnych dla ludzi dźwięków.

W czasie przedostatniej operacji wymieniono mu genitalia — ze względów psychologicznych zwlekano z tym tak długo, jak się dało — i zaskoczył wszystkich, nie okazując najmniejszych objawów przygnębienia czy konsternacji z powodu nowego, przypominającego kolec organu.

Świecąca skóra pozostała problemem, i w końcu zdecydowano się dać mu całkowicie nowy naskórek z wbudowanymi regulatorami, mogącymi zwiększać lub zmniejszać intensywność blasku. Przez niemal dwa tygodnie musiał się uczyć posługiwania się nimi. Na koniec wszczepiono mu jeszcze jeden sztuczny organ, który mógł na jego życzenie, w dowolnym momencie, absorbować z owej sztucznej skóry fosforyzujący związek. Opanowanie umiejętności sterowania nim zajęło mu kolejne dziesięć dni.

W końcu jednak, po przeszło pięciu Standardowych Miesiącach Galaktycznych, nowo skonstruowany Świetlik, zwany William Xavier Lennox, został oficjalnie uznany za odpowiednio przygotowanego do wykonania wyznaczonego mu zadania

i znalazł się na statku zdążającym ku odległej Medinie.

Podniecenie, które odczuwał z powodu powrotu na tę planetę, było tylko odrobinę silniejsze od innego przepełniającego go uczucia — radości, że z każdą chwilą oddala się coraz bardziej od Beatrice Ngoni i jej współpracowników.

8

Najpierw zauważył, że chociaż na bladym niebie nie było ani jednej chmurki, a słoneczne promienie padały zupełnie prostopadle na jego głowę, czuł raczej łagodne ciepło niż dokuczliwy żar. Gdy rozpoczął wędrówkę przez pustynię, podeszwy jego stóp zwilgotniały, nie odczuł tego jednak jako czegoś przykrego i z podziwem pomyślał, że jego nowe ciało daje sobie doskonale radę z piaskiem i odległością.

Co za ciało! Przeszedłem dziesięć, może dwanaście mil pod rozżarzoną słońcem i nie jest nawet odrobinę zmęczone. Można by to nawet polubić.

Pod okryciem miał ukrytą manierkę, lecz nawet po dwóch godzinach wędrówki w południowym słońcu nie odczuwał jeszcze pragnienia. Jego sztuczne oczy z precyzją lornety przepatrywały horyzont w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby świadczyć o tym, że ktoś tu mieszka. Nie znalazł niczego, lecz w pewnej chwili dostrzegł oazę, położoną w odległości mniej więcej dziesięciu mil od niego, i skierował się w jej stronę.

Po drodze natrafił na dużego, liczącego niemal dwa cale długości owada, przypominającego skarabeusza. Ludzki instynkt doradzał mu, by pozostawił stworzenie w spokoju, lecz cieka-

wość zwyciężyła: chwycił je długimi szczupłymi palcami. Para żuwaczek wysunęła się nagle z głowy owada, próbując chwycić go za dłoń. Lennox szybko zmiażdżył stworzeniu głowę, a potem, ponieważ odwłok wydawał się miękkki i soczysty, przebił go długim, twardym paznokciem. Na palce wylała mu się ciecz. Odrzucił owada na piasek i oblizał je. Mózg mówił mu, że to obrzydliwe; ciało powiedziało, że ciecz ma dobry smak i że jeśli ją wypije, zapewni organizmowi zapas płynu, który pozwoli mu dotrzeć do oazy.

Gdy przeszedł już trzy mile, zobaczył kilkanaście jucznych zwierząt, a w chwilę później dostrzegł trzy Świetliki siedzące w cieniu drzewa. W pierwszym odruchu chciał skręcić w bok i minąć je z daleka, ale natychmiast uświadomił sobie, że oni z pewnością też go już zauważyli, a poza tym miał przecież nawiązać kontakt z tubylcami, a nie unikać go, szedł więc dalej w ich stronę ani nie przyśpieszając, ani nie zwalniając kroku.

Jeden ze Świetlików coś do niego powiedział. Lennox nie zrozumiał ani słowa.

— Bądźcie pozdrowieni bracia — odparł w dialekcie brakkanańskim. — Czy mogę dzielić z wami cień?

— Prosimy, siadaj — rzekł inny z trójki Świetlików tym samym dialektem. — Gdzie twój *kadeko*?

Kadeko? Co to, u diabła, jest *kadekol*

Lennox dokonał szybko w myślach przeglądu różnych możliwości i uznał, że musi tu chodzić o jego wierzchowca, chociaż nie było to brakkanańskie słowo określające takie zwierzę.

— Złamał dziś nogę.

Mam dodać, że musiałem go dobić? Czy powinienem dźwigać dwadzieścia funtów mięsa kadeko na ramionach?

— Czy długo szedłeś pieszo?

Ile przewędrowałem? Dwanaście mil? Piętnaście? Lepiej podwoić odległość, żeby przypadkiem nie przyszło im do głowy wyruszyć na poszukiwanie tego przeklętego *kadeko*.

W końcu Lennox odwrócił się i wskazał odległe o jakieś dwadzieścia pięć mil skały.

- A dokąd idziesz?
- Do Brakkanan.
- Jesteś z Brakkanan?
- Tak.

Oczywiście, że jestem. Gdyby było inaczej, czemu miałbym mówić tym dialektem?

— Zdawało mi się, że usłyszałem jakby ślad odmiennego akcentu — powiedział Świetlik. — Najwyraźniej się pomyliłem.

— A wy trzej dokąd zmierzacie?

— Najpierw do Borgannan, potem do Brakkanan. Wymieniamy *porst* na *ragush*.

Porst. To był pajęczy jedwab do wyrobu wspaniałych tkanin, przeznaczonych na uroczyście szaty. Ale *ragush*? Nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa.

— Czy mogę się przyłączyć? — spytał Lennox.

— Nie mamy wolnego *kadeko*.

— Pójdę pieszo.

— Nie nadążysz za nami.

— To przynajmniej będę was miał w zasięgu wzroku — powiedział Lennox. — Nie chcę iść samotnie przez nieprzyjazny teren.

— Cała pustynia jest nieprzyjazna dla samotnych wędrowców.

— To, oczywiście, miałem na myśli — rzekł Lennox.

Trzy Świetliki naradzały się przez moment, po czym pozwo-

ZAMGLONY HORYZONT

liły mu towarzyszyć sobie na ile będzie w stanie. Dopiero wtedy przedstawiły mu się. Ich imiona brzmiały Jamarsh, Neshbidan i Sumriche, a pochodziły z odległego miasta Talbedon.

— Ja jestem Dromesche — oświadczył Lennox, pożyczając sobie imię od Świetlika, z którym dzielił celę.

— Czy też jesteś kupcem? — spytał Jamarsh.

Lepiej nie. Nie znam połowy nazw rzeczy, którymi się handluje na tej planecie.

— Nie.

— A więc wojownikiem?

Lepszy byłby obcujący z duchami mistyk, lecz wiem zbyt mało o ich religii. Lepiej wezmę to, co dajecie.

Lennox skinął głową.

— Wojownikiem.

— Gdzie twoja broń?

Widzicie mój miecz i sztylet. Co jeszcze wojownik nosi ze sobą?

— Pozostawiłem ją przy swoim kadeko; za ciężka byłaby do niesienia. Zdobędę nową w Borgannan.

— Gdy ktoś tak marnie uzbrojony wędruje samotnie przez pustynię, ryzykuje bardzo wiele. A gdybyśmy byli *raboni* lub *sevensalil*

Raboni, raboni... słyszał już to słowo. Co oznaczało? Ach, tak — to byli koczujący po pustyni rozbójnicy. *Sevensali?* Tego terminu nie znał, lecz musiał dotyczyć kogoś podobnego.

— Wyjaśniłbym, że przybywam w pokoju.

— *Raboni* nie przyjmują takich wyjaśnień.

Co by teraz powiedział wojownik?

— Więc bym was zabił.

— Mając tylko miecz i sztylet? — zapytał Sumriche.

— Właśnie tak — potwierdził Lennox.

— Jesteś bardzo pewny siebie.

— Przeżyłem wszystkie swoje walki. To każdemu wojownikowi daje pewność siebie.

Proszę, niech ktoś zmieni temat. Pogrążam się coraz głębiej.

Trzy Świetliki znów odbyły krótką naradę na stronie, po czym Jamarsh oznajmił:

— Poprzekładamy juki i pozwolimy ci jechać na jednym z naszych *kadeko*.

Pewny siebie wojownik to, na planecie takiej jak ta, ktoś bardzo przydatny, nieprawdaż? Lennox był zadowolony, że jego usta nie mogły się już złożyć do uśmiechu, bo miałyby poważne trudności by się odeń powstrzymać.

Neshbidan wpatrywał się przez chwilę w nowo poznanego wojownika.

— Jadłeś coś? — spytał w końcu.

— Ostatnio nie — odparł Lennox, który w jednej kieszeni ubrania miał zapas suszonego mięsa wystarczający na trzy dni, lecz chciał go zachować na czarną godzinę.

Neshbidan sięgnął do kieszeni i rzucił mu coś, co wyglądało jak bardzo stara, bardzo pomarszczona gruszka. Lennox przyrzekł się podarunkowi a potem, dobrze wiedząc, że tamci trzej uważnie go obserwują, odgryzł kawałek. „Gruszka” prawie nie miała smaku, lecz pracowicie pożuł i przełknął cały kęs, a potem odgryzł następny. Tym razem smak wydał mu się nieco lepszy, a zanim zjadł ostatni kawałek, uznał, że owoc był całkiem niezły.

— Daliśmy *kadeko* dość czasu na odpoczynek — oznajmił Jamarsh, gdy Lennox skończył jeść. — Do zachodu słońca przejedziemy ponad połowę drogi do następnej oazy.

Jamarsh wskazał, na którym *kadeko* będzie jechał Lennox i trzy Świetliki szybko poprzekładały juki. Mieli dwanaście *kadeko*, lecz tylko te używane jako wierzchowce posiadały coś w rodzaju uprzęży. Lennox przyjrzał się jak tamta trójka dosiada zwierząt, potem zrobił to samo i próbował trzymać pojedynczy rzemień cugli w podobny sposób jak oni. Neshbidan natychmiast zajął miejsce w tyle, a pozostali dwaj dali znak Lennoxowi, że ma jechać na przedzie, obok nich.

Gdy ruszyli, osiem jucznych *kadeko* poszło za nimi, dostosowując krok do kroku ich wierzchowców.

— Będziemy musieli znaleźć bezpieczne miejsce na nocleg — powiedział Jamarsh. — W tej części pustyni jest pełno *raboni*.

— Dlaczego nie mielibyśmy po prostu jechać dalej? — zaproponował Lennox, zastanawiając się, czemu tamci nie przeczekują dziennego upału i nie wędrują nocą, kiedy trudniej byłoby ich zauważyć.

— Jesteś albo najodważniejszym, albo najbardziej szalonym wojownikiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem — odparł Jamarsh.

— Jak sobie życzysz — powiedział Lennox. — Jestem tylko pasażerem.

— Czy naprawdę chciałbyś jechać tędy po nocy, wiedząc, jak łatwo możesz się natknąć na nich? — spytał zaciekawiony Sumriche.

— To tylko bandyci.

— Jesteśmy odważnymi *zhandi* — (była to ich nazwa dla własnej rasy) — lecz nawet *my* nie kusimy *raboni*.

— Widziałem ludzi wchodzących pomiędzy nich bez żadnego lęku — powiedział Lennox, który już od dłuższego czasu czekał

ZAMGLONY HORYZONT

na sposobność, by uczynić przedmiotem rozmowy własną rasę.

— To dlatego, że ludzie są ignorantami — rzekł Sumriche. — Mówiono mi, że oni nawet nie widzą w nocy.

O, psiakrew! Nic dziwnego, że nie zamierzają w nocy jechać przez terytorium *raboni*. Świetliki widzą w ciemności! A jeśli nawet o tym zapomniałem, powinienem pamiętać, że świecimy w mroku. Uważaj, Lennox, bo inaczej już pierwszego dnia będziesz trupem.

— Jednakże mają wspaniałą broń — odezwał się Lennox po chwili.

— Słyszałem o tym, ale nie widziałem żadnego dowodu — powiedział Jamarsh.

— Ja widziałem — oświadczył Lennox. — Moglibyśmy się uczyć od nich.

— Czy byłeś w Brakkanan, gdy zaatakowali? — spytał Sumriche.

— Tak.

— Czy to rzeczywiście prawda, że jakiś człowiek sądził, iż mógłby w przebraniu dotrzeć do piramidy?

— Prawda — potwierdził Lennox.

Sumriche prychnął pogardliwie.

— To wystarczający dowód, że nie mamy się czego od nich uczyć.

— Nie jestem pewien — powiedział Lennox. — My nie mamy nic, czego oni by chcieli, ale oni mają coś, czego my chcemy: ich broń. Czasami myślałem sobie, że gdybyśmy się z nimi dogadali, mogłoby to przynieść nam korzyść.

— To graniczy z bluźnierstwem — rzucił Jamarsh szorstko. — *Zhandi* są Ludem Wybranym przez Boga. Nie dogadujemy się z pośledniejszymi istotami.

Lennox uznał, że należy poniechać tematu. Ci trzej kupcy nie byli w końcu tymi, których miał przekonać. Poza tym popełnił już wystarczająco wiele gaf; byłoby dobrze jak najszybciej dotrzeć do Borgannan i rozstać się z nimi. Musi ich lepiej zrozumieć, dopiero wtedy może rozpocząć kolejną rozmowę o ludziach.

Tuż przed zmierzchem dotarli do grupy skał i postanowili tu przenocować. *Kadeko* zostały spętane i każdy ze Świetlików postawił sobie osłonę chroniącą przed nawiewanym piaskiem. Lennoxowi nie oferowano żadnego tego typu zabezpieczenia, on zresztą o nie nie prosił.

Neshbidan wyciągnął z siodła tykwę z wodą, pociągnął dwa łyki i schował ją z powrotem. Jamarsh i Sumriche poszli za jego przykładem. Lennoxowi nie zaproponowano wody. Nie chciał, by ktokolwiek zobaczył jego manierkę, ponieważ nie miał pewności, czy była taka, jaką powinien mieć wojownik, poczekał więc, aż zasną i dopiero wtedy pociągnął kilka łyczków, dziwiąc się, że czuje tylko niewielkie pragnienie.

Ciągle jeszcze nie przyzwyczyił się do nowego sposobu oddawania moczu, który tryskał teraz do tyłu, jak u kota, zdjął więc ubranie i zadbał o swe potrzeby fizjologiczne. Poczł, że jest głodny — ludzkie pożywienie mogło go już nie interesować, ale jego ciało nadal wymagało paliwa. Nie chciał sięgać do swego ukrytego zapasu suszonego mięsa; trudno było przewidzieć, kiedy znowu pozostanie sam. Przez chwilę wahał się, czy nie wyciągnąć paru owoców z sakw Neshbidana. Ale jeżeli zostałby na tym przyłapany, tamci trzej uznaliby go za złodzieja. Jego ostentacyjna zuchwałość, która powinna mu dopomóc uniknąć wszelkich konfliktów — taką miał przynajmniej nadzieję — na nic by się nie przydała.

Jednakże im bardziej starał się odpychać od siebie każdą myśl o jedzeniu, tym bardziej był głodny. Już miał wyciągnąć z kieszeni kawałek mięsa, gdy nagle znowu dostrzegł podobnego do skarabeusza owada, łażącego po skale o kilka stóp od niego. Tym razem nie tracił czasu na zabijanie go. Przypominając samemu sobie, że już nie jest człowiekiem i że to odrażające, trzymane w dłoni stworzenie ma naprawdę dobry smak — zamknął oczy, wgryzł się w nie i w ciągu kilku sekund spałaszował je w całości.

Przez następne pół godziny schwytał jeszcze cztery, potem podszedł do samotnie rosnącego drzewa i spróbował jego liści i kwiatów. Wiedział oczywiście, co jadają Świetliki — w więzieniu obserwował jednego z nich bardzo dokładnie, a w Brakkanan zajrzał do paru kuchni. Lecz nigdzie wokoło nie było mięsa i owoców, stanowiących ich codzienną stawę, więc zjadł prawie pół funta kolczastych kwiatów i skórzastych liści mając gorącą nadzieję, że nie zaszkodzą zdrowiu jego nowego ciała.

Gdy się obudził, czuł lekkie mdłości, które ustały jednak po paru zaledwie minutach. Teraz już wiedział, że gdyby zużył swój ukryty zapas mięsa, mógłby i tak przeżyć na pustyni przez parę przynajmniej dni. Neshbidan, który najprawdopodobniej miał pieczę nad prowiantem, rzucił mu kolejny suszony owoc. Tym razem Lennox udawał tylko, że go gryzie. Udało mu się ukryć owoc w kieszeni okrycia; na myśl o jedzeniu zrobiło mu się znów niedobrze. Następnie wszyscy pociągnęli po dwa zwyczajowe łyki wody, a potem Świetliki dosiadły swych wierzchowców. Lennox poszedł ich śladem i w chwilę później znowu jechał przez wyprażoną słońcem pustynię.

Mimo swego nowego metabolizmu zaczął wkrótce odczuwać dokuczliwe gorąco. Albo było cieplej niż wczoraj, co wydawało

się wątpliwe, albo potrzebował w rzeczywistości więcej płynów, niż sygnalizowało pragnienie. Nie miał możliwości, żeby ukradkiem pociągnąć łyk ze swojej manierki, znosił więc upał w milczeniu i liczył na to, że nie zwiększy się zbyt.

Jamarsh i Sumriche co jakiś czas wszczynali rozmowę. Lennox nie próbował włączać się do tych pogwarek, ale przysłuchiwał się im uważnie, próbując pojąć znaczenie nie znanych sobie terminów. Przychodziło mu to łatwiej niż wczoraj, bo teraz nie musiał szukać odpowiedzi wybiegając jednocześnie myślą o jedno zdanie naprzód. Trzy Świetliki były w drodze niemal od czterech miesięcy i przed powrotem do domów czekało je jeszcze pięć następnych, spędzonych na szlaku. Rozpoczęli wędrówkę we czwórkę, lecz miesiąc temu ich towarzysz zginął w pojedynku. Lennox miał ochotę zapytać, czy walczył z jednym z nich, czy z kimś innym, i dowiedzieć się, co uważali za wartą walki na śmierć i życie, lecz nie potrafił sformułować pytań w taki sposób, by nie zdradzić własnej ignorancji.

Późnym rankiem zatrzymali się i zsiadli z wierzchowców, a Lennox uczynił to samo co oni. Obrócili się ku północnemu wschodowi, unieśli ręce nad głowy, zamarli w bezruchu na dłuższą chwilę, a potem wdrapali się na swoje kadeko i ruszyli w dalszą drogę. Lennox uznał, że się modlili, lecz żaden z nich nie wypowiedział ani słowa, a ponieważ on sam stał także z uniesionymi rękoma, więc nie odważył się o nic zapytać. Dobrze by było, gdybyście się modlili do piramidy, bo wtedy, w razie gdybyśmy się rozdzielili, lub gdybym musiał was zabić, wiedziałbym, w którą stronę mam iść.

Nie umiał powiedzieć, w jaki sposób znajdowali drogę na pustyni, lecz dwukrotnie zmienili kierunek, by dotrzeć do oaz. W pierwszej pozwolili pić *kadeko* długo i do syta — a kiedy

rozeszli się w różnych kierunkach, prawdopodobnie po to by załatwić w samotności potrzeby fizjologiczne, Lennox zdołał niepostrzeżenie pociągnąć nieco wody z manierki i uzupełnić jej zawartość. Gdy krótko po południu dotarli do drugiej oazy, wszyscy usiedli w cieniu i ani Świetliki ani ich wierzchowce nie wyglądały wcale na spragnione.

Kątem oka Lennox zauważył szybki ruch i odwrócił się natychmiast w tę stronę. Przez moment nie działo się nic, a potem znów go dostrzegł i błyskawicznie wepchnął w tym miejscu rękę w piasek. Palce natrafiły na coś skręcającego się, próbującego się uwolnić. Wzmocnił chwyt i wyciągnął z piachu tłustego, długiego na jakieś dwie stopy robaka, który zwinął się i próbował dosięgnąć jego dłoni swym włochatym językiem. Lennox uznał, że ten język jest niebezpieczny, a może zabójczy, więc szybko zmienił chwyt i złapał stworzenie tuż poniżej głowy.

Boże, ależ to ciało jest szybkie! Żaden człowiek nie byłby w stanie wykonać ruchu tak błyskawicznego, by schwytać takiego stwora.

— Znakomicie, Dromesche! — pochwalił go Neshbidan. — Będziemy dziś mieli ucztę!

Wyciągnął nóż, podszedł bliżej i obciął robakowi głowę. Ciało nadal zwijało się jak żywe i Lennox zupełnie nie wiedział, co powinien z nim zrobić. Gdyby rzucił je na ziemię, mogłoby w odruchu obronnym zagrzebać się z powrotem i byłoby stracone; gdyby zaś trzymał je dalej, tryskające płynami ustrojowymi, mógłby zdradzić swoją niewiedzę, jeśli bez nich okazałoby się bezwartościowe.

Szybko przemyślał sytuację i znalazł rozwiązanie.

— To mój podarunek dla was — powiedział i rzucił swą zdobycz Neshbidanowi.

Świetlik schwycił robaka i ścisnął palcami jego ciało tuż za miejscem, gdzie przed chwilą znajdowała się głowa. Wyciek płynów ustał natychmiast.

— Przyjmuję twój szczodry podarunek — rzekł Neshbidan kłaniając się nisko.

— O mały włos nie utraciłeś ręki — zauważył Jamarsh. — Bardzo niewielu *zhandi* odważyłoby się schwycić ślebaka nie używając broni.

— To tylko ślepak — wzruszył ramionami Lennox, odnotowując w pamięci, by nigdy więcej nie wtykać ręki w piach w pogoni za czymś, co pozostaje niewidoczne.

— Tak jak wczoraj powiedziałem — odparł Jamarsh. — Odważny lub szalony.

— Wkrótce będzie miał szansę udowodnić, jaki jest — odezwał się Sumriche, patrząc gdzieś w dal.

— Co masz na myśli? — zapytał Lennox czując niemiły ucisk w dołku.

Sumriche wskazał w stronę horyzontu, na którym właśnie pojawiła się grupa jeźdźców.

— *Raboni* — powiedział.



Wspaniale, pomyślał ponuro Lennox. Jeśli stawię czoło tym bandytom, zabiją mnie. Jeżeli tego nie zrobię, a przeżyjemy, zabiją mnie moi towarzysze. Zresztą nie bez racji — powiedziałem im, że jestem wojownikiem, to przecież dlatego pozwolili mi jechać ze sobą.

ZAMGLONY HORYZONT

Obserwując nadjeżdżających *raboni* w pewnym momencie już chciał instynktownie osłonić oczy przed słońcem, ale w porę się pohamował. Jego nowe oczy nie potrzebowały osłony i nigdy nie widział Świetlika wykonującego taki gest,

— Nie ma sensu uciekać — rzekł Jamarsh. — Są pomiędzy nami i Borgannan. Jeśli zawrócimy, prędzej czy później złapią nas. A tak, może po prostu nas obrabują i pozostawią przy życiu.

— Zacznę rozjuczać *kadeko*, by wiedzieli, że nie zamierzamy stawiać oporu — powiedział Neshbidan.

— Nie rób tego — odezwał się Lennox.

— Czemu?

— I tak zamierzają wam zabrać towar. Po co się poniżać?

— Żeby nie zabrali nam i życia.

— Może jest trzecie wyjście — rzekł Lennox. — Porozmawiam z nimi.

— Rozmowa nic nie da. To *raboni*.

— Jeśli i tak was obrabują, nie macie nic do stracenia. Wy nie musicie się odzywać ani okazywać im wrogości. Tylko nie zaprzeczajcie niczemu, co im powiem.

— A co powiesz? — spytał Sumriche.

Nie poganiaj mnie. Zastanawiam się nad tym.

— Cokolwiek to będzie, chcę byście wszyscy trzej milczeli. Jeśli nie, zabiję was, zanim oni zabiją mnie.

Wyteż umysł, Lennox. Siedziałeś ze Świetlikiem w więzieniu. Rozmawiałeś z kilkoma innymi. Wszyscy byli ponurzy i bardzo serio, to jedyne, co ich łączyło. Nigdy nie słyszałeś, żeby któryś z nich żartował lub choćby rozumiał jakiś żart. Nigdy nie słyszałeś, żeby któryś z nich kłamał, można więc chyba przyjąć, że obce jest im oszustwo, zarówno gdy chodzi o żart, jak i w spra-

wach poważnych.

Zastanowił się nad tą możliwością. Nie utrzymywali stosunków z ludźmi, gdzie więc mieli się nauczyć oszukiwać?

Najbliższy *raboni* znajdował się już w odległości nie większej niż pięćdziesiąt jardów od nich.

To szaleństwo. Lecz z drugiej strony, jeśli czegoś nie wymyślisz, to albo jedni, albo drudzy posiekają cię na kawałki. Pamiętaj tylko, że musisz sprawiać wrażenie pewnego siebie, mówić władczym tonem i liczyć na to, że nigdy dotąd nie zetknęli się z blefem.

— Bądźcie pozdrowieni, bracia — odezwał się Lennox, gdy *raboni* rozproszyli się, by ich otoczyć. — Mądrze zrobiliście żeście mnie odszukali.

Świetlik, który wyglądał na przywódcę grupy, dopiero po chwili zrozumiał sens tych słów, a wtedy wyraz zdumienia pojawił się na jego twarzy.

— Wytłumacz, o co ci chodzi — powiedział chrapliwym, gardłowym głosem.

— Nie życzę wam źle i zgadzam się wziąć was pod swoją ochronę, abyście mogli bezpiecznie dotrzeć do Borgannan — wyjaśnił Lennox.

Świetlik skrzywił się.

— Co to za bzdury?

— Jestem zwiadowcą grupy trzystu wojowników zmierzających do Borgannan — ciągnął Lennox. — Zaofiarowałem swą ochronę tym kupcom. Miło mi, że mogę ją zaoferować także i wam.

— Jesteście tylko czterema *zhandi* — odparł Świetlik. — Nie potrzebujemy ochrony przed wami.

— To prawda — przyznał Lennox. — Ale potrzebujecie

ochrony przed tymi, którzy podążają za nami.

Świetlik wpatrywał się w niego przez długą chwilę twardym wzrokiem.

— Czemu nie mielibyśmy was obrabować i pozabijać, zanim nadciągną twoi wojownicy? Co miałoby nas przed tym powstrzymać?

— Zdrowy rozsądek — odparł Lennox. — Na pewno zabiłbym jednego z was, a prawdopodobnie wielu, i po zwłokach poznaliby, kto ponosi za to odpowiedzialność.

— Możemy zabrać ciała i odjechać.

No cóż, przynajmniej wierzysz, że mogę zabić kilku z was. Miejmy nadzieję, że to krok we właściwym kierunku.

— Po co niepotrzebnie rozlewać krew? — rzucił Lennox.

— To ma być kodeks wojownika? — odparował Świetlik z pogardą.

Znowu błąd, Lennox. Spróbuj zapamiętać: to nie są miłe chłopaki; rozlew krwi to ich sposób na życie. Lepiej szybko wybrnij z tego.

— To kodeks wojownika, który brzydzi się marnotrawstwem — odparł Lennox. — Już zaoferowałem wam moją ochronę. Czemu miałoby służyć zabicie tych, których zgodziłem się chronić?

— Nie spotkałem jeszcze nigdy dotąd wojownika, który przemawiałby w ten sposób — rzekł Świetlik pogardliwym tonem. — Jeśli wszyscy w twoim oddziale są tacy jak ty, wybijemy ich co do nogi.

— Inni też tak myśleli — powiedział Lennox spokojnie.

— Ja nie jestem inni.

Świetlik odwrócił się i obrzucił wzrokiem swoich dwudziestu uzbrojonych towarzyszy.

Jezu! On to zrobi! Za chwilę wyda rozkaz by nas pozabijali! Wymyśl coś. Cokolwiek!

— Jesteś głupcem — rzekł Lennox. — Nie mógłbyś zabić nawet mnie, a przechwalasz się, że dasz sobie radę z trzystu wojownikami.

Świetlik zeskoczył z wierzchowca.

— Zobaczmy, czy mogę cię zabić, czy nie.

— Zawrzyjmy umowę — zaproponował Lennox. — Jeśli zabijesz mnie w pojedynku, nasze towary są twoje, a moi towarzysze złożą ci hołd. Ale jeśli ci się to nie uda, przyjmiesz moją ochronę i odprowadzisz nas do Borgannan jak braci.

— Zgoda! — krzyknął Świetlik.

I miejmy nadzieję, że nigdy nie widziałeś zawodów bokserskich czy karate.

— Czekaj! — zawołał Lennox unosząc dłoń.

Świetlik znieruchomiał, a Lennox zdjął szaty i odłożył miecz i sztylet.

— By dowieść, że nie potrzebuję broni, żeby cię pokonać — wyjaśnił.

A także dlatego, że wciąż jeszcze nie przyzwyczailem się do tego ubioru i obawiam się, że może mi ograniczać swobodę ruchów.

— Chcesz mnie pokonać bez miecza i sztyletu? — zdumiał się Świetlik.

Raczej miałem nadzieję, że odpowiesz tym samym.

— Używam broni tylko wtedy, gdy jest mi potrzebna.

— Jak chcesz — powiedział Świetlik wyciągając swój długi, haczykowato zakończony miecz i ruszył w stronę Lennox.

Spokojnie, spokojnie. Pamiętaj, że to ciało nie jest w stanie robić tego wszystkiego, co potrafiło twoje poprzednie.

Lennox trzymał ręce z dala od ciała i czekając na odpowiedni moment, zataczał kręgi w lewo. Świetlik, zaskoczony i prawdopodobnie zaniepokojony tym, że jego przeciwnik lekceważy broń, zbliżał się ostrożnie. Ale nagle ostrze wystrzeliło i odcięło kawałek ciała z lewej ręki Lennox. Poczuł przejmujący ból, a w następnej chwili przeleciało mu przez głowę, że nie wie, czy jego twarz potrafiła odzwierciedlić to doznanie.

Zrób coś szybko, Lennox. Jeśli dosięgnie cię ponownie, jesteś trupem.

Wykonał zwód w prawo, potem z całej siły kopnął Świetlika w kolano. Poczuł jak pod stopą pękła chrząstka i kość. Świetlik upadł na ziemię. Lennox wykorzystał sytuację, postąpił krok do przodu i następnym kopnięciem wytrącił miecz z dłoni przeciwnika.

Podniósł broń i skierował ją w jego stronę.

Czy Świetliki okazują pokonanym miłosierdzie? Czy zdradzę się, jeśli to zrobię? Niech cię szlag, Noro Wallace! Wysłałaś mnie tu za wcześniej! Wciąż jeszcze nie wiem zbyt wiele.

Niezdecydowany, stał przez chwilę nieruchomo nad Świetlikiem. Wreszcie pokonany wykonał dłonią krótki gest. Zarówno pozostali *raboni*, jak i trzej towarzysze Lennox odprężyli się natychmiast. Lennox wywnioskował stąd, że jego przeciwnik się poddał, stał jednak bez ruchu, nadal czekając na bardziej oczywisty sygnał.

— Przyjmujemy twoją ochronę — powiedział w końcu Świetlik, a wtedy Lennox odrzucił miecz i odwrócił się ku *raboni*.

— Niech któryś z was pomoże mi opatrzyć jego nogę i podsadzi go na *kadeko*.

— Po co? — spytał jeden z nich. — Uczyniłeś go kaleką. Nigdy więcej nie będzie chodził. Lepiej zabić go od razu.

Ileż współczucia dla pokonanego kamrata.

— Może jechać — rzekł Lennox. — Obiecałem ochronę wam wszystkim. Obejmuje ona także i jego. — Przyszła mu nagle do głowy pewna myśl. — Poza tym da się zrobić tak, że znów będzie chodził równie sprawnie jak dzisiejszego ranka.

— To niemożliwe.

— Niemożliwe dla nas — odparł Lennox. — Lecz nie dla ludzi. Ich medycyna może odtworzyć lub zastąpić połamane kończyny.

— Skąd to wiesz? — spytał inny *raboni*.

— Moi wojownicy ich szpiegowali — wyjaśnił Lennox. — Najpierw chcieliśmy rozpocząć wojnę z nimi, lecz później, gdy odkryliśmy, jak wiele moglibyśmy się od nich nauczyć, zdecydowaliśmy, że może lepiej będzie, jeśli pozwolimy im żyć między nami.

— My jesteśmy Ludem Wybranym. To bluźnierstwo.

Lennox wskazał na leżącego Świetlika.

— Spytaj jego, czy sądzi, że bluźnierstwem jest chodzić nie czując bólu, a nawet nie kulejąc.

— Nie chcę tego dłużej słuchać — powiedział *raboni*, odwrócił się i odszedł do swojego *kadeko*.

— A ty? — spytał Lennox swojego przeciwnika.

— Jeśli oni mogą sprawić, że będę znowu zdrowy, tak jak byłem — wychrypiał Świetlik — i taki wojownik jak ty chce wchodzić z nimi w układy, przynajmniej cię wysłucham.

— O nic więcej nie proszę — rzekł Lennox.

No dobrze, to niewielkie zwycięstwo, ale jednak zwycięstwo. Mam tylko nadzieję, że nie będę musiał ryzykować życiem za każdym razem, gdy będę chciał przekonać jednego z was, iż ludzie nie są waszymi wrogami.

10

Okaleczony raboni miał na imię Borleshan, a ponieważ wyglądał na najrozsądniejszego pośród nich, Lennox postanowił jechać obok niego. Borleshan, który wcale nie objawiał goryczy z powodu przegranej, opanował dręczący go bez wątpienia ból na czas na tyle długi, że zdołał zadać wiele pytań dotyczących metody walki Lennox, ten zaś wykorzystał okazję i wyjaśnił, że nauczył się jej, szpiegując ludzi.

— Czegoś nie rozumiem — oświadczył w końcu Borleshan.

— Czego?

— Chodzi mi o ludzi — odpowiedział Świetlik. — Skoro potrafia tak znakomicie walczyć, mają taką świetną medycynę i potrafia swobodnie latać między gwiazdami, to czemu po prostu nie wkroczyli tu i nie podbili nas?

— Być może nie chcą tego zrobić — rzekł Lennox.

— To dlaczego w ogóle tu są?

— Słyszałem, że chcą z nami handlować.

— Cóż oni mają takiego, czego my moglibyśmy chcieć? — zapytał inny *raboni* pogardliwie.

— Wiedzę.

Borleshan przez chwilę rozważał odpowiedź Lennox.

— A co my moglibyśmy dać w zamian?

Lennox wzruszył ramionami.

— Nie wiem — powiedział. — Może powinniśmy ich zapytać.

— Ja nie mam nic przeciwko temu — rzekł Borleshan. — Lecz, oczywiście, nie zależy to ode mnie.

Lennox chciał się dowiedzieć, od kogo to zależy, ale nie ośmielił się ujawnić swojej ignorancji takim pytaniem.

— Być może uda się nam znaleźć odpowiedź, gdy naprawią twoją nogę — powiedział w końcu.

— Masz zamiar pojechać do ich obozu? — zdumiał się *ra-boni*. — Pozabijają nas wszystkich!

— Wątpię — powiedział Lennox tonem, który miał świadczyć o pewności siebie. — To nasza planeta. Jeśli chcą, by pozwolono im tu pozostać, nawet gdyby w grę wchodziła tylko jedna placówka, nie zabiją nas.

— Oni nie mają dla nas żadnego szacunku — rzekł Borleshan. — Czy słyszałeś, że jeden z nich naprawdę doszedł do piramidy?

Wieści rzeczywiście szybko się rozchodzą.

— Oczywiście zabiliśmy go? — zapytał Lennox.

— Sam Chomanche miał mu już zadać ostateczny, śmiertelny cios, gdy przybyli mu na ratunek inni ludzie. Z tego co wiem, zabiliśmy trzech spośród nich, a oni siedmiu naszych.

„Sam” Chomanche? Boże, mam nadzieję, że to nie jego będę musiał w końcu przekonać.

— Być może ów człowiek miał jakiś powód by się tam znaleźć — powiedział Lennox.

— Ostrzegliśmy ludzi żeby trzymali się z dala od Brakkannan, a zwłaszcza od piramidy — odparł Borleshan twardym tonem. — Znał konsekwencje swoich czynów.

— Mówiono mi, że ludzie odznaczają się nienasyconą ciekawością — rzekł Lennox. — Czy nigdy nie byłeś czegoś ciekaw tak bardzo, że zignorowałeś rady i ostrzeżenia?

— Nigdy — odparł Borleshan przyglądając mu się ze zdziwieniem. — Lecz twoje pytanie budzi moją ciekawość.

— Ja tylko próbuję myśleć tak jak człowiek — powiedział pośpiesznie Lennox, zauważywszy, że kilku *raboni* odwróciło się i wpatrywało w niego uważnie. — Ćwiczę, bo już wkrótce będę musiał poprosić ich lekarzy, by poskładali twoją nogę. — Wyglądało na to, że przyjęli jego słowa za dobrą monetę, więc kontynuował wątek: — Skoro ludzie handlują wiedzą, to może po prostu próbował zdobyć — żeby tak powiedzieć — więcej towaru?

— Nie mógłby sprzedać go nam — rzekł Borleshan. — A to oznacza, że przehandlowałby go komu innemu.

— To prawda — przyznał Lennox — ale pomyśl o konsekwencjach.

— Jakich konsekwencjach? — wtrącił się inny *raboni*. — Jedyną konsekwencją jest, że ludzie muszą umrzeć.

— Skoro my jesteśmy Ludem Wybranym i nasza wiara jest jedyną prawdziwą, to może dobrze by było, gdybyśmy pozwolili ją poznać innym rasom.

Borleshan wpatrywał się w niego przez długą chwilę.

— Przedziwny z ciebie *zhandi*, Dromesche — powiedział. — Jesteś wojownikiem, a nie zabijasz. Mówisz bluźnierstwa, a jednak nie są one pozbawione pewnej logiki.

— Posiadają broń potężniejszą od naszej — odparł Lennox. — Dlatego też, będąc wojownikiem, wiem, że jeśli mamy kiedykolwiek walczyć z nimi, musimy stać się mądrzejsi od nich. A jedynym sposobem na to by stać się mądrzejszym od wroga jest zdobywać wiedzę o nim, poznawać go tak długo, aż pozna się go równie dobrze jak samego siebie.

— Ja uważam, że ich wszystkich trzeba zabić — oświadczył

raboni kładąc dłoń na rękojeści miecza.

— Ty zabij ich wszystkich — rzekł Lennox. — My będziemy świętować twoje zwycięstwo.

Raboni obrzucił go wściekłym spojrzeniem, lecz nic nie odpowiedział.

Przez następną godzinę jechali w milczeniu — Borleshan nie odzywał się, bo noga sprawiała mu coraz większy ból, Lennox dlatego, że nie miał ochoty, by go zabito za herezję, zanim dotrze do Brakkanan. Potem, gdy Lennox zauważył, że Borleshan słania się w siodle, jakby miał zemdleć lada moment, zarządził postój w cieniu ogromnej skały. Gdy wszystkie Świetliki pozsiały na piasek, oświadczył, że zamierza dotrzeć do placówki ludzi, położonej na południe od Brakkanan.

— Żaden z was nie musi z nami jechać — powiedział. — Lecz ja dałem Borleshanowi słowo, że ludzie będą umieli przywrócić jego nogę do normalnego stanu, i chcę dotrzymać obietnicy.

— Zabiją was obu — rzekł jeden z *raboni*.

— Jeśli obawiasz się nam towarzyszyć, jedź swoją drogą — odparł Lennox.

— Tak właśnie zrobię — oświadczył rozbójnik dosiadając swego *kadeko*. Pozostali poszli za jego przykładem.

— Wiedźcie jednak, że gdy raz odjedziecie, przestaniecie już być pod moją ochroną — ciągnął Lennox. — Jeśli moi wojownicy was znajdą, zginiecie.

— Lepiej umrzeć z mieczem w dłoni, spoglądając wrogowi w oczy, niż zostać zabitym z dużej odległości z broni ludzi — odpowiedział *raboni*.

— Rób jak chcesz — rzekł Lennox. — Ale zostawicie trzech kupców w spokoju, bo inaczej odszukam każdego z was i zabiję.

Widziałem wasze twarze. Wiem, kim jesteście.

— Przejadą bezpiecznie — odezwał się Borleshan, po czym zwrócił się do swoich towarzyszy. — Dałem słowo *raboni* — powiedział. — Musicie je honorować.

Raboni, który odezwał się pierwszy, niechętnie skinął głową na znak zgody, zawrócił wierzchowca i ruszył kłusem przez pustynię, a za nim popędzili jego kompani.

Lennox odwrócił się do trzech kupców.

— Wiem, że jedziecie do Borgannan w interesach — powiedział. — Pomogliście samotnemu wędrowcowi i mam nadzieję, że się dobrze wam za waszą szczodrość odwdzięczyłem. Nie musicie jechać z nami do placówki ludzi. Macie zagwarantowane bezpieczeństwo.

— Dziękujemy, Dromesche — rzekł Jamarsh. — Może spotkamy się znowu w Brakkanan.

— To możliwe — zgodził się Lennox. — Teraz jedźcie już. Borleshan potrzebuje wypoczynku.

Wszyscy trzej ukłonili mu się, a Neshbidan sięgnął do swojego siodła i podał mu torbę pełną suszonych owoców. Potem wsiedli na wierzchowce i odjechali.

Lennox przyjrzał się kolanu Borleshana, które spuchło tak, że było teraz dwukrotnie większe niż drugie.

— Kiepsko wygląda — powiedział wskazując na nie.

— Nie skarżyłem się — rzekł Świetlik ze stoickim spokojem.

Pamiętaj: praktyczność, nie współczucie.

— Wiem. Ale to oczywiste, że cię boli. Cierpisz. Im prędzej dotrzemy do placówki, tym wcześniej będziesz mógł znowu jeździć i walczyć, tak sprawnie jak kiedyś.

— Nie ma pośpiechu — odparł Borleshan. — Ból jest zbyt silny, by mogli zająć się moim kolanem, nawet jeśli się na to

zgodzą. To może potrwać całe tygodnie, zanim zelżeje.

— Przed rozpoczęciem operacji dadzą ci coś na uśmierzenie bólu.

Borleshan zdumiał się.

— Są w stanie to zrobić?

— Tak mi mówiono.

— Twoje słowa czynią z nich istoty bogom podobne — powiedział Borleshan.

Czy nie przesadzam? A może właśnie powinienem czynić z nich bogów?

— Ich wiedza nie jest magią — odparł Lennox. — Jest po prostu odmienna od naszej.

Godzinę później pomógł Borleshanowi wsiąść na *kadeko* i rozpoczęli powolną wędrówkę w kierunku ludzkiej placówki. Lennox miał, co prawda, nadzieję, że dowie się czegoś na temat Brakkanan i piramidy, lecz Świetlik nie był w nastroju do rozmowy, więc nie nalegał.

Podróż upłynęła bez przygód — nie spotkali ani kupców, ani wojowników, ani *raboni* — i trzeciego dnia po południu dotarli do oazy odległej o cztery mile od ludzkiej placówki. Lennox pomógł Borleshanowi zsiąść na ziemię, spętał jego *kadeko* i przyniósł Świetlikowi trochę wody.

— Pojadę do placówki — powiedział, gdy już urządził odpowiednio miejsce na postój dla Borleshana — i wyjaśnię całą sytuację. Powinienem wrócić przed świtem.

— Jeśli nie wrócisz, będę wiedział, że nie żyjesz, i spróbuję dołączyć do swoich towarzyszy — oświadczył Borleshan.

— Poczekaj do jutra, do zmroku — rzekł Lennox. — Nie wiem, ilu mają lekarzy. Zanim jeden z nich będzie wolny i będzie mógł tu przyjść ze mną, może upłynąć cały dzień.

— Cały dzień? — powtórzył Borleshan. — Nie podoba mi się to.

— Dotychczas mi ufałeś — powiedział Lennox. — Zaufaj mi jeszcze i tym razem.

Świetlik zastanowił się przez chwilę, potem skinął głową na znak zgody. Lennox wsiadł na *kadeko*.

— Pokonałeś mnie w walce, a mimo to darowałeś mi życie — odezwał się Borleshan, gdy Lennox ruszył naprzód. — Jeśli cię zabijają, wiedz, że będziesz pomszczony.

Jeśli mnie zabijają, mam, cholera jasna nadzieję, że naprawdę mnie pomścisz.

11

Lennox cierpliwie stał przed bramą fortecy, tak długo, aż wreszcie zauważył go najpierw jeden żołnierz, a potem dostrzegli i inni i skierowali broń w jego stronę. W końcu brama się rozsunęła, wyszedł oficer i zbliżył się do niego.

— Czy mógłbym się zobaczyć z pułkownikiem Mbaką? — odezwał się Lennox i zdał sobie sprawę, że wymawianie słów w ziemskim języku sprawia mu wielką trudność.

— Kim jesteś? — ostro spytał oficer.

— Będzie panu trudno w to uwierzyć — powiedział Lennox — ale nazywam się Xavier William Lennox i jestem człowiekiem.

— „Trudno” to za słabo powiedziane — odparł oficer. — Czego chcesz i gdzie nauczyłeś się naszego języka?

ZAMGLONY HORYZONT

— Pułkownik Mbaka zna moją sprawę — rzekł Lennox. — Gdyby pan po prostu zaprowadził mnie do niego...

— Pułkownik Mbaka jest na rekonesansie, jeśli wy, Świetliki, jeszcze go nie zabiliście — odpowiedział oficer. — Skąd znasz jego nazwisko?

— Powiedziałem panu. Jestem Xavier William Lennox i wykonuję tu specjalne zadanie dla Ministerstwa Spraw Pozaludzkich.

— Posłuchaj mnie, Świetliku — warknął oficer. — Na dworze jest pięćdziesiąt siedem stopni i mam coś lepszego do roboty niż słuchać, jak mi usiłujesz wmówić, że jesteś człowiekiem. Pytam raz jeszcze: czego tu chcesz?

— Mój przyjaciel złamał nogę — wyjaśnił Lennox. — Chciałbym, żeby wasi lekarze doprowadzili ją do porządku.

— Nasi lekarze? — powtórzył oficer.

— Tak.

Oficer strzelił palcami.

— Oł, tak?

— Chwileczkę — powiedział Lennox. — Wiem, że trudno panu w to uwierzyć, ale jestem chirurgicznie przekształconą istotą ludzką, wysłaną tu z tajną misją dyplomatyczną.

— Chodź ze mną — rzekł oficer i powiodł go ku fortecy. Lennox wszedł do budynku i gdy oiało go chłodzone powietrze natychmiast przykry ziaób przebiegł mu po ciele.

— Potrzebuję jakiegoś płaszcza lub jakiegoś koca — poprosił. — Dzięki operacji, jakiej mnie poddano, mój metabolizm został zmieniony. Czuję się jakbym nago spacerował po polarnej planecie.

— Tutaj — oficer wskazał mu pokój po lewej stronie.

Lennox wszedł do pomieszczenia, niczego w nim nie znalazł,

odwrócił się z powrotem do oficera i nagle zobaczył przed sobą trzech uzbrojonych ludzi. Oficer wcisnął przycisk na ścianie i z cichym pomrukiem pojawiło się przejrzyste pole siłowe.

— Dobrze — powiedział oficer. — A teraz może powiedziałaś nam, kim naprawdę jesteś i jak nauczyłaś się ziemskiego.

— Już mówiłem. Nazywam się Xavier William Lennox. Jestem człowiekiem, urodzonym na Ziemi, obecnie mieszkam na Athena II. Moje ciało zostało chirurgicznie przekształcone tak, bym wyglądem nie różnił się od Świetlika.

— Gdzie usłyszałaś o Athena II?

— Ja tam mieszkam, do cholery!

— Oczywiście — oficer uśmiechnął się. — I oczywiście jesteś Lennox. Jest to jedyny człowiek, którego nazwisko znają Świetliki.

— Niech się pan po prostu skontaktuje z pułkownikiem Mbaką. On potwierdzi moje słowa.

— Skąd znasz nazwisko Mbaki?

— Podała mi je Nora Wallace z Ministerstwa Spraw Poza-ludzkich.

— Nigdy o niej nie słyszałem — powiedział oficer.

— Nie musiał pan. Jej łącznikiem tutaj był pułkownik Mbaka.

— To bardzo wygodne, prawda? Mam na myśli, że jedynym łącznikiem kogoś, o kim nigdy nie słyszeliśmy, jest oficer, o którym wiesz, że go tu akurat nie ma. A ty sam jesteś jedynym człowiekiem, którego nazwisko znają Świetliki? — potrząsnął głową z udawanym żalem. — Naprawdę miałem nadzieję, że wy, dzikusy, będziecie mądrzejsi.

— Kiedy Mbaka wraca?

— Nie twój interes.

ZAMGLONY HORYZONT

— To nasz interes — zaprzeczył Lennox. — On potwierdzi moją tożsamość.

— No to rozgość się i poczekaj.

— Niech mnie pan posłucha, do cholery! Na pustyni czeka ranny Świetlik — Świetlik, który skłania się ku przekonaniu, że lepiej z ludźmi rozmawiać, niż walczyć.

— Myślałem, że to ty — rzucił oficer sardonicznie.

— Będzie czekał tylko jeden dzień. Jeśli odejdzie stracimy znakomitą sposobność.

— Sposobność do czego? By umożliwić grupce samobójczych Świetlików, żeby weszły tutaj i zniszczyły naszą fortecę?

— Nie mam broni. Wiecie o tym.

— Wiem tylko, że mam więźnia, który myślał, iż dostanie się do środka, gdy opowie najbardziej nieprawdopodobną historijkę, jaką kiedykolwiek słyszałem — oznajmił oficer.

Odwrócił się do wyjścia.

— Porozmawiamy, kiedy zdecydujesz się powiedzieć prawdę.

Lennox chwycił go za rękę.

— Mówię prawdę, do cholery!

Oficer zareagował z kocią szybkością, wymierzając mu cios, który odrzucił go na ścianę.

— Nigdy więcej mnie nie dotykaj, Świetliku! — wysyczał.

Lennox odzyskał panowanie nad sobą i zmusił się do zadania pytania niemal spokojnym głosem.

— Czy ktokolwiek spośród pańskiej załogi służy tu dłużej niż osiem miesięcy?

— Bo co?

— Ponieważ ja tu byłem osiem miesięcy temu. Mogę opowiedzieć o tym, co się tu wtedy działo. Pewne fakty może znać

jedynie człowiek, który był tu wtedy na miejscu, i to potwierdzi prawdziwość moich słów.

— Nieżle — rzekł oficer. — Ale właśnie ja byłem tutaj, gdy wyratowaliśmy Lennox. Niewiele z niego zostało. Kto wie, coś-cie, łajdaki, wycisnęli z biedaka, zanim myśmy nadeszli? — Przerwał i wbił spojrzenie w Lennox. — Chcesz zagrać ze mną w tę grę? Dobra. Ilu nas było w grupie ratowniczej?

— Nie wiem.

— Ilu z nas wniosło cię do pojazdu, który cię tu dostarczył?

— Byłem nieprzytomny — powiedział Lennox. — Przecież pan wie.

— Nie byłeś nieprzytomny, gdy zabrał się za ciebie lekarz — powiedział oficer. — Jak się nazywał?

— Nie wiem.

Oficer uśmiechnął się.

— Nie znasz nazwiska człowieka, który uratował ci życie?

— Byłem w szoku! — warknął Lennox. — Nie pamiętam nic od chwili, gdy przybili mnie do ziemi.

— Jakżesz korzystnie się składa — powiedział oficer. — Daję ci godzinę na przemyślenie twojej historyjki. Potem pogadamy.

Wyszedł wraz z trzema strażnikami i Lennox został sam w celi. Nie było tu ani materaca, ani koca, ani kranu z wodą, ani toalety... po prostu cztery ściany, sufit i pole siłowe.

Podszedł do kąta, powoli opadł na podłogę i oparł się o ścianę. Dlaczego, u diabła, musiał się tu pojawić akurat w dniu, gdy nie było Mbaki? Ryzykował życiem, żeby Borleshan chciał go wysłuchać i by zgodził się przyjść tutaj. Był to pierwszy mały wyłom w morzu wrogości Świetlików, a ci idioci zamierzali wszystko spieprzyć.

Lennox przyglądał się żołnierzom przechodzącym korytarzem, słyszał głosy wydające komendy i naraz zrobiło mu się bardzo żal samego siebie. Potem pomyślał o Borleshanie, leżącym na pustyni z kolanem wielkości grejpfruta, i współczucie dla siebie przeszło w złość. Jak w ogóle wpakował się w tę groteskową sytuację?

W końcu oficer powrócił. Pole siłowe zanikło na moment wystarczająco długi by go wpuścić, potem powróciło z pomrukiem. Dwaj uzbrojeni strażnicy stali w gotowości tuż za drzwiami, z laserami wymierzonymi wprost w Lennox'a.

— Czy chciałbyś zmienić jakąś część swojej opowiadki? — zapytał oficer.

— Zdaję sobie sprawę, jak wariacko to brzmi — odparł Lennox — ale jest prawdziwa od początku do końca. Jeśli pan mi nie wierzy, czemu nie zada mi pan pytań, na które odpowiedzieć może jedynie człowiek?

— Zrobiłem to i nie odpowiedziałeś.

— Mówiłem panu: byłem w szoku spowodowanym bólem i upływem krwi. Proszę spytać mnie o coś innego. Proszę spytać mnie o plan forticy.

— A skąd, do diabła, dowiedziałeś się o tym?

— Mieszkałem tu przez pięć miesięcy.

— Jezu, wy naprawdę przepuściliście tego faceta przez wymaczkę, nie? Dziwię się, że kiedy z nim skończyliście, jeszcze wiedział, jak się nazywa.

— To była moja własna wina. Zignorowałem ich ostrzeżenia i wtargnąłem na zakazany obszar.

— Nie powtarzaj mi tu waszych usprawiedliwień — rzekł oficer. — Był człowiekiem, a wy pocięliście go na strzępy. Nic więcej nie chcę wiedzieć.

— Ja nie mam do nich pretensji — powiedział Lennox. — Czemu więc pan miałby je mieć?

— Zaczyna mnie już nudzić ta farsa — oświadczył oficer. — To wszystko jest śmieszne. — Pochylił się do przodu tak, że jego twarz znalazła się o parę cali od twarzy Lennox. — A teraz pytam cię grzecznie po raz ostatni: kim jesteś i co tu robisz?

— Jestem Xavier William Lennox i szukam pomocy medycznej dla znajomego Świetlika.

Ręka oficera wystrzeliła do przodu i jego dłoń spadła na twarz Lennox.

— Jeszcze raz — powiedział. — Kim jesteś i co tu robisz?

— To nie ma znaczenia czy jestem Lennoxem czy Świetlikiem — powiedział Lennox, czując smak krwi na wargach. — Powinniście dążyć do nawiązania przyjaznych kontaktów ze Świetlikami, a nie wywołania wojny. Mam przyjaciela, który potrzebuje pomocy medycznej.

Następny policzek.

— Nawiązywaniem przyjaźni ze Świetlikami zajmuje się inna jednostka — rzekł oficer. — Moje zadanie to ochrona placówki. Kim jesteś?

— Jestem Xavier William Lennox.

Tym razem była to pięść i Lennox omal nie stracił przytomności.

— Mam dużo czasu, cały dzień — powiedział oficer. — Ktoś ty?

— Dromesche.

— Już lepiej — powiedział oficer. — No więc, po co tu przyszedłeś?

— Mam przyjaciela, który potrzebuje pomocy lekarskiej.

— Jak nauczyłeś się ziemskiego?

ZAMGLONY HORYZONT

— To mój język ojczysty.

Następny cios.

— Nauczyłem się go od Xaviera Williama Lennox.

— Kiedy?

Lennox wciąż jeszcze próbował znaleźć odpowiedź, która pozwoliłaby uniknąć kolejnego uderzenia, kiedy pięść oficera wylądowała na jego brzuchu. Zwinął się wpół, usiłując złapać oddech.

— Nie jesteś zbyt mądry — zauważył oficer. — Ciebie to bardziej boli niż mnie.

— Powiedz swoim ludziom, żeby odłożyli broń i zobaczymy, kogo będzie bardziej bolało! — wychrypiął Lennox.

— Chciałbyś, prawda? — zaśmiał się oficer.

Chwyił go palcami za szczękę i uniósł mu głowę.

— Kiedy Lennox nauczył cię ziemskiego?

— W Brakkanan.

Silny cios w głowę.

— Lennox był w Brakkanan jeden dzień. Nie mogłeś nauczyć się tak szybko. Kiedy cię nauczył?

— Poddaję się — rzekł Lennox znużonym tonem. — Niech pan mi powie.

— Nie podoba mi się twoja postawa — rzekł oficer. — Przyszedłeś tutaj z najgłupszą historyjką, jaką kiedykolwiek słyzałem, na każde pytanie odpowiadasz kłamstwem... nie, wcale nie podoba mi się twoja postawa. Prawdę mówiąc nie potrafię odnaleźć niczego, co by mi się w tobie podobało.

— Wzajemnie.

— A skoro już o tym pomyślałem, nie widzę żadnego powodu, żeby cię nie zabić od razu.

— Ja widzę — powiedział Lennox.

ZAMGLONY HORYZONT

— No to może mi powiesz jaki, dopóki jeszcze możesz.

— Korytarz przylegający do tego pokoju przechodzi obok kasyna i pokoju wypoczynkowego i kończy się przy kwaterze komendanta. Wewnątrz, przy północno-wschodniej ścianie jest magazyn broni. Izba chorych znajduje się zaraz za podprze-strzenną stacją nadawczą.

Oficer utkwiał w nim czujne spojrzenie.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Wiem, bo jestem Xavierem Williamem Lennoxem, ale ponieważ nie chce pan w to uwierzyć, musi pan być przekonany, że jestem Świetlikiem, i że skoro ja o tym wiem, wiedzą o tym również moi towarzysze. Zamierza pan więc zachować mnie przy życiu na tyle długo, by się dowiedzieć, co jeszcze oprócz tego wiem, i komu o tym powiedziałem.

— Dowiem się, nie ma obawy — powiedział oficer nieco mniej pewnym tonem.

— Radziłbym jednak panu — ciągnął Lennox — by na razie powstrzymał się pan od bicia mnie, bo jeśli doznam trwałych obrażeń, Mbaka po powrocie obdrze pana ze skóry.

— Wydajesz mi rozkazy? — warknął oficer.

— Nie — odparł Lennox. — To tylko skromna sugestia. Przypuszczam, że jeśli pożyję dostatecznie długo, będzie mi pan za to wdzięczny.

Oficer cofnął się o dwa kroki i przez chwilę przyglądał się Lennoxowi niepewnym wzrokiem.

— Dobrze — powiedział w końcu. — Pułkownik Mbaka wraca jutro. Niech on zadecyduje, co z tobą zrobić.

Podszedł do drzwi, poczekał aż pole siłowe zaniknie, a potem, znalazłszy się już w hallu, włączył je ponownie.

— Prosiłbym o koc i łóżko połowę — odezwał się Lennox.

Oficer odwrócił się do strażników.

— Dopilnujcie by je dostał.

— I trochę wody.

Oficer skinął głową.

— I wodę.

— Dziękuję.

— Gdzie jest twój przyjaciel, ten który potrzebuje pomocy?

— Na pustyni — odpowiedział Lennox.

— Określ miejsce, to sprowadzimy go.

— Sądziłem, że nie wierzy pan w ani jedno moje słowo.

— Sprowadzimy go tu jako więźnia i zapewnimy mu opiekę medyczną, jakiej potrzebuje. Pułkownik Mbaka zadecyduje, co z nim będzie dalej.

— Poczekamy do jutra — powiedział Lennox. — Będę musiał wam towarzyszyć. Jeśli mnie nie zobaczy, to albo was zabije, albo spróbuje uciec.

— Dlaczego? — ostrym głosem spytał oficer. — Myślałem, że pragnie raczej rozmawiać niż walczyć.

— Nie zna was jeszcze tak dobrze jak ja — odparł Lennox wykrzywając twarz w grymasie, który w jego intencji miał być sardonicznym uśmiechem.

12

Dzięki swoim nowym, udoskonalonym zmysłom, Lennox był już całkowicie rozbudzony, gdy czyjeś kroki zatrzymały się przed jego celą. Usiadł na łóżku pełen napięcia i wyrzwał na ko-

rytarz. W chwilę później pole siłowe zostało wyłączone i niewysoki, ciemnoskóry mężczyzna wkroczył do celi.

— Pan Lennox?

— Tak — potwierdził Lennox, niezdarnie wstając na powitanie. — Czy pan pułkownik Mbaka?

— Tak. Przepraszam za to, jak został pan przez nas potraktowany. Winni zostali już ukarani.

— To dobrze.

Mbaka uniósł brew.

— To interesująca odpowiedź — powiedział.

— Tak pan sądzi?

Pułkownik skinął głową.

— Spodziewałem się raczej usłyszeć coś w tym sensie, że po prostu wypełniali swoje obowiązki i że rozumie pan ich sytuację.

— Niech ich szlag trafi — rzucił Lennox.

— No, no, panie Lennox. Musi pan przyznać, że pańska historia brzmi niewiarygodnie.

— To nie ma znaczenia — odparł Lennox ostro. — Jeśli w ten sposób traktujecie nie uzbrojonych Świetlików, nic dziwnego, że chcą was usunąć z planety.

Pułkownik zastanowił się przez chwilę, potem skinął głową.

— Celną uwaga. — Przerwał na moment. — Przejdziemy do mojego biura? Mamy to i owo do omówienia.

— Owszem, mamy — potwierdził Lennox i szybko ruszył za nim.

Kiedy szli korytarzem obok kasyna, wyczuwał doskonale pełne ciekawości, często wrogie spojrzenia, jakie rzucali w jego kierunku siedzący tam wojskowi — mężczyźni i kobiety. Rozglądał się za oficerem, który go uwięził i pobił, ale nigdzie nie mógł go dostrzec. To i dobrze. Mogę sobie wyobrazić reakcję

jego kumpli, gdyby zobaczyli, że atakuje go Świetlik.

W końcu dotarli do po spartańsku urządzonego biura Mbaki. Pułkownik usiadł za biurkiem i gestem dłoni zaprosił Lennox, by zajął miejsce naprzeciw niego.

— Raczej postoję — powiedział Lennox. — Ludzkie meble są dla mojego nowego ciała bardzo niewygodne.

— Jak pan sobie życzy — odparł Mbaka. — Czy mogę pana czymś poczęstować? Może drinka?

Lennox potrząsnął głową.

— Obawiam się, że muszę odmówić. Mój metabolizm nie radzi sobie z czymś takim.

— Dobrze — Mbaka wzruszył ramionami. — Poinstruowano mnie, że mam udzielić panu wszelkiej możliwej pomocy, ale nikt nie powiedział mi, dlaczego właściwie znalazł się pan na Medinie. Jeśli nie jest to informacja tajna, chciałbym wiedzieć, o co tu chodzi.

— To proste — odpowiedział Lennox. — Mam za zadanie uzyskać w ciągu sześciu miesięcy zgodę Świetlików na rozpoczęcie prac wydobywczych na pustyni pod Brakkanan. Nikt mi nie powiedział, co się stanie, jeśli mi się nie uda, ale idę o zakład, że za dwa lata nie będziemy mogli się już układać ze Świetlikami, ponieważ ani jeden nie pozostanie przy życiu.

— To nie pańskie zmartwienie — odparł Mbaka. — Nie należy pan do korpusu dyplomatycznego ani militarnego, nie jest pan też, jak wiem, geologiem. Dlaczego pana wybrano?

— Ponieważ wiem o Świetlikach więcej niż ktokolwiek inny spośród ludzi i mówię jednym z ich dialektów — Tym używanym w Brakkanan.

Mbaka przyjrzał się dokładnie, z nieukrywaną ciekawością, istocie stojącej przed nim.

— Jak wiele czasu zajęło im przetworzenie pana w... to?

— Kilka miesięcy.

— Czy mogę zadać panu osobiste pytanie?

— Proszę — rzekł Lennox.

— Dlaczego pan się na to zgodził? — spytał Mbaka.

— Bo dzięki temu sprzedam mnóstwo książek.

Mbaka nie wyglądał na przekonanego.

— Jeśli, żeby móc sprzedać swoje książki, potrzebuje pan fizycznej transformacji, musi być pan kiepskim pisarzem.

— A także dlatego, że nie chcę oglądać, jak dokonuje się kolejnego świadomego mordy na niewinnej rasie.

— Niewinnej czego, panie Lennox? — zapytał Mbaka. — Na pewno nie tortur i okaleczenia. — Przerwał na chwilę. — Poza tym czytałem pańskie *dossier* i wynika z niego, że jak dotąd nie zrobił pan nic, by zapobiec eksterminacji innych ras.

Dlaczego siedzę tu, w tym obcym ciele? Czy „bo miałem możliwość” jest właściwą odpowiedzią?

— Chciał pan zadać pytanie, czy sprzeczać się ze mną? — spytał poirytowany Lennox.

Mbaka popatrzył na niego chłodnym wzrokiem.

— Czego konkretnie chce pan ode mnie?

— O kilka mil stąd, na pustyni, znajduje się Świetlik o imieniu Borleshan. Potrzebuje natychmiastowej pomocy medycznej. Chcę go tu sprowadzić.

— Co mu jest? — spytał Mbaka ostrym tonem. — Czy to coś zakaźnego?

— Ma złamaną rzepekę i niemal na pewno poważnie uszkodzone ścięgna. Chcę by pański najlepszy chirurg poskładał go do kupy.

— Jak się to stało?

— Ja mu to zrobiłem.

— A teraz chce mu pan pomóc?

— To długa historia — powiedział Lennox. — Ale on mi ufa i skłonny jest zaufać wam, a do tego nie udało się dotąd nakłonić żadnego Świetlika. To stopa wsunięta w drzwi i nie zamierzam dopuścić, żeby zmarnowała się tak znakomita okazja.

— Czy on zajmuje jakieś oficjalne stanowisko w Brakkanan?

Lennox pokręcił głową.

— On jest *raboni*.

— *Rabon?*

— Przestępcą.

Mbaka zmarszczył brwi.

— Teraz to już zupełnie nic z tego nie rozumiem — powiedział. — Uszkodził pan kolano przestępcy, po czym nagle uznał pan, że może on odegrać decydującą rolę w próbach nawiązania kontaktu z ich oficjalnym rządem?

— To społeczeństwo jest inne niż nasze — wyjaśnił Lennox. — *Raboni* są ogólnie poważaną kastą wędrującą po pustyni. Mają swój własny, ściśle przestrzegany kodeks postępowania. Nie łamią prawa w obrębie miast i wolno im swobodnie przez nie przejeżdżać.

— Ale w jaki sposób on może pomóc panu przekonać przywódców Brakkanan by...

— Może powiedzieć każdemu Świetlikowi, z którym będzie rozmawiał, że są i tacy ludzie, którzy wcale nie chcą ich zabić — przerwał mu Lennox. — Wyleczcie mu nogę, a on powie o tym w każdym mieście, przez które będzie przejeżdżał. — Przerwał na moment. — Chcę podkreślić, że po raz pierwszy od

ZAMGLONY HORYZONT

czasu kiedyśmy tu wylądowali, będzie się mówiło dobrze o nas.

— Skąd pan wie, że w ogóle uda się do Brakkanan?

— Zabiorę go tam.

— Jesteście przyjaciółmi?

— Nie całkiem.

— No więc?

— Niech mi pan uwierzy na słowo — powiedział Lennox. — Jeśli wyleczymy mu nogę i poproszę go, by pojechał ze mną do Brakkanan, nie odmówi mi.

— No cóż, pan jest ekspertem od Świetlików, więc skoro twierdzi pan, że pojedzie z panem, to muszę przyjąć, że tak będzie. — Mbaka zastanawiał się przez chwilę, potem podniósł wzrok. — Wyślę po niego oddział, natychmiast.

— Muszę się wybrać z nimi. Jeśli zobaczy pańskich ludzi beze mnie, będzie walczył lub ucieknie.

— Jak może uciec z uszkodzoną nogą?

— Na *kadeko*.

— Co to jest — jedno z tych zwierząt, na których oni jeżdżą?

— Tak.

— Zgoda, panie Lennox — rzekł Mbaka. — Jeszcze coś?

— Tak. — Chcę, by od tej chwili pańska izba chorych była dostępna dla każdego nie uzbrojonego Świetlika, który przyjdzie tu po pomoc lekarską.

Mbaka skrzywił się.

— Ilu jeszcze ukrył pan na pustyni?

— Ani jednego. Ale ich wiedza medyczna jest bliska zeru. Jeśli chcemy ich skłonić do zawarcia z nami układu, musimy w zamian za prawa do wydobycia diamentów zaofiarować im coś, co rzeczywiście chcieliby otrzymać. Medycyna wydaje się czymś bardziej praktycznym i mniej niebezpiecznym niż broń.

— Bardzo niewiele wiemy o fizjologii Świetlików — zauważył ostrożnie Mbaka. — Jeśli popełnimy błąd, oni uznają, że chcemy ich wygubić.

— Ministerstwo Spraw Pozaludzkich może skontaktować pana z chirurgiem, doktor Beatrice Ngoni, która nadzorowała moją metamorfozę. Przeprowadziła sekcję zwłok kilku Świetlików i może przekazać dane, jakimi dysponuje, pańskim lekarzom. A jeśli chodzi o leczenie, będziecie musieli po prostu wykonywać swoją robotę najlepiej jak potraficie i liczyć na to, że większość chorych będzie za słaba, by tu dotrzeć.

— Zanim skontaktujemy się z doktor Ngoni i nim ona prześle nam swoje dane przez radio podprzestrzenne, może minąć parę dni.

— Upłynie wiele dni, zanim zawita tu jakiś pacjent Świetlik — zapewnił go Lennox. — Po pierwsze, Borleshan musi rozpowiedzieć swoją historię, a po drugie, muszą się oswoić z myślą, że nie zabijecie ich od razu.

— Dobrze. Jeszcze coś?

— Tylko jedno.

— To znaczy? — spytał Mbaka.

— Nie obchodzi mnie, czy poskładacie, czy wymienicie kolano Borleshana — wyjaśnił Lennox. — Nie dbam o to, czy będzie chodził na własnej nodze, czy na protezie. Ale życzyłbym sobie żeby nie kulał i nie odczuwał bólu.

— Bardzo wysokie wymagania, panie Lennox — powiedział Mbaka.

— Zważywszy, iż w zamian za to można się spodziewać, że unikniemy wojny i ograbimy planetę z diamentów wartych miliony, uznałbym te wymagania za bardzo skromne.

— Być może skromne dla pisarza cierpiącego na manię

wielkości — rzekł Mbaka. — Ale niekoniecznie dla lekarza, który nigdy dotąd nie leczył Świetlików.

— Byłem pisarzem i pewnego dnia znów nim będę — oświadczył Lennox. — Ale teraz jestem Świetlikiem, a jeśli ktośkolwiek tutaj zasugeruje Borleshanowi, że jest inaczej, mam wszelkie szanse stać się martwym Świetlikiem.

— Nie potrafię zrozumieć, dlaczego przejmuję się pan tym Świetlikiem, którego sam pan okaleczył.

— Ma przyjaciół, którzy skłonni są, jeśli chodzi o ludzi, uwierzyć we wszystko co najgorsze — wyjaśnił Lennox i dodał sucho: — Może trzydzieści, lub czterdzieści milionów przyjaciół.

13

Od chirurgicznej rekonstrukcji kolana Borleshana minęły dwa tygodnie. Większość tego czasu Lennox spędził ze Świetlikiem, rzekomo dlatego, że pragnął go podtrzymać na duchu, w rzeczywistości zaś po to, by się dowiedzieć więcej o języku i zwyczajach jego rasy.

— Gdyby był sportowcem, nie pozwoliłbym mu trenować jeszcze przez dwa miesiące — oznajmił Lennoxowi lekarz w dniu, kiedy Borleshan został wypisany z izby chorych. — Powiedziano mi jednak, że bardzo się panu spieszy. Kontaktowałem się z doktor Ngoni i sądzimy, że tabletki, które mu dałem, powinny w znacznym stopniu uśmierzyć ból. Ale jeżeli będzie nadmiernie obciążał kolano, może je ponownie uszkodzić, a wtedy jedynym wyjściem pozostanie proteza.

— Dopilnuję, by brał tabletki — zapewnił Lennox.

— Nie chciałbym też, żeby podejmował jakieś większe wysiłki. Powinien dużo odpoczywać.

— Zadbam o to.

— Powiedziano mi, że dzięki panu w najbliższych miesiącach będę się mógł nauczyć cholernie dużo o fizjologii Świetlików — rzekł doktor, gdy Lennox wychodził z jego biura.

— To prawda.

— Proszę, niech mi pan nie wyświadcza więcej podobnych przysług.

Lennox wstąpił do kwatery Borleshana i razem wyszli przed bramę fortecy, gdzie czekały osiodłane *kadeko*.

— Jak dziś twoje kolano? — spytał Lennox, kiedy ruszyli na północ w stronę Brakkanan.

— Boli, dopóki nie połknę jednej z tych małych kulek; wtedy ból ustaje — odpowiedział Świetlik.

— Dobrze, pamiętaj tylko, że musisz je zażywać tak, jak kazał lekarz.

— Przyszło mi do głowy, Dromesche, że te kulki mogą być podstępem.

— Jeśli sądzisz, że nie działają, to jutro rano, zanim połkniesz jedną, spróbuj obejść nasz biwak.

— Źle mnie zrozumiałeś — rzekł Borleshan. — Chodziło mi o to, że jest to sposób, który pozwala ludziom utrzymywać nas w stałej zależności od nich. To prawda, że ludzki lekarz poskładał mi nogę, lecz prawdą jest również, że nie jestem w stanie wytrzymać bez tych kulek. Wkrótce będę musiał wrócić na placówkę po następne.

— To ty nie rozumiesz — odparł Lennox. — Rozmawiałem z lekarzem. Musiał porozcinać twoją nogę, naprawić rzepekę

i odtworzyć przyczepy wielu ścięgien. Dokonały się poważne zmiany w twoim organizmie i póki wszystko się nie zagoi i nie pozrasta, będą one powodować bardzo silny ból. Te kulki tworzą coś w rodzaju osłony przed bólem. On jest, tylko ty go nie czujesz. Każdego dnia będzie słabszy, a do czasu, gdy skończy ci się zapas kulek, ból zniknie i nie będziesz ich już więcej potrzebował.

— Jak kulka może być osłoną przed bólem? — spytał Borleshan podejrzliwie.

— Nie wiem — odrzekł Lennox. — Nie jestem człowiekiem. Ale przypuśćmy, że zraniłeś się w stopę. Jeśli dla powstrzymania krwotoku założysz powyżej rany opaskę uciskową, w końcu stopa ci zdrętwieje. Nadal będzie zraniona i jeśli zdejmiesz opaskę, ból powróci, lecz póki tego nie zrobisz, nie będziesz nic czuł. Sądzę, że te kulki działają tak samo, tylko od wewnątrz, a nie z zewnątrz.

— To zupełnie jak magia — powiedział Borleshan.

— To magia, z której dobrodziejstw moglibyśmy skorzystać i którą są skłonni podzielić się z nami — odparł Lennox. — Oni nam to proponują.

— Pójdę z tobą na rozmowę z Comanche i pomogę ci namówić go do zawarcia porozumienia z ludźmi, jeśli tylko nie będzie ono obrażać naszego honoru. Musimy uzyskać dostęp do tej wiedzy.

Cholera! To jednak z Chomanche będę musiał rozmawiać! Naprawdę nie wiem, co zrobię, kiedy znajdę się na tyle blisko niego, że będę mógł go dostać w swoje ręce.

— Jak myślisz, jaka będzie jego reakcja? — spytał głośno Lennox.

— Jemu ludzie są w ogóle niepotrzebni — odpowiedział

Borleshan. — Śmiało chyba można powiedzieć, że nienawidzi ich, zwłaszcza od czasu, gdy człowiek, znany jako Xavier William Lennox, próbował podejrzeć naszą ceremonię przy piramidzie. — Przerwał na chwilę, po czym dodał: — Niełatwo będzie go przekonać.

— Być może trzeba posłużyć się odpowiednią metodą — rzekł Lennox.

— Co masz na myśli?

— Może powinniśmy najpierw przedstawić naszą sprawę innym, takim, którzy mieliby bardziej przychylny stosunek do niej, i udać się do Chomanche wraz z pozyskanymi stronnikami?

— Czemu Chomanche miałby się przejmować tym, co powiedzą inni? — zdziwił się Borleshan. — Jego słowo jest prawem.

— Miałem na myśli, że być może nie wysłuchałby samotnego, przybyłego z daleka wojownika i *raboni*, który w oczywisty sposób zawdzięcza coś ludzkiej medycynie, ale dałby wiarę, jeśli przedstawilibyśmy mu dziesięciu czy dwunastu *zhandi*, których przekonalibyśmy do naszej sprawy.

— Dwudziestu musielibyśmy przekonywać w ten sposób jak jego jednego — odparł Borleshan. — A tylko jego odpowiedź ma znaczenie.

— Czy myślisz, że moglibyśmy znaleźć jakiś szczególnie dobry moment na rozmowę z nim? — dopytywał się Lennox.

— A co to byłaby za różnica? On jest tym samym Chomanche dzień i noc.

— Prawda — zgodził się Lennox, nie chcąc głębiej drażnić tematu.

Godzinę później dotarli do oazy — w miarę jak zbliżali się do tego, co tu uchodziło za cywilizację, studnie pojawiały się

coraz częściej — i chociaż Borleshan chciał ją ominąć Lennox uparł się, że powinni trochę odpocząć. Nie wiedział, czy należało namawiać Świetlika do picia, więc po prostu sam pociągnął solidny łyk i ucieszył się ujrawszy, że Borleshan poszedł za jego przykładem. *Kadeko* wzgardziły wodą i Lennox uznał, że półgodzinny wypoczynek powinien wystarczyć.

Ruszyli w dalszą wędrówkę. Pustynia z nieskończonego, jak się zdawało, ciągu wydm przeszła w zwyczajny, twarde, spieczony słońcem grunt, usiany dziesiątkami tysięcy kamiennych odłamków, które w najmniejszym stopniu nie przeszkadzały w marszu ich wierzchowcom. Lennox bezustannie obserwował horyzont, wypatrując wojowników, *raboni*, czegokolwiek, co groziłoby kłopotami, lecz można było odnieść wrażenie, że są jedynymi żywymi istotami na tej planecie.

Gorący wiatr zaczął sypać mu pyłem w twarz i wkrótce uświadomił sobie, że jego oczy są wyposażone w przejrzystą wewnętrzną błonę, która automatycznie osunęła się, by je chronić. Uderzyła go nagle pewna myśl: czy nie było szaleństwem, że próbował udawać Świetlika, skoro nie znał nawet wszystkich właściwości i funkcji swojego ciała? Zaczął się też zastanawiać nad pytaniem, na które dzień wcześniej nie udzielił odpowiedzi: dlaczego się tu znalazł, w tym miejscu, w tym ciele, czemu wrócił na tę samą planetę, gdzie został okaleczony? Na pewno nie z powodu książki: już była sprzedana. Ciekawość? Istniały inne sposoby jej zaspokojenia. Miłość do Świetlików? Nader wątpliwe. Wciąż nie był pewien, czy nie zaatakuje Chomanche, gdy tylko go zobaczy. Czy może chodziło o ten prosty fakt, że nikt nigdy przedtem tego nie zrobił? Do diabła, nikt nigdy przedtem nie dotarł do piramidy ani nie dokonał tylu rzeczy, które on potrafił dokonać. Im więcej o tym myślał, tym mniej rozumiał

samego siebie. Po prostu wiedział, że już w tej samej chwili, kiedy Nora Wallace przedłożyła mu swoją propozycję, on był gotów ją przyjąć, bez względu na to, jak ciężkie próby i cierpienia ta decyzja mogła za sobą pociągnąć.

A może to właśnie te trudne próby go pociągały? Angela tak sądziła. O ile wiedział, Nora także: na pewno dobrze się orientowała, które guziczki należy naciskać. Zarazem jednak był pewien, że choć już wcześniej cierpiał ból i gotów był go znosić w przyszłości, to zdecydowanie wolałby uniknąć wszelkich przykrych doznań fizycznych.

W końcu, zirytowany niemożnością znalezienia odpowiedzi, ponownie nawiązał rozmowę z Borleshanem.

— Jak sądzisz, ile czasu zajmie nam dotarcie do Brakkanan? — spytał.

Świetlik popatrzył w niebo i ku jakimś odległym punktom orientacyjnym nic nie mówiącym Lennoxowi, który swą poprzednią i jedyną jak dotąd podróż z placówki do miasta odbył pieszo i w ludzkiej postaci.

— Powinniśmy być na miejscu jutro rano, tuż przed zmierzchem — odparł Borleshan.

Lennox chciał go zapytać, czy ma się gdzie zatrzymać, i ewentualnie podsunąć myśl, że mogliby pozostać razem, ale obawiał się zdradzić swoją ignorancję. Z tego, co wiedział, *rabo-
ni* sypiali na dworze przy swoich wierzchowcach, tak samo jak na pustyni. Zadał więc inne pytanie.

— Co będziesz robił gdy dojedziemy do miasta?

— Jeśli moi towarzysze tam będą, przyłączę się do nich.

— A jeśli nie?

Borleshan wzruszył ramionami.

— Pójdę z tobą do Chomanche, żeby z nim porozmawiać,

a potem wrócę na pustynię. Miasto nie jest dla takich jak ja. Nie lubię paplaniny kobiet ani marudzenia dzieci.

— Czasami towarzystwo kobiet jest bardzo przyjemne — powiedział Lennox, niezdarne usiłując podtrzymać konwersację i mając nadzieję, że członkowie kasty wojowników nie ślubują celibatu.

— Towarzystwo tak, ich gadanina nie. A dzieci są dokuczliwe, wystawiają na próbę moją cierpliwość.

— A jednak bez dzieci nie byłoby następnego pokolenia.

— Nie przeczę, że są niezbędną uciążliwością — odparł Borleshan. — Choć pewnie niedługo staną się niepotrzebne.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Jeśli nauczymy się od ludzi sztuki leczenia, to chyba nikt nie będzie musiał w ogóle umierać, a po co wtedy dzieci?

— To by wymagało czegoś więcej niż wiedzy — zaproponował Lennox. — Potrzebna by była magia.

— Być może ją znają — rzekł Borleshan.

— Wątpię.

— Wydaje się, że wiesz o nich bardzo dużo, więc skoro mówisz, że nie znają magii, wierzę ci. — Popatrzył w dół na swoje kolano. — Ale to wygląda jak magia.

— Może im z kolei nasza piramida wydaje się magią — powiedział Lennox.

— Oczywiście, że tak — potwierdził Borleshan. — Gdyby było inaczej, po co miałby Lennox podkradać się do niej? Wyczuwał jej moc i pragnął poznać jej tajemnice.

— A może po prostu chciał poznać *zhandi* i nasze wierzenia.

— Po co?

— Ludzie gromadzą wiedzę. To ich towar.

— Więc musimy im tego odmówić.

— Dlaczego?

— Gdy będą już wiedzieli to, co my wiemy, nic nie będziemy mieli na wymianę i nic ich nie będzie wstrzymywało przed wybiciem nas co do jednego.

Ciepło, mój przyjacielu. Zastąp wiedzę diamentami i zrozumiesz, o co chodzi.

— Wobec tego powinniśmy znaleźć coś dla nas bezużytecznego, a wartościowego dla nich, co będziemy mogli zaproponować na wymianę — podsunął Lennox.

— Czy coś takiego istnieje?

— Jestem pewien, że jeśli będziemy szukać wystarczająco długo i dokładnie, znajdziemy to coś.

— Mam nadzieję — powiedział Świetlik. — Lecz to, czego pragniemy ty i ja i to, czego pragną ludzie, nie ma w istocie znaczenia. Chomanche wysłucha nas i on podejmie decyzję.

Lennox jechał w milczeniu, rozmyślając o ironii sytuacji, w jakiej się znalazł: wszystkie swoje nadzieje na pokój musiał pokładać w Świetliku, który już raz próbował go zabić i gdyby tylko się zorientował, kto się kryje pod chirurgicznie skonstruowaną maską, natychmiast zrobiłby to samo.

14

Przefiltrowane przez nowe zmysły Lennox'a obrazy i zapachy Brakkanan, które dotarły doń, gdy zbliżył się do przedmieść, okazały się o wiele przyjemniejsze, niż były poprzednio. Gryzące się niegdyś kolory teraz harmonizowały ze sobą. Drażniące

nozdrza wonie teraz były czyste i miłe. Głosy pracujących kobiet i bawiących się dzieci już nie zgrzytały w uszach. Mogło się to wydawać dziwne, ale w pewnej mierze czuł się jak u siebie w domu.

Naprawdę będę tęsknił za tym ciałem. Nigdy się nie męczy, widzi i słyszy rzeczy, których istnienia nawet nie podejrzewałem, gdy byłem człowiekiem. Zupełnie jakbym przed operacją był poczwarką.

Nie miał pojęcia, dokąd zmierzają, więc niemal niedostrzeżalnie ściągnął swojego *kadeko* i pozwolił Borleshanowi przejąć prowadzenie. Świetlik jechał powoli głównymi ulicami, nie rozglądając się na boki i nie wymieniając z nikim pozdrowień.

W końcu dotarli do jakiejś stajni i zsiadli z wierzchowców. Borleshan podał służącemu wodze swojego *kadeko*, lecz nie odezwał się do niego nawet słowem i nie dał mu żadnej zapłaty, a Lennox poszedł za jego przykładem.

— Pora już wziąć kolejną kulkę — powiedziała.

Świetlik skinął głową i połknął tabletkę.

— Zostanę z tobą — ciągnął Lennox. — Jeśli zamierzasz dużo chodzić, możesz potrzebować pomocy.

— Sprawdzę, czy mój klan jest tutaj. Jeśli są, to się mną zaopiekują.

Boczną ulicą dotarli do starego, zrujnowanego budynku i weszli do środka. Na całkowicie pozbawionej mebli podłodze rozsiadło się sześciu Świetlików.

— Witaj, Borleshan — odezwał się jeden z nich. — Nie sądziliśmy, że jeszcze cię kiedyś zobaczymy.

Lennox uznał, że tak było naprawdę, jeśli jednak czuli się zaskoczeni widokiem towarzysza, to bardzo dobrze to ukrywali.

— Dromesche dotrzymał danego mi słowa — odparł Bor-

ZAMGLONY HORYZONT

leshan, spacerując wokół pokoju, tak by mogli mu się przyjrzeć. — Wyleczyli moją nogę.

— Nie wątpiliśmy w słowo Dromesche, tylko w prawdomość ludzi.

— Obiecują wyleczyć każdą ranę jaką odniesie *zhandi* — oświadczył Lennox.

— Dlaczego mieliby leczyć swoich wrogów? — z niedowierzaniem spytał drugi Świetlik.

— To kosmici — wyjaśnił Lennox. — Będziesz musiał zapytać ich samych.

— Co to jest kosmita? — ostro zapytał Świetlik. — Nigdy o tym nie słyszałem.

Znowu się kropnąłeś. Oni nie mają słowa na oznaczenie kosmity, a ty bezmyślnie użyłeś ziemskiego terminu.

— To słowo, którym ludzie określają samych siebie — powiedział niepewnie.

— Za dużo wiesz o ludziach — stwierdził Świetlik podejrzliwie.

— Dużo z nimi rozmawiałem w czasie kiedy leczyli nogę Borleshana.

— Oni nie rozmawiają z *zhandi*, oni nas zabijają.

— Nieprawda — zaprzeczył Borleshan. — Gdy byłem wśród nich, traktowali mnie z szacunkiem.

— Bo bali się Dromesche — padła odpowiedź.

— Tam było ponad stu ludzi — rzekł Borleshan. — Wszyscy uzbrojeni. Mogli zabić nas w każdej chwili, a jednak nie zrobili tego.

— To musi być jakiś podstęp.

— Jeśliby nawet tak było, to nie osiągnęli niczego — wtrącił się Lennox. — Nic im nie daliśmy, a Borleshan znowu może

chodzić.

— Nie ufam im.

— Mnie też nie wierzyliście, a jednak dotrzymałem danego Borleshanowi słowa — oświadczył Lennox.

— Zgadzam się z Dromesche — oświadczył Borleshan. — Może istotnie nasze rasy zbyt mało ufają sobie wzajemnie.

— Zaufam im tylko wtedy, gdy odejdą — rzekł inny Światlik. — Po co w ogóle tu przyszli?

— Spytaj ich — doradził Lennox.

— Nie rozmawiam z podrzędnymi rasami.

— A jednak ta gorsza rasa posiada wiedzę, której potrzebujemy — powiedział Borleshan.

— To oni także zabili siedmiu z nas, gdy schwytailiśmy skradającego się w stronę piramidy intruza o imieniu Lennox.

— Myślcie sobie, jak chcecie — rzekł Borleshan. — Dromesche i ja odnajdziemy Chomanche, by omówić z nim tę sprawę. Pójdziemy do niego tak czy inaczej, z wami lub bez was.

— Bez nas — powiedział zdecydowanie któryś ze Światlików.

— Chomanche zabije każdego człowieka, którego znajdzie, i prawdopodobnie zabije również was za to, że z nimi rozmawialiście — dodał inny.

Może powniennem okaleczyć Chomanche tak jak Borleshana i wtedy bym się przekonał, czy będzie przeciwny rozmowie z ludzkimi lekarzami.

Zdrowy rozsądek i instynkt samozachowawczy powstrzymały go przed wypowiedzeniem tej myśli na głos; pozwolił Borleshanowi mówić zamiast siebie.

— Więc pozostańcie w cieniu, bezpieczni, zadowoleni z siebie i nieświadomi rzeczy — powiedział Borleshan.

Odwrócił się i wyszedł na ulicę. Lennoxowi nie pozostało nic innego, niż pójść za nim. Nie był zadowolony z wyników spotkania. Bez względu na to, co sądził Borleshan, czułby się pewniej, gdyby przed rozmową z Chomanche udało mu się przekonać do swej sprawy choćby jakichś kilkunastu *zhandi*, skoro jednak Borleshanowi nie udało się przekonać nawet członków własnego klanu, nie było raczej szansy na to, że potrafi namówić kogokolwiek z Świetlików, by przyłączył się do nich.

— Zjedzmy coś najpierw — zaproponował Lennox, chciał mieć bowiem trochę czasu na przygotowanie argumentów do dyskusji.

— Jest jeszcze wcześnie — rzekł Borleshan.

— Denerwuję się spotkaniem z Chomanche.

— Nie przejmuj się tym, co mówili moi towarzysze. Chomanche nie zabije nas za to, że zadawaliśmy się z ludźmi — powiedział Borleshan, a po chwili dodał. — Przynajmniej tak myślę.

Bardzo uspokajająca uwaga.

— To nie zmienia faktu, że jestem głodny — odparł Lennox.

Jestem też ciekaw, gdzie przyjezdni mogą otrzymać posiłek, skoro w mieście nie znajdują w ogóle restauracji.

— Jak chcesz — rzekł Borleshan.

Świetlik zajrzał do dwóch prywatnych domów i wybrał trzeci, w którym jakaś kobieta przygotowywała posiłek.

— Bądź pozdrowiona, siostrze — powitał ją ceremonialnie. — Czy dwaj wędrowcy mogą zasiąść przy twoim stole?

— Mój stół jest waszym stołem — odpowiedziała kobieta, choć Lennox wyczytał z jej twarzy i postawy, że na pewno wolałaby powiedzieć „nie”. Odniósł wrażenie, że religia nie pozwala-

ła jej odmówić bratu Świetlikowi strawy i pomocy... lecz mogło być i tak, że *raboni*, za to, że powstrzymywali się od grabieży w obrębie miasta, byli tu specjalnie traktowani, zresztą może nawet Borleshana łączyły z tą kobietą jakieś osobiste związki. Wydawało mu się, że prawdziwe jest pierwsze wyjaśnienie, ale w tym społeczeństwie obowiązywało tyle specyficznych zwyczajów, że, biorąc dodatkowo pod uwagę niezwykłą małomówność Świetlików, ktoś z zewnątrz nie miał właściwie żadnych szans zrozumieć ich zachowania, opierając się jedynie na obserwacji.

Lennox usiadł na krześle, które było dostosowane do jego ciała — po raz pierwszy takie widział. Zrobiono je z twardego drewna, a mimo to było niewiarygodnie wygodne. Małe siedzenie i wysokie nogi pasowały do jego nowej miednicy i dłuższych nóg. Jego szczątkowe skrzydła, które ludzkie meble ścisnęły nieprzyjemnie lub gniotły, przechodziły teraz swobodnie przez wycięcia w oparciu. Krzesło nie miało poręczy, ale jego nowe ręce wcale ich nie potrzebowały.

Borleshan usiadł naprzeciw niego i czekał w milczeniu. Po chwili kobieta przyniosła im w dużej misce papkowatą potrawę. Lennox nie wiedział, co powinien teraz zrobić, więc tylko uważnie obserwował zachowanie Borleshana. Świetlik przyciągnął do siebie misę, przyjrzał się zawartości i kiedy Lennox był już pewien, że uniesie wielkie naczynie do ust, popatrzył na kobietę, a ta przyniosła im dwie mniejsze miseczki. Borleshan napełnił je, zanurzywszy w potrawie, potem popchnął jedną ku Lennoxowi i zaczął siorbać z drugiej.

Lennox poszedł za jego przykładem. Spodziewał się czegoś w rodzaju owsianki i z zaskoczeniem stwierdził, że potrawa miała smak znacznie bogatszy i przyjemniejszy. Wydawało mu się, że zdołał wyróżnić sześć delikatnych przypraw i chociaż nie było

ZAMGLONY HORYZONT

tam chyba żadnego mięsa, w miarę jak jego ciało przyswajało pożywienie, czuł niemal wlewające się weń nowe siły. Cokolwiek to było, przewyższało na pewno smakiem zdecydowanie wszystko, co jadł na pustyni i w wojskowej placówce.

— Dziękuję ci, sestro — odezwał się Borleshan spożywszy posiłek w całkowitym milczeniu.

— Dziękuję ci, sestro — powtórzył Lennox.

— Nie ma za co, bracia — odpowiedziała pochylając nieco głowę. — Czy już odchodzicie?

— Wkrótce — odparł Borleshan.

Do domu wszedł Świetlik, zbliżył się i przez chwilę przyglądał się im uważnie.

— Bądźcie pozdrowieni, bracia — rzekł w końcu. — Mam nadzieję, że posiłek był dobry?

— Bardzo dobry — potwierdził Borleshan.

— Mój dom jest waszym domem — ciągnął Świetlik. — Ale oczywiście, macie jakieś sprawy do załatwienia gdzie indziej?

Brzmiało to jak skrzyżowanie delikatnej sugestii z nadzieją.

— Mamy — przytaknął Borleshan.

— Wielka szkoda — powiedział Świetlik, z całą pewnością nie sprawiając wrażenia unieszczęśliwionego. — Musicie jeszcze raz spróbować naszej gościnności.

— Tylko, jeśli będziemy mogli zwrócić ją w dwójnasób — powiedział Borleshan.

Najwyraźniej o taką odpowiedź chodziło i gdy ten mały rytuał został spełniony, Świetlik zniknął w innym pokoju.

— Tak — rzekł Borleshan spoglądając ponad stołem na Lennox — myślę, że czas ruszyć w drogę.

— Skoro tak uważasz — odparł Lennox.

— Ty przewodzisz — rzekł Borleshan. — Jeśli masz coś waż-

niejszego do załatwienia...

— Nie — przerwał Lennox. — Nic.

Podnieśli się z miejsc. Lennox zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien jakoś podziękować kobiecie lub zostawić na stole jakiegoś upominku, ale Borleshan wyszedł bez słowa i Lennox uznał, że najbezpieczniej będzie zachowywać się tak samo.

Rozpoczęli wędrówkę krętymi uliczkami Brakkanan. Być może Świetlik świadomie zdążył w określonym kierunku, ale Lennox nie umiał się w tym rozeznać. Niemal w tym samym momencie gdy uznał, że całkiem się zgubili, Borleshan zatrzymał się przed jakimś dużym budynkiem.

— On będzie tutaj — oświadczył Świetlik.

Lennox przyjrzał się budowli. Sądząc po wyglądzie mogła być czymkolwiek: domem, magazynem, świątynią, a nawet stajnią. Poza wielkością nie wyróżniała się niczym szczególnym pod względem stylu czy konstrukcji.

— A więc porozmawiajmy z nim — powiedział Lennox, mając nadzieję, że takiej odpowiedzi należało udzielić.

Borleshan wszedł do budynku i poprowadził Lennoxą przez labirynt mających dziwaczne kształty pomieszczeń, pełnych uzbrojonych, przyglądających się im ponuro Świetlików, z których żaden jednak nie próbował ich zatrzymać. W końcu dotarli do jakiegoś pustego pokoju bez okien. Pod kamienną ścianą siedział samotny Świetlik: matowy, złoty koc okrywał jego ramiona.

Lennox utkwiał w nim badawcze spojrzenie. Czy to był Cho-manche? Sądził, że ta twarz wyryła mu się na zawsze w pamięci, lecz teraz, gdy stał naprawdę tuż przed nim, nie był tego pewien. Oczy Świetlika zdawały się przewiercać go na wylot, ale ciało

wyglądało na jeszcze chudsze, niż zapamiętał. Jego wieku nie dałoby się określić po wyglądzie — co było regułą u Świetlików; wyjątki zdarzały się bardzo rzadko — ale wyczuwało się w nim znużenie, jak gdyby już nic nie mogło go zaskoczyć czy zainteresować. Głos jednak miał mocny i dźwięczny.

— Dlaczego zakłóciliście moją samotność?

— Mamy bardzo ważne sprawy do omówienia z tobą, Chomanche — powiedział Borleshan, zgięty w postawie pełnej uniżoności.

— Kim jesteście?

— Jestem Borleshan z *raboni* Quigada.

Chomanche przeniósł wzrok na Lennox, a ten szybko przyjął postawę, która miała różnić się jak najmniej od postawy Borleshana.

— A ja jestem Dromesche, wojownik z dalekiej ziemi.

— Z jakiej ziemi? — zapytał Chomanche.

Lennox próbował sobie przypomnieć jedno z odległych miast, które ponad rok temu wymieniał jego współtowarzysz z celi.

— Pochodzę z Boroda — odpowiedział.

Chomanche skinął głową.

— I obaj przybyliście do Brakkanan by mnie odnaleźć?

— Tak, Chomanche — odparł Borleshan.

— Posłucham zatem, co macie mi do powiedzenia.

— Przybywamy z placówki ludzi z postaniem do ciebie — rzekł Lennox. — Przynosimy propozycję pokoju.

Chomanche utkwiał w nim spojrzenie pozbawione całkowicie wyrazu.

— Ten *zhandi* — ciągnął Lennox, wskazując na Borleshana — mniej niż miesiąc temu został okaleczony w walce. Kola-

no spuchło mu tak, że było trzykrotnie większe niż normalnie. Nie mógł chodzić i bardzo cierpiał. Zabrałem go do placówki i ludzki doktor go wyleczył. — Przerwał na chwilę, by jego słowa w pełni dotarły do Chomanche. — Ludzie zaproponowali, że aby dowieść swej dobrej woli, przywrócą do zdrowia każdego *zhandi*, rannego czy chorego.

— To prawda, Chomanche — potwierdził Borleshan. — Z początku nie wierzyłem Dromesche, ale wszystko, co mówił, się sprawdziło. Ludzie naprawili mi nogę i traktowali mnie z szacunkiem należnym *raboni*.

— Mają poczucie — dodał Lennox — że ich motywy zostały źle zrozumiane. Pragną się z tobą spotkać i przekonać cię o swych dobrych zamiarach wobec *zhandi*. Powiedziałem, że przekażę ci posłanie.

— Mieli okazję zabić nas obu, lecz tego nie uczynili — rzekł Borleshan. — Ich wiedza medyczna przekracza wszelkie nasze wyobrażenia, a oni zaproponowali, że mogą ją nam sprzedać.

— Za co? — spytał Chomanche, przerywając po raz pierwszy swe milczenie.

— Nie wiem — odparł Lennox. — Wiem jednak, że nie chcą się wtrącać w sprawy naszego społeczeństwa. Być może chcą czegoś, co dla nich ma wartość, a dla nas jest całkowicie bezużyteczne.

— To znaczy?

— Nie wiem — powtórzył Lennox. — Nie znam ich zamierzeń. Jestem tylko posłańcem.

— To ty namówiłeś go — Chomanche wskazał na Borleshana — by zaufał ludziom. Dlaczego?

— Długo ich obserwowałem — odparł Lennox — i doszedłem do przekonania, że nie stanowią dla nas zagrożenia.

— Mimo, iż zamordowali wielu *zhandi*!

— Nie powiedziałem, że nie będą walczyć, jeśli poczują się sprowokowani — wyjaśnił Lennox. — Powiedziałem tylko, że nie mają wrogich intencji. Mój przyjaciel został okaleczony i bardzo cierpiał. Nie mogłem mu pomóc. Żaden spośród znanych mi *zhandi* nie mógł mu pomóc. Mogłem poprosić o pomoc tylko ludzi.

— *Zhandi* nie proszą o pomoc — powiedział szorstko Chomanche.

Lennox spojrział na Borleshana oczekując wsparcia, lecz Świetlik milczał.

— Nie prosiłem dla siebie — wyjaśnił Lennox — lecz dla swojego towarzysza, a prosiłem i dlatego, że to ja go okaleczyłem.

— Bardziej interesują mnie ludzie niż okaleczenia Borleshana — powiedział Chomanche. — Oni żyją za wysokimi murami. Jakim sposobem mogłeś ich obserwować?

— Widywałem ich, kiedy nie byli za murami i szpiegowałem ich. Sprawiają wrażenie rozsądnych istot.

— Nigdy mi się takimi nie wydawali — rzekł stanowczo Chomanche.

— Nie znam ich języka, ale niektóre działania i czyny można zrozumieć bez słów. Widziałem, jak rozwiązują spory tylko na drodze dyskusji, widziałem jak ich lekarze traktują ich chorych, widziałem jak okazywali współczucie nie tylko sobie wzajemnie, ale nawet i zwierzętom na pustyni. Dwukrotnie zauważyli moją obecność i za każdym razem, choć mogli mnie zabić, próbowali się ze mną porozumieć i pozwalali mi odejść w spokoju.

— Mówisz, że nie chcą się wtrącać w nasze sprawy — rzekł Chomanche. — A jednak zaledwie pół roku temu wtargnęli do

Brakkanan. Co na to powiesz?

— Nie było mnie tu, więc nie wiem, co się wydarzyło, lecz słyszałem, że przybyli, by ratować swego towarzysza.

— Sabotażystę.

— Albo może po prostu głupiego poszukiwacza przygód — powiedział Lennox. — Czy próbował zranić jakiegoś *zhandi* lub ukraść coś?

— Pojmaliśmy go, zanim zdołał to zrobić — odparł Chomanche.

— Czy przyznał, że takie właśnie miał zamiary?

— Spodziewasz się, że sabotażysta przyzna się do swych zamiarów?

— A więc jest to po prostu kwestia waszej interpretacji jego poczynań — stwierdził Lennox.

Przez dłuższą chwilę Chomanche przyglądał mu się w milczeniu. Wreszcie przeniósł wzrok na Borleshana.

— A ty — czy zgadzasz się z Dromesche?

— Nic, czego doświadczyłem w placówce, nie przeczy jego słowom — odpowiedział.

— Naprawdę wierzę, że przybyli na Medinę w pokojowych zamiarach — wtrącił Lennox. — Otwarli nam wstęp do swojego szpitala. Na pewno niczym nie ryzykowalibyśmy, godząc się na spotkanie z nimi.

— Czy takie jest twoje zdanie? — zapytał Chomanche.

— Tak — potwierdził Lennox.

— To była niezmiernie pouczająca rozmowa — rzekł Chomanche, po czym odwrócił się do Borleshana: — Borleshan, teraz pozostaw nas samych.

Borleshan natychmiast opuścił pokój.

— Spełnił swoją rolę — powiedział Chomanche, wpatrując

się intensywnie w Lennox. — Już go nie potrzebujemy.

Zapadła długa, pełna napięcia cisza.

— Czy chcesz jeszcze o coś spytać? — przerwał ją Lennox, poczuwszy nagle dziwny niepokój.

— Mam tylko jedno pytanie — rzekł Chomanche. — Kim jesteś?

— Powiedziałem ci już — odparł Lennox. — Nazywam się Dromesche.

— Wiem, co mi mówiłeś. Teraz chciałbym, byś powiedział mi prawdę.

— Nie rozumiem, o co chodzi.

— Nie pojmuję, jak to się stało, że pojawiłeś się tutaj w takim przebraniu, ale jesteś człowiekiem.

— To śmieszne! — krzyknął Lennox, mając nadzieję, że w jego głosie zabrzmiała nuta oburzenia. — Czy wyglądam jak człowiek?

— Nie — przyznał Chomanche. — Ale mimo wszystko nim jesteś.

— Dlaczego upierasz się przy tym twierdzeniu? — zapytał Lennox.

— Gdy wszedłeś do mojego pokoju zauważyłem, że niezdarnie naśladujesz ukłon Borleshana. To interesujące, pomyślałem, przecież uczy się go wszystkich *zhandi* od wczesnego dzieciństwa. Trzeba tego wojownika uważnie obserwować. Ale to jedynie obudziło moje podejrzenia, zdradziło cię co innego — Chomanche przerwał, Lennoxowi wydawało się, że Świetlik przenika wzrokiem przez jego skórę aż do znajdującego się pod nią człowieka. — Świat, na którym żyjemy nazywa się Grotamana — podjął Chomanche. — Tylko ludzie nazywają go Medina.

Wspaniale, Lennox, ty przeklęty głupcze! Przygotowywałeś się przez całe sześć miesięcy, a nie minęło nawet dziesięć minut i sam się zdradziłeś.

15

Kim jesteś? — powtórzył Chomanche nie zmieniając wyrazu twarzy.

— Nie zgadniesz?

Światlik przez długą chwilę rozważał tę odpowiedź.

— Podejrzewam, że jesteś Xavier William Lennox, ale chciałbym, abyś to potwierdził.

— Tak, to ja — powiedział Lennox, sztywniejąc. — Pamiętaj — mogę cię dosięgnąć, zanim jakikolwiek Światlik zdoła dosięgnąć mnie.

— Czy przybyłeś tu, by mnie zabić? — zapytał Chomanche.

— Nie, jeśli tylko mnie do tego nie zmusisz — odparł Lennox.

— Czy chodzi o zemstę?

— Nie.

Chomanche przyglądał mu się uważnie przez cały czas.

— To nie maska czy przebranie — powiedział wreszcie.

— Nie.

— Rzeczywiście zmieniłeś swoją postać.

— To prawda.

Chomanche wyciągnął rękę i dotknął delikatnie jego twarzy i piersi.

— Pochyl się.

Lennox nachylił się i Chomanche obejrzał jego skrzydła. W końcu ujął jedną z długopalcych dłoni Lennox'a w swoją dłoń i szczegółowo ją zbadał.

- Magia! — zawołał przerażonym głosem.
- Chirurgia — odparł Lennox.
- Co to jest chirurgia?

Lennox zaczął wyjaśniać cały proces, lecz Świetlik słuchając go kręcił głową i pomrukiwał z niedowierzaniem.

— To nie może być prawdą — przerwał w końcu. — Gdy odetnę twoje palce, nie urosną ci nowe, czy jesteś człowiekiem, czy *zhandi*. Kiedy odrąbię ci stopę, to nowa się nie pojawi. Nie, Dromesche, to magia.

- To procedura naukowa.
- Jakie modlitwy lub zaklęcia są tu potrzebne?
- Używa się narzędzi medycznych, niczego więcej.
- Jakich narzędzi?
- Skalpela — to rodzaj noża. I różnych protez — sztucznych kończyn.
- Jeśli cię zranię, będziesz krwawił?
- Tak.

— Zostałeś więc oszukany — orzekł Chomanche. — Twoje kończyny nie są sztuczne. A jeśli noże w ogóle były w użyciu, niewątpliwie zostały pobłogosławione przez kapłanów, a prowadził je sam Bóg.

Nigdy nie zwyciężę w tym sporze. Ale właściwie, czym się zajmuję? Jeśli chce myśleć, że Bóg się mną szczególnie interesuje, po co rozwiewać mu te iluzje?

- Tylko Bóg może stworzyć taki cud — ciągnął Chomanche. — Przekracza to nawet moc Najbledszego.
- Najbledszego?

— Sprzeciwiającego się Bogu — odparł kapłan.

Lennox zachował milczenie, gdy Chomanche wyciągnął rękę i ponownie go dotknął.

— Lecz dlaczego Bóg postanowił zmienić cię w *zhandi*?

Dobra, niech będzie po twojemu.

— Nie mogę wiedzieć, jakie są zamysły Boga — powiedział Lennox ostrożnie, mając nadzieję, że nie zostanie oskarżony o bluźnierstwo — ale mam swoją teorię.

— Jaką?

— Byłem człowiekiem i wiem, że ludzie nie są waszymi wrogami. Pragną jedynie żyć w pokoju i obdarzyć was dobrodziejstwami swojej wiedzy. Lecz jeśli chciałby wam przekazać to posłanie któryś z ludzi, nie uwierzylibyście mu. Sądzę, że Bóg uczynił mnie *zhandi*, ponieważ możecie przyjąć ową prawdę tylko od jednego z waszych braci.

Przez długą chwilę Chomanche siedział nieruchomo, jak gdyby zmagając się z tą myślą.

— To możliwe — odezwał się w końcu.

Doprawdy? Ja bym w to nie uwierzył nawet przez moment — ale przecież nie jestem najwyższym kapłanem prymitywnej teokracji.

— To możliwe — powtórzył Chomanche — lecz to, co możliwe nie zawsze jest prawdą. Zamieszkaż w moim domu, będziesz jadł przy moim stole i w końcu dowiem się dokładnie, czemu Bóg przysłał cię tu w takiej postaci.

— Przyjmuję twoją gościnę — rzekł Lennox. Jak bym miał w ogóle jakiś wybór. — Wiele się od ciebie muszę nauczyć, bo choć fizycznie jestem *zhandi*, to gdy chodzi o umysł, pozostałem człowiekiem i bardzo wielu rzeczy nie rozumiem.

— Od tej chwili nie jesteś Xavier William Lennox, człowiek,

lecz Dromesche, *zhandi* — oznajmił Chomanche. — A skoro Bóg przemienił cię i przysłał do mnie, poprowadzę cię drogą wiodącą ku prawdziwej wiedzy, dopóki nie wypełnię jego woli.

— Zacznijmy od razu — odezwał się Lennox chcąc wykorzystać okazję. — Dlaczego mnie okaleczyłeś?

— Najwyraźniej Bóg wystawiał nas na próbę.

— Lecz wówczas jeszcze o tym nie wiedziałeś — odezwał się Lennox. — Nie byłem dla ciebie żadnym zagrożeniem. Jeśli Bóg nie kazał ci tego uczynić...

— Chodziło tu oczywiście o korzyści natury politycznej — przerwał Chomanche. — Z tych samych powodów pozostawiono cię przy życiu.

— Pozostawiono przy życiu? — zdumiał się Lennox. — Pomoc przybyła w momencie, kiedy właśnie zamierzałeś mnie zabić!

— Widzieliśmy nadchodzących ludzi, gdy byli w połowie drogi pomiędzy Brakkanan a piramidą — powiedział Chomanche. — Czy naprawdę sądzisz, że grupa wojowników może się podkraść w nocy do *zhandil*

Oczywiście — moje własne widzenie w ciemności! Dlaczego, u diabła, nie pomyślałem o tym?

— Albo, że nie mogłem cię zabić, zanim przybyli, jednym pchnięciem włóczni?

Ponad pół roku rozpamiętywałem wszystkie szczegóły i ani razu nie przyszło mi to do głowy.

— Nadal pragnąłbym usłyszeć wyjaśnienie.

— Znajdź je sam, Dromesche — odparł Świetlik. — Wiem jedno: Bóg nie przemieniłby w *zhandi* głupca.

Nie założylbym się.

— Zabicie mnie wywołałoby wojnę?

ZAMGLONY HORYZONT

— Czy naprawdę sądzisz, że Xavier William Lennox był tak ważny?

— Nie — przyznał Lennox uczciwie. — Prawdopodobnie nie.

Chomanche milczał.

— Miało to być ostrzeżeniem — powiedział Lennox zastanowiwszy się przez chwilę.

— Oczywiście.

Lennox skrzywił się niepewnie.

— Ale przecież w garnizonie wiadano, że nie życzyacie sobie intruzów, a ty z kolei wiedziałeś, że nie jestem żołnierzem, więc to wyjaśnienie jest bez sensu.

Świetlik siedział nieruchomo, jakby czekając na dalsze słowa Lennox.

— To nie dla garnizonu miałem być ostrzeżeniem — powiedział Lennox wolno; jego umysł pracował intensywnie. — Wiedziałeś, kim jestem, i jaką cieszę się sławą. Wiedziałeś, że przekażę swoją historię innym ludziom. Chciałeś, żebym ją opowiedział, aby żaden inny człowiek nie miał już ochoty odwiedzać Mediny.

Chomanche wydał potwierdzający pomruk.

— Więc gdyby nawet placówka nie wysłała żołnierzy z odsieczą dla mnie, nigdy nie zamierzałeś mnie zabić.

— Co by to dało?

— Jeśli natomiast byłbym żołnierzem zabilibyście mnie od razu?

— To by oznaczało zmianę polityki ludzi i mielibyśmy wojnę.

— Lecz ponieważ byłem kimś sławnym i nie wojskowym, większą wartość miałem dla was okaleczony i żywy niż martwy.

Chomanche nie widział potrzeby potwierdzenia tego co oczywiste, więc nic nie odpowiedział.

— To ma sens — przyznał Lennox.

— Nie odczuwasz gniewu?

— Gniew jest jak ból — rzekł Lennox. — W końcu przemija.

— Dobrze — powiedział Chomanche. — Nasz Bóg mógłby cię przysłać po to, by nas ukarać. — I dodał po chwili przerwy: — Czego chcesz ode mnie?

— Chcę się od ciebie uczyć — oświadczył Lennox. — Jestem w połowie *zhandi*; pragnę być nim w pełni. Już widzę, słyszę i czuję jak *zhandi*; teraz chcę rozumieć moje doznania jak *zhandi*. Chcę wiedzieć to, co wy wiecie, myśleć jak wy.

A jeśli przekonam się, że daje to takie spełnienie jak noszenie jednego z waszych ciał, może nigdy nie powrócę.

— Będę cię uczył — zgodził się Chomanche. — A w zamian, ty nauczysz mnie tego, co wiesz o ludziach, bym w razie jeśli zdecyduję się z nimi rozmawiać, nie znalazł się w niekorzystnej pozycji.

Nagle kapłan wstał, klasnął w dłonie i w chwilę później pokój wypełnił się Świetlikami — weszło ich ze dwudziestu. Lennox uznał, że uzbrojeni byli wojownikami, a nie uzbrojeni — kapłanami.

— To jest Dromesche — oświadczył Chomanche. — Zapamiętajcie go dobrze, bo został wybrany przez Boga, by żył pomiędzy nami. Jeśli poprosi o pomoc, musicie mu jej udzielić. Jeśli będzie poszukiwał wiedzy, nie będziecie jej przed nim ukrywać. Jeżeli przekroczy nasze prawa, powiadomicie mnie o tym, lecz nie uczynicie nic przeciw niemu.

Stary kapłan, pochylony w ukłonie wyrażającym najgłębszą uniżoność, odezwał się niemal niesłyszalnym głosem.

— Nigdy nie zwątpiłbym w słowa Chomanche — wyszeptał ostrożnie — ale Dromesche wygląda jak każdy inny *zhandi*. Czy mogę spytać, w jaki sposób został wybrany przez Boga?

— Przypatrzcie się Dromesche uważnie — powiedział Chomanche. — Czy któryś z was go poznaje?

Wszyscy obecni w pokoju kapłani i wojownicy wymamrotali zaprzeczenia.

— Mylicie się — rzekł Chomanche.

— Nigdy wcześniej go nie widziałem — odezwał się jeden z wojowników.

— Owszem, widziałeś — odparł Chomanche. — Nawet wbiłeś włócznię w jego stopę.

— Jeśli on ci to powiedział, kłamie! — zaprotestował wojownik.

— Nie, nie kłamie — stwierdził Chomanche. — Jest świadek.

— Kto?

— Ja sam.

Wojownik nie odważył się zaprzeczyć słowom najwyższego kapłana, lecz cała jego postawa wyrażała głębokie zmieszanie i niedowierzenie.

— Pytałeś, skąd wiem, że został wybrany — ciągnął Chomanche, odwracając się do starego kapłana. — Teraz otrzymasz odpowiedź. Dromesche, powiedz im, jak brzmi twoje poprzednie imię.

— Xavier William Lennox — powiedział Lennox i popatrzył po twarzach zebranych *zhandi*.

Niech mnie szlag? Ani jeden nie zamierza poddać tego w wątpliwość. I co więcej — myślę, że oni mu naprawdę wierzą! Jedno słowo najwyższego kapłana jest prawem. Nic dziwnego, że ciągle jeżdżą na *kadeko* i nie mają nawet prymitywnych wy-

chodków.

— Dlaczego został tu przystany? — zapytał kapłan.

— To objaśnię we właściwym czasie — rzekł Chomanche, zanim Lennox zdążył się odezwać. — Lecz zapamiętajcie twarz i moje polecenia.

Gestem ręki polecił odejść wszystkim kapłanom i wojownikom i pokój momentalnie opustoszał.

— Mam jeszcze kilka pytań — oznajmił Lennox.

— Bóg mógł dać ci odpowiedzi na twoje pytania, podobnie jak dał ci nowe ciało — odparł Chomanche. — Fakt, że tego nie uczynił, oznacza, iż chce, byś sam do nich doszedł.

— Tego właśnie próbuję dokonać.

Chomanche wstał.

— Pierwsza rzecz, której muszę cię nauczyć, to cierpliwość. Całe swoje życie przeżyłeś jako człowiek; nie jesteś w stanie duchowo stać się *zhandi* w ciągu dni czy miesięcy. — Przerwał na moment. — Mógłbym odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania o *zhandi*, jeszcze zanim wstanie świt, ale to, czego byś się w ten sposób dowiedział, byłoby dla ciebie całkowicie bezużyteczne. Musisz przez jakiś czas żyć między nami, nie tylko obserwując, lecz doświadczając.

— Zamierzałem tak uczynić.

— Chodź — powiedział Chomanche, po czym ruszył ku drzwiom. — Teraz pokażę ci twoją kwaterę.

Lennox wstał i poszedł za kapłanem przez zatłoczone pokoje. Po chwili wyszli na ulicę.

— Myślałem, że tu jest twój dom — rzekł Lennox.

— Myliłeś się.

— Czy to jest świątynia?

— Być może jutro ty mi powiesz, co to jest.

Szli w milczeniu, wzdłuż krętej ulicy, potem skręcili w jakąś przecznicę. Zatrzymali się przed budynkiem nie różniącym się zupełnie wyglądem od innych.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił Chomanche. — Chodź, Dromesche.

Świetlik wszedł do budynku, a Lennox podążał za nim krok w krok. Przeszli przez nie umeblowany pokój i przyjemnie pachnącą kuchnię, w której pracowały dwie kobiety; żadna nie zwróciła na nich w ogóle uwagi. Dotarli do ciągu trzech pokoi — podłogi wszystkich pokrywały maty. Chomanche przeprowadził go przez nie do niewielkiego, okrągłego pomieszczenia o dwóch oknach.

— Będziesz spał tutaj — powiedział.

Lennox w milczeniu rozejrzał się dookoła.

— Wydaje mi się, że nie jesteś zadowolony, czy mam rację? — spytał Chomanche.

— Każdy pokój jest dobry — odparł Lennox. — Lecz gdybym chciał w nocy wyjść, będę musiał przejść przez wszystkie trzy pozostałe. Nie chciałbym zakłócać twojego snu.

— Dlaczego miałbyś wychodzić?

— Nauka to proces, który nie kończy się z nadejściem nocy.

— Każdej nocy będziesz chodził pod piramidę — powiedział Chomanche. — A ponieważ ja także tam będę, nie obudzisz mnie.

— Wolno mi będzie tam pójść? — zdumiał się Lennox.

— Jesteś *zhandi* — wyjaśnił kapłan.

— Nie będę wiedział, co mam tam robić.

— A co zamierzałeś robić, gdy znalazłeś się tam poprzednio?

— Przyłączyć się do tłumu i naśladować go, aż zrozumiem o co chodzi.

— Rozsądna taktyka.

— To wszystko, co masz mi do powiedzenia? — zapytał Lennox.

— Jeśli pomimo gorliwych starań, nadal będziesz miał trudności, pomogę ci — odparł Chomanche.

— Czuję, że niezależnie od tego, ile sam zdołam sobie przyswoić, jest coś, co będziesz mi musiał w końcu wytłumaczyć — powiedział Lennox.

— Cóż to takiego?

— Dlaczego ci *zhandi* dobrowolnie skakali po swoją śmierć?

— Prawdopodobnie będę musiał ci powiedzieć — zgodził się Chomanche. — Lecz jeśli zdołasz to pojąć bez mej pomocy, w dniu kiedy to nastąpi, staniesz się prawdziwym *zhandi*, zarówno ciałem, jak i duszą.

Lennox przyrzekł sobie w duchu, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym stanie na szczycie piramidy znając odpowiedź na owo pytanie.

16

Lennox stał na wierzchołku masywnej piramidy i swoimi sztucznymi oczami patrzył przed siebie ponad pustynią. Przyglądał się przez jakiś czas południowemu niebu, chmurom, ruchomym piaskom i odległemu stąd o jakieś trzy mile miastu Brakkanan. Potem zamknął oczy i zatrzepotał szczątkowymi skrzydłami.

Nic się nie stało.

Co oni widzieli? Czy myśleli, że mogą latać? Czy zdawali

sobie sprawę, że rzucają się w objęcia śmierci? A jeśli nie uświadamiali sobie tego tutaj, co czuli i myśleli znalazłszy się w połowie drogi w dół? Czy wówczas żałowali tego, czy też to właśnie śmierci pragnęli?

Otworzył oczy i popatrzył w dół ku ziemi. Nie miał zawrotów głowy, nie bał się, że straci równowagę.

Co skłania człowieka czy *zhandi* do dobrowolnego skoku z takiej wysokości? Czy osiągnęli taki stopień wtajemniczenia lub ekstazy, że nic, czego mogliby w przyszłości doświadczyć, nie mogłoby się z tym równać? Czy też spostrzegli, że teokracja odebrała sens ich życiu i skaczą, bo nie widzą sposobu, by odmienić swój los?

Od tygodnia, każdej nocy, przychodził pod piramidę. Modlitw wciąż jeszcze zupełnie nie rozumiał, ale pojął formę ceremonii i bez żadnej trudności stawał się jednym z tysięcy uczestniczących w nocnym rytuale. Jednakże nie było dotąd ani jednej takiej nocy, by dwóch czy trzech *zhandi* nie wspięło się na szczyt piramidy, nie stanęło w miejscu, gdzie stał w tej chwili, i nie rzuciło się w pustkę. Nie były to ofiary. Nikt ich do tego nie zmuszał. Nie znajdowali się też pod wpływem narkotyków. Byli zupełnie normalnymi dorosłymi osobnikami; nie wyglądali na istoty owładnięte fanatyzmem religijnym, nie mieli więcej powodów by umrzeć niż dzień, tydzień czy miesiąc wcześniej. A jednak skakali.

Lennox popatrzył w dół i zobaczył zbliżającego się do piramidy samotnego *zhandi* prowadzącego *kadeko*. Za pomocą dawnego, ludzkiego wzroku nigdy nie byłby w stanie go zidentyfikować, lecz nowe oczy bez trudu pozwoliły mu rozpoznać, że to był Borleshan. Wykrzychał pozdrowienia, a gdy Świetlik spojrział w górę, pomachał mu ręką i zaczął schodzić po znajdu-

jących się w tylnej ścianie piramidy stopniach.

— Powiedziano mi, że tu cię znajdę — powiedział Borleshan, gdy Lennox dotarł już na dół i podszedł do niego. — Przeszedłem się pożegnać.

— Wracasz na pustynię ze swoimi *raboni*?

— W mieście nic nas już nie zatrzymuje. Czuję się tu... jak uwięziony w klatce.

— Jak twoje kolano?

— Ból ustąpił już całkowicie.

— Cieszę się — powiedział Lennox. — Mam nadzieję, że będziesz miał dobrą podróż.

— Chciałbym ci życzyć tego samego — odparł Borleshan — lecz Wybraniec Boga nie potrzebuje życzeń od *raboni*.

— Wybraniec Boga?

— Tak cię nazywają, Xavierze Williamie Lennoxie, i to jest drugi powód, dla którego muszę odjechać.

— Nie rozumiem — powiedział Lennox.

— Chomanche przekonał kapłanów, że zostałeś przekształcony w *zhandi* przez Boga. Ponieważ wędrowałem z tobą, bezustannie proszą mnie, bym opowiadał o naszych przygodach.

A nie umiałbyś kłamać dla ratowania duszy.

— Pojmuję — rzekł Lennox

— Nie sędzę — odparł Borleshan. — Widziałem na własne oczy cuda ludzkiej medycyny i jestem przekonany, że wiem, jak dokonano twojego przekształcenia. Ale gdybym tylko wspomniął coś na ten temat, gdybym powiedział cokolwiek, co byłoby sprzeczne z tym, co obwieścił Chomanche, zginąłbym jako bluźnierca. Lepiej zniknąć na pustyni, gdzie, mam nadzieję, nikt tej sprawy nie będzie poruszał.

Lennox wyciągnął ku niemu dłoń.

— Co to oznacza? — zapytał Świetlik.

— To jest ludzki gest. Uściśnij ją.

Borleshan posłusznie zamknął dłoń Lennox w swojej dłoni.

— To oznacza, że jesteśmy przyjaciółmi i że życzę ci jak najlepiej — wyjaśnił Lennox.

— Nie wiem dlaczego się tu znalazłeś, Xavierze Williamie Lennoxie, ale ludzie dobrze mnie traktowali. Mam nadzieję, że twoja misja, czegokolwiek ona dotyczy, zakończy się sukcesem. Będę przyglądał się twym poczynaniom z daleka, ale z ciekawością.

Borleshan odwrócił się i podszedł do swojego *kadeko*, a Lennox już nie wspiął się ponownie na piramidę, tylko ruszył w powrotną drogę do Brakkanan.

Uwielbiam te wewnętrzne powieki, pomyślał, gdy dopadł go wiatr i otoczył tumanem piaszczystego pyłu. Zastanawiam się, czemu nie mielibyśmy wyposażyć w nie wszystkich ludzi pracujących na pustynnych planetach? A nogi? Muszę ważyć teraz więcej, niż ważyłem, będąc człowiekiem, a one nigdy się nie męczą. Poczuł nagłą chęć, by pobiec do miasta i wypróbować w ten sposób swoją wytrzymałość, ale szybko zrezygnował ze swego zamiaru. To było społeczeństwo, w którym obowiązywały ścisłe zasady postępowania i wszelkie ich przekroczenie mogło zostać łatwo uznane za akt bluźnierstwa. Nikt tu nie biegał, nikt nie układał szat w sposób odmienny od ogólnie przyjętego, nikt nie proponował jakichkolwiek reform społecznych — i wyglądało na to, że tylko Lennox, dzięki Bogu, i Chomanche, mogli bezkarnie zadawać pytania.

Znalazłszy się w połowie drogi do Brakkanan zmienił kierunek i postanowił wielkim łukiem obejść miasto.

To dziwne, ale ja też czuję się jakby uwięziony w Brakkanan,

choć podejrzewam, że z innych powodów niż Borleshan. Kocham poczucie wolności i siły, jakie daje mi to ciało, ale w tym społeczeństwie jest tak mało swobody, że czuję się uwięziony w sensie zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Jest tak wiele rzeczy, które Świetlik potrafi robić, mając to ciało, a tak niewiele robić mu wolno...

Dotarł do domu Chomanche tuż przed zmrokiem i zasiadł wraz z kapłanem do posiłku. Obsługiwały ich przy stole, jak co wieczór, dwie kobiety.

— Mam pytanie — odezwał się Lennox, gdy obie zniknęły w kuchni.

— Możesz pytać.

— Czy to twoje żony?

— Tak.

— Dlaczego nie jedzą z nami?

— Są kobietami.

— Czy kobiety nie odczuwają głodu? — spytał Lennox, mając nadzieję, że w jego głosie nie odezwie się nuta sarkazmu.

— Nie są nam równe ani fizycznie, ani umysłowo — odparł Chomanche. — Najlepiej jest, kiedy żyją osobno.

— Czy uczycie je tak samo jak młodych mężczyzn?

— Oczywiście, że nie. Byłby to zmarnowany wysiłek.

— Czy mogę też przyjąć, że nie otrzymują odpowiedzialnych stanowisk w waszym społeczeństwie?

— Gdyby pozwolono im je pełnić, udowodniłyby, że się do tego nie nadają.

— Rozumiem.

— Nie pochwalasz tego?

— Nie mnie o tym mówić — odpowiedział Lennox. — Po prostu próbuję się uczyć.

— Jesteśmy sami. Możesz mówić szczerze.

Lennox wziął do ręki małą tykwę wodną.

— Jeśliby nie chciano cię kształcić i pozbawiono wszelkiej możliwości zajęcia jakiegoś odpowiedzialnego stanowiska w Brakkanan, to czemu miałby z ciebie wyrosnąć ktoś bardziej inteligentny i użyteczny niż ta tykwa?

— Nasze kobiety są wykształcone — odparł Chomanche cierpliwie. — Od najwcześniejszego dzieciństwa uczy się je gotowania i szycia, a zanim staną się zdolne do rodzenia dzieci, wiedzą, jak je pielęgnować.

Założę się, że również znakomicie zbierają chrust.

— Najwyraźniej źle cię zrozumiałem — rzekł Lennox.

— Ludzie kształcą swoje kobiety w ten sam sposób jak mężczyzn? — zapytał Chomanche.

— Tak.

Kapłan zastanawiał się przez moment, po czym wzruszył ramionami.

— Są inną rasą.

No, przynajmniej nie jest to bluźnierstwo. Jeszcze jest dla ciebie nadzieja.

Chomanche znowu milczał przez chwilę, pogrążony w głębokiej zadumie.

— Opowiedz mi więcej o ludziach — powiedział wreszcie.

— Co chciałbyś wiedzieć?

— Rozprzestrzenili się po całej galaktyce, czyż nie?

— Tak.

— Ile planet obejmuje ich Republika?

— Według ostatnich informacji, jakie słyszałem, około dwanaście tysięcy — odpowiedział Lennox. — W ciągu ostatniego roku liczba ta mogła się zwiększyć o parę setek.

ZAMGLONY HORYZONT

— Skoro pragną tak wielu planet, to czemu miałbym wierzyć, że nie mają ochoty i na moją?

— Ludzie nie włączają do Republiki żadnego świata, który sobie tego nie życzy — wyjaśnił Lennox. — Planeta musi w demokratyczny sposób podjąć uchwałę o chęci przystąpienia do Republiki, a potem ta uchwała musi zostać ratyfikowana przez ludzki rząd na Deluros VIII.

— My nie chcemy się przyłączać — powiedział Chomanche. — Powiedziałem to im. Jeśli mówisz prawdę, dlaczego nie odlatują?

— Musicie mieć coś, co chcieliby od was kupić — odparł Lennox. — Jeśli tak jest, znajdujecie się w sytuacji godnej pozazdroszczenia.

— Wyjaśnij.

— Wy możecie handlować jedynie rzeczami znajdującymi się na Grotamana, podczas gdy oni mogą sprzedawać dobra z ponad dwunastu tysięcy planet. — Lennox przerwał i starał się dociec, czy posunął się choćby krok do przodu, lecz twarz Chomanche pozostała niezwruszona. — Mogą również zaofiarować coś unikatowego w tej galaktyce: swoją wiedzę.

— Nie interesuje nas ich wiedza — oświadczył Chomanche.

— Sądzę, że może zechcesz raz jeszcze to przemyśleć — ciągnął Lennox. — Już udostępniłi swoje obiekty medyczne wszystkim *zhandi*. Mogą przekazać twoim współplemieńcom całą swoją wiedzę o leczeniu. Mogłoby to położyć kres cierpieniom wielu z was, a wielu ocalić od śmierci.

— Już zabroniłem wszystkim *zhandi* odwiedzać waszą placówkę — rzekł Chomanche.

— Dlaczego?

— Ponieważ wasza medycyna sprzeciwia się woli Boga. Jeśli

On postanawia, że musimy cierpieć i umierać, kimże jesteśmy, by sprzeciwić się jego pragnieniom?

— A może On właśnie pragnie, byście nauczyli się, jak uzdrawiać chorych *zhandi*, w przeciwnym bowiem razie nie pozwoliliby, aby ludzie przedłożyli wam taką propozycję.

Chomanche potrząsnął głową.

— To dzieło Najbledszego, który zawsze ofiaruje nam łatwe ścieżki. Pragnienia Boga są jasne: jeśli spada na ciebie choroba lub zostaniesz zraniony, dzieje się tak dlatego, że pogwałciłeś Jego prawa i musisz ponosić konsekwencje swojego postępowania.

A oddanie tej wiedzy w ręce kogoś innego pomniejszyłoby władzę kapłanów, czyż nie?

— Weź więc pod uwagę, że, jak już powiedziałem, będziecie mogli wybierać spośród dóbr pochodzących z tysiąca światów.

— Bóg stworzył nas i Grotamana — rzekł Chomanche. — Czegóż więcej nam trzeba?

Tak mówi kapłan, który nigdy nie opuścił tego miasta, nie mówiąc już o tej planecie.

— Istnieje bardzo wiele rozmaitych wytworów — odparł Lennox. — Są tkaniny, których wiatr nie jest w stanie rozedrzeć. Barwniki, które nie blakną. Maszyny, które są w stanie dotrzeć tam, gdzie *kadeko* zawodzi i nigdy się nie męczą.

— A broń?

— Broń także.

— Jaka broń?

Zawsze chodzi o broń, czyż nie tak?

Lennox szczegółowo opisał niektóre z prostszych rodzajów broni palnej. Na kapłanie wywarło to najwyraźniej silne wrażenie.

- A czego ludzie zażądadają od nas w zamian?
- Nie wiem — powiedział Lennox.
- Spróbuj więc zgadnąć.
- Jest wiele minerałów... — zaczął Lennox.
- Minerałów? — przerwał Chomanche.
- Kamieni o różnej strukturze. Wiele z nich ludzie bardzo chcą mieć na własność.
- By się stroić?
- Między innymi.
- Mamy bardzo niewiele takich kamieni.
- Ludzie mają maszyny, które potrafią wykryć je, nawet gdy są ukryte pod powierzchnią ziemi czy w ścianach jaskiń. Możliwe, że w zamian za te, dla was bezużyteczne kamienie, zaofiarują wam wiele rzeczy dla nich nieciekawych lub mało wartościowych, czy też rzeczy, które mają w wielkich ilościach.

Teraz Chomanche wpatrywał się tylko w niego nieruchomym pozbawionym wyrazu spojrzeniem i Lennox czuł, że powinien mówić dalej, wyliczyć jak najwięcej rzeczy, mogących być przedmiotem ludzkich pragnień, tak by kapłan nie uznał za nadmiernie cenne diamentów, o które w rzeczywistości chodziło. Gdy wyczerpał już wszystkie możliwości — na tej jałowej wypalanej planecie nie było ich zbyt dużo — kapłan jeszcze przez chwilę zachowywał milczenie, a potem wstał.

— Pomyślę o tym.

Jasne, że pomyślisz, sprytny stary łajdaku. A potem znajdziesz jakiś powód, by zmienić stanowisko i potargować się o karabiny.

Lennox poszedł spać, wciąż jeszcze nie wiedząc, czy dobrze rozegrał sytuację.

Odpowiedź poznał już następnego dnia; Chomanche odna-

laź go specjalnie po to, by mu ją zakomunikować.

— Przemyslałem to wszystko i porozmawiam z ludźmi — oświadczył kapłan.

Gdzieś w zanadrzu ukrywasz coś, co pozostawia ci furtkę. Zgodziłeś się podejrzanie łatwo.

— Bardzo się cieszę — odparł Lennox.

— Przygotujesz spotkanie z nimi, tu w Brakkana. Ponieważ są intruzami, pozwolimy przyjść tylko dwóm, i muszą być nie uzbrojeni. Pójdiesz do ich twierdzy, przyprowadzisz ich i będziesz służył za tłumacza.

— Z ogromną przyjemnością.

— Jeśli przyjdzie ich więcej niż dwóch lub jeśli przyniosą ukrytą broń, będę wiedział, że porzuciłeś Boga dla Najbiedszego, i ból, jakiego doznałeś, gdy byłeś Xavierem Williamem Lennoxem, okaże się niczym w porównaniu z tym, czego doświadczysz teraz, będąc Dromesche.

Nie ma to jak być Wybrańcem Bożym.

— Rozumiem — powiedział Lennox. — Kiedy chciałbyś się z nimi spotkać?

— Jesteś wśród nas od siedmiu dni. Nie chcę, by pomyśleli, że mi na tym bardzo zależy, więc zanim wyruszysz do fortecy, odczekasz jeszcze dwadzieścia dni.

— Jak sobie życzysz — odparł Lennox. — Czy jeszcze coś?

— Tylko jedno — rzekł Chomanche. — Bóg dał ci ciało *zhandi* i traktowałem cię tak, jakbyś był jednym z nas.

— Doceniam to.

Kapłan uniósł rękę.

— Jeszcze nie skończyłem — powiedział, wpatrując się bacznie w sztuczne oczy Lennox. — Ludzie są występłą, dwulicową rasą, a ty w połowie jesteś jeszcze człowiekiem. Będę obser-

wował cię bardzo uważnie.

17

Ludzie przyszli i ludzie odeszli, a potem przybyli znowu i w końcu umowa została zawarta. Republika uzyskała prawo wydobywania diamentów na pustyni w pobliżu Brakkanan, a Chomanche otrzymał sto karabinów — co roku miał dostawać tyle samo — które niezwłocznie rozdał najgorliwszym wyznawcom wiary.

Lennox wypełnił swoją misję w czasie krótszym niż dwa miesiące. Mógł wracać do domu i poddać się operacjom, które przywróciłyby mu dawną postać, ale nie miał jeszcze ochoty rezygnować ze swojego nowego ciała, a poza tym chciał zdobyć więcej wiedzy o Świetlikach z Mediny.

Wciąż jeszcze, na przykład, zdumiewał go i zastanawiał fakt, że jego ciało, podobnie jak ciała innych Świetlików jaśniało blaskiem w ciemności. W końcu wykrył, jaki był tego powód: w zamierzchłej przeszłości żył na tej planecie jakiś nocny drapieżnik, który — nim wymarł kompletnie dawno temu — polował na Świetliki. Na jakimś etapie ewolucyjnego rozwoju wykształciła się u nich zdolność emitowania światła, które oślepiło wielkookiego drapieżcę.

(Owa zdolność do świecenia przyniosła też bardzo cenny efekt uboczny, mianowicie wyeliminowała z życia Świetlików kradzieże i większość innych kryminalnych przestępstw, ponieważ w znacznym stopniu niemożliwe się stały pewne skryte dzia-

łania zarówno w dzień, jak i w nocy. Dlatego też nie istniały żadne siły porządkowe ani sądownictwo, zwłaszcza że niemal wszystkie dokonywane przestępstwa zawierały pewien element świętokradztwa i karane były przez kapłanów.)

Inną sprawą były skrzydła. Nigdy nie umożliwiły latania i nikt nie potrafił podsunąć żadnego rozsądnego powodu uzasadniającego ich istnienie. Wprawdzie Lennox potrafił nimi świadomie trzepotać, lecz nie służyło to żadnemu celowi: nie chłodziły, gdy zdejmował ubranie, nie były zdolne do chronienia jego nagiej skóry przed owadami, nie dawały mu nawet złudzenia, że potrafi fruwać.

Równocześnie badał granice możliwości swojego niezwyklego ciała, wypróbowując jego siłę, wzrok, zdolność do przyswajania niemal każdego pożywienia. Badał również o wiele ściślejsze ograniczenia obowiązujące w społeczeństwie, w którym się znalazł.

Umiejętność czytania zastrzeżona była dla kapłanów, którzy studiowali wyłącznie swą świętą księgę, jedyną książkę, jaką zdołał znaleźć w Brakkanan.

Wszystko, co nie dawało się łatwo wyjaśnić, a więc zarówno zjawiska naturalne, jak ludzką technologię, uznawano za magię.

Dzieci biegały swobodnie po ulicach, a na posiłki wstępowały do dowolnie wybranych domów, często przy tym pozostawały u obcych na noc. Rodzice zdawali się nie przejmować ich nieobecnością, nie mieli też najwyraźniej żadnego poczucia własności ani odpowiedzialności wobec swego potomstwa. Każdy dorosły, dowolnej płci, mógł wymierzyć dziecku policzek za niewystarczająco szybkie wykonanie polecenia, a małe Świetliki zdawały się to przyjmować bez zdziwienia czy niechęci.

Kobiety unikały go i w jego obecności czuły się niepewnie. Odpowiadały na jego pytania — w końcu Chomanche nakazał to swoim pobratymcom — lecz Lennox dostrzegł, że jedyne ich bliższe kontakty z mężczyznami wiązały się z celami prokreacyjnymi. Każda kobieta знаła swoje miejsce w społeczeństwie, zanim osiągnęła dojrzałość płciową, i nigdy nawet nie pomyślała o przeciwstawieniu się istniejącemu porządkowi rzeczy. Pewnego razu, gdy Lennox zobaczył kobietę uginającą się pod olbrzymim ciężarem, zaofiarował jej swoją pomoc i chciał ponieść brzemień wraz z nią, został zaatakowany przez przechodzącego mężczyznę, który wycofał się dopiero wtedy, gdy rozpoznał Wybrańca Boga. (Tej samej nocy Chomanche wyjaśnił mu, że kobiety są wytrzymałymi istotami nie potrzebującymi pomocy w wykonywaniu ich codziennych obowiązków i że takie zachowanie, jakie zademonstrował wobec nich owego dnia, mogłoby je tylko zepsuć lub zdeprawować.)

Cały handel odbywał się na zasadzie bezpośredniej wymiany, lecz asortyment oferowanych dóbr był nieporównanie uboższy niż ten, jaki można było spotkać na egzotycznych placach targowych takich planet, jak Binder X, Kennedy II czy Greenveldt. Tak niewidoma towarami można tu było handlować i tak obfita była ich podaż na rynku, że najprostsza transakcja zajmowała często cały dzień i każdy z jej uczestników odwiedzał dziesiątki kupców w poszukiwaniu odrobinę lepszych warunków. Gdy Lennox zaproponował, by wszyscy kupcy oferujący pustynne owoce tego samego gatunku porozumieli się ze sobą i ustalili sztywną cenę, popatrzyli nań jak na wariata, wysłuchali go uprzejmie, ponieważ był Wybrany, a gdy tylko odszedł, powrócili do załatwiania interesów w zwyczajny, zawsze dotąd praktykowany sposób.

Im więcej czasu spędzał wśród Świetlików, tym bardziej był zadowolony, że placówka mogła płacić bronią za diamenty, ponieważ z tego, co widział, wynikało, iż Świetliki nie pragnęły ani nie potrzebowały niczego innego. Zbyt wiele było ziemi i zbyt niewielu mieszkańców, by dochodziło do wojen. Wody wystarczało — choć bez nadwyżek — dla wszystkich. *Kadeko* rozmnażały się szybko i łatwo było sobie z nimi radzić. Prymitywne siedziby chroniły Świetliki przed słońcem i wiatrem. Nieliczne nawodnione ogrody i rozmaite jadalne zwierzęta dostarczały pożywienia w nadmiarze. Większość cywilizacji w tym punkcie dopiero rozpoczynała swój rozwój, ta, jak się zdawało, osiągnęła w nim apogeum.

Wyglądało na to, że jedyną rzeczą, która miała dla nich znaczenie, była religia. Dla niego pozostała ona nieprzeniknioną tajemnicą. Pracowicie przetłumaczył jedną czwartą świętej księgi i znalazł w niej tylko zwyczajny mit o stworzeniu oraz pewną liczbę przypowieści moralnych, z których większość kończyła się bolesną śmiercią każdego, kto poddawał w wątpliwość nauki głównych proroków i prawodawców.

Księża mówiła Świetlikom co jeść, jak się ubierać, kiedy płodzić dzieci, co myśleć i — rzecz chyba ważniejsza — o czym myśleć. W miarę jak rosta jego wiedza o nich, coraz bardziej żałował, że mając takie ciało musi żyć w takim społeczeństwie. W innych okolicznościach mógłby zupełnie serio myśleć o pozostaniu tutaj — jeśli nie do końca życia, to przynajmniej na kilka lat — pod wpływem jednak przygniatającej stagnacji, której przyczyną była miejscowa religia, zaczęło go dręczyć coś w rodzaju intelektualnej klaustrofobii.

Postanowił, że pozostanie tu tylko tak długo, dopóki nie uda mu się zgłębić tajemnicy, która przywiodła go z powrotem na tę

planetę: czemu każdej nocy dwa lub trzy Świetliki (czasem liczba ta była większa) rzucały się ze szczytu piramidy w objęcia Śmierci.

Pytał o to kapłanów, lecz odpowiadali jedynie, że przyjdzie kiedyś czas, gdy to zrozumie i być może sam odczuje potrzebę, by wykonać ten ostatni skok.

Rozmowy ze zwykłymi Świetlikami nie wniosły tu nic nowego. Rozumieli, że każdy z nich każdego wieczoru może poczuć nagle wewnętrzny nakaz i skoczyć z piramidy, ale nie umieli mu wyjaśnić, dlaczego. Nie mógł zaś zapytać o to nikogo z tych, którzy to naprawdę zrobili, żaden bowiem tego skoku nie przeżył.

Każdego ranka Lennox wspinał się po schodach na szczyt piramidy, a potem, utkwivszy wzrok w piaskach pustyni, zastanawiał się, co takiego widziały lub odczuwały Świetliki w owej chwili.

Któregoś dnia, gdy jak co dzień spoglądał z wierzchołka piramidy w dół, pogrążony w zadumie, wyczuł nagle czyjąś obecność. Odwrócił się i zobaczył stojącego o kilka stóp dalej znajomo wyglądającego Świetlika, który w milczeniu wpatrywał się w niego.

— Bądź pozdrowiony Xawierze Williamie Lennoxie — powiedział Świetlik.

— Bądź pozdrowiony — odpowiedział Lennox przyglądając się uważnie przybyszowi.

— Poznajesz mnie?

— Wiem, że widziałem cię przedtem — odparł Lennox — ale nie przypominam sobie, gdzie.

— Jestem Jamarsh, jeden z kupców, z którymi zaprzyjaźniłeś się na pustyni.

— Oczywiście — rzekł Lennox. — Wybacz mi, proszę.

128 Mikę Resnick

— Nie ma tu nic do wybaczenia — powiedział Jamarsh. — Jesteś Wybrańcem Boga.

— Jak się mają twoi towarzysze, Neshbidan i Sumriche?

— Mają się dobrze. Byliśmy w Kannagen, Plistanan, Corbedian, a właśnie wczoraj wróciliśmy do Brakkanan i zobaczyliśmy na własne oczy, że Chomanche rozmawia teraz z ludźmi i wymachuje ich bronią.

— Dlaczego nie przyszli z tobą?

— Obawiają się twojego spojrzenia.

— Boją się mnie? — zdumiał się Lennox. — Dlaczego? Nie mam broni.

— Wstydzą się, że nie poznali, że jesteś Wybrańcem Boga.

— Cieszę się, że ty się mnie nie obawiasz.

— Nie widzę powodu po temu. Bóg nie dał mi znaku, że jesteś Xavier William Lennox, a nie Dromesche. Dlatego przejrzenie jego tajemnicy mogłoby być świętokradztwem.

Ten wasz Bóg to bardzo dla was wygodny facet, pomyślał Lennox z sarkazmem. Nie tylko wybacza niewiedzę — On się jej domaga.

A głośno powiedział:

— Dlaczego wszedłeś na piramidę, Jamarsh?

— Żeby się z tobą zobaczyć — odparł Świetlik.

— Oto jestem.

— Powiedziano mi, że przychodzisz tu codziennie.

— To prawda.

— Czy mogę spytać, dlaczego?

— Z ciekawości. Chciałbym wiedzieć do końca, czym jest życie, gdy się jest *zhandi*, i czuję, że tego nie osiągnę, póki nie

pojmę, dlaczego twoi pobratymcy dobrowolnie skaczą stąd w ramiona Śmierci.

— Nie pojmiesz nigdy.

— Nawet pomimo tego, że jestem Wybrańcem Boga?

— Pomiędzy Wybrańcem Boga a samym Bogiem jest różnica. On jest całością. Ty nie.

— Sądzę, że się mylisz. Nie w tym, że nie jestem Bogiem, oczywiście, lecz co do tego, że nie jestem całością. Jeśli czegoś by mi brakowało, dostrzeżlibyście to od razu, pierwszego dnia gdyśmy się spotkali.

— Nie mogę dostrzec, czego ci brak — odparł Jamarsh. — Lecz ty nie możesz także.

— Nie rozumiem cię.

— Jest ci przeznaczone nie zrozumieć nigdy, dlaczego *zhandi* skaczą w objęcia Śmierci, ponieważ, by to pojąć, sam musisz być *zhandi*. A jak ty, który przeżyłeś swoje życie jako człowiek, możesz naprawdę być *zhandi*, skoro twoja obecność wśród nas zmieniła Chomanche w półczłowieka?

Wówczas Lennox zrozumiał, że nadszedł czas, by wracać do domu.

18

Angela Stone stała ze wzrokiem utkwionym w siedzącym na kanapie, paskudnym stworzeniu.

— No więc? — spytała ostro. — Czekam ma odpowiedź.

Istota wpatrywała się w nią spojrzeniem pozbawionym wyrazu i milczała.

— Niech to szlag, Xavierze! Wróciłeś dwa miesiące temu, a ja nie zobaczyłam dotąd nawet jednej strony!

— To nie jest pytanie — odparł Lennox spokojnie.

— Czy w ogóle zacząłeś pisać tę książkę?

— Nie.

— Kiedy zamierzasz zacząć? Twój wydawca zaczyna się niecierpliwić i, szczerze mówiąc, ja też.

— W ogóle nie zamierzam.

— Co?

— Słyszałaś. Nie będę pisał książki.

— Dlaczego, do jasnej cholery?

— Za mało jeszcze wiem — odrzekł Lennox. — Prawdopodobnie nigdy nie będę wiedział wystarczająco dużo.

— Co to za odpowiedź? — warknęła Angela.

— Uczciwa odpowiedź.

— Słuchaj — powiedziała. — Wystarczy już chyba, że nadal wyglądasz jak zjawa z najgorszych sennych koszmarów. Siedzisz w domu, z nikim nie rozmawiasz, nie prowadzisz żadnej korespondencji, nawet nie odbierasz telefonów ani poczty. — Przerwała na moment. — Mam nadzieję, do diabła, że po operacji będziesz znowu dawnym Xavierem.

— Dawny Xavier ślizgał się tylko po powierzchni spraw i zjawisk — rzekł Lennox.

— Dawny Xavier napisał cztery bestsellery i miał ponad milion wiernych, ceniących wysoko jego talent czytelników.

— Czytałem je w zeszłym tygodniu.

— I co?

— Spaliłem je.

— Spaliłeś je? — powtórzyła.

— Były banalne.

ZAMGLONY HORYZONT

— Czy oni ci i w mózgu grzebali? — jęknęła przerażona Angela.

— Ani trochę. Dali mi nowe zmysły, a Medina dała mi dużo do myślenia.

— Nie można dać mózgowi nowych zmysłów.

— Więc dali mi nowe możliwości wykorzystywania starych — wyjaśnił Lennox. — Zgaś światło.

— Wiem: potrafisz widzieć w ciemności.

— Ty też będziesz potrafiła, jeśli znajdziesz się blisko mnie. — Spróbował wykrzywić twarz w czymś, co stanowiło imitację uśmiechu. — Ja świecę.

— No więc możesz teraz odnosić sukcesy w różnych grach towarzyskich. Wspaniale. Ale co z twoją książką? Co z tobą?

— Co ze mną?

— Nie jesteś tym samym człowiekiem, który rok temu pojechał na te cholerne operacje. Nie wiem, czy coś ci dodali, czy ujęli, ale jesteś inny.

— Oczywiście, że jestem inny! — podniósł się i stanął na wprost niej. — Spójrz na mnie.

— Jesteś inny wewnątrznie.

— Być może. — Milczał przez chwilę. — Czy kiedykolwiek szłaś przez pustynię?

— Oczywiście, że nie.

— Ja szedłem. Było pięćdziesiąt osiem stopni Celsjusza, a studnie były oddalone jedna od drugiej o trzydzieści mil.

— To brzmi koszmarnie!

— Okropnie, prawda? — powiedział Lennox. — Mnie to sprawiało radość.

— Jak sądzę, uprawiałeś też seks z jakimiś żeńskimi Świetlikami.

Lennox potrząsnął przecząco głową.

— To jest sztywne, purytańskie społeczeństwo. Tego się tam po prostu nie robi. — Znowu zamilkł na moment, po czym dodał: — Lecz, prawdę mówiąc, w ostatnim tygodniu czy może w ostatnich tygodniach mego tam pobytu, ta myśl wydawała mi się mniej odrażająca.

— Jestem tego pewna — powiedziała zjadliwie.

— Cóż, to całkiem naturalne. Nie miałem kobiety od ponad roku.

— Nawet nie myśl o mnie.

Przyglądał się jej przez długą chwilę. Poczwała się trochę niezręcznie.

— Wyglądasz... odpowiednio.

Teraz ona utkwiała w nim uważne spojrzenie.

— Tylko odpowiednio? Nic więcej?

Wzruszył ramionami.

— Zdrowo.

— Masz poważne problemy, Xavierze.

— Mogłabyś pomóc mi w ich rozwiązaniu po operacji. Przez wzgląd na dawne czasy.

— Nie sądzę.

— Jak chcesz. Staralem się być po prostu uprzejmy, na prawdę wcale tak nie myslałem.

— Wiem.

— Wiesz co mnie najbardziej drażni? — spytał. — Mam ten fantastyczny refleks, fenomenalny wzrok, słuch, widzę w nocy, jestem niesamowicie wytrzymały — i jest to tu bezużyteczne.

— Znajdujesz się na cywilizowanej planecie — odparła Angela. — Nie potrzebujesz tego wszystkiego. Przestaliśmy ewoluować, gdy wymyśliliśmy koło i nauczyliśmy się regulować

klimat.

— Ale to takie marnotrawstwo! Po co mi to wszystko, skoro nie mogę tego wykorzystać. Jaki w tym sens?

— Żaden. I dlatego właśnie musisz przejść odwrotne operacje i z powrotem stać się człowiekiem. Myślę, że lepiej będzie, jeśli skorzystasz również z pomocy psychologa.

Lennox opadł na oparcie fotela zgniatając sobie skrzydła na plecach. Przez chwilę przyglądał się swoim obcym dłoniom, potem podniósł wzrok.

— Tak, wiem.

— Ale?

— Słucham?

— Zabrzmiało to tak, jakbyś zamierzał dodać „ale”.

— Ale będzie mi brakowało tych zdolności — dokończył Lennox.

— Nie są ci potrzebne — oznajmiła Angela.

— Wiem.

— Więc czemu cię to tak przygnębia?

— Czy w przyszłości zamierzasz mieć dzieci? — zapytał Lennox.

— Nie.

— A czy łatwo byś się zgodziła na chirurgiczne usunięcie biustu?

— To nie to samo, Xavierze.

— To samo. Nigdy go nie używałaś.

— Ta rozmowa jest głupia — powiedziała Angela.

— Nie ja ją zacząłem.

— Słuchaj, jeśli to tak wiele dla ciebie znaczy, to czemu im nie powiesz, żeby ci pozwolili zachować zdolność widzenia w ciemności i parę innych rzeczy?

Lennox westchnął.

— Po co? Jeśli będę chciał coś zobaczyć w nocy, mogę włączyć światło.

— To czego ty chcesz?

— Nie wiem.

Ale wiedział.

19

Lennox nie zwracał uwagi na zaskoczone, a niekiedy przerażone spojrzenia, które napotykał co pewien czas, gdy prowadzono go wzdłuż szpitalnego korytarza do małego, prowizorycznego biura. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, niska, mocno zbudowana kobieta wstała zza biurka i podeszła, by się przywitać.

— Dzień dobry, panie Lennox — powiedziała Nora Wallace. — Tak się cieszę, że znowu pana widzę.

— Po co w ogóle chciała się pani ze mną spotkać? — zapytał. — Po moim powrocie ludzie z pani departamentu przesłuchiwali mnie przez cholerne cztery dni.

— Wiem. Chciałabym do ich gratulacji dodać swoje. Dokonał pan nadzwyczajnych rzeczy. Otrzymaliśmy koncesję na diamenty nie angażując armii — i osiągnął to pan w czasie krótszym niż dwa miesiące! Znakomicie!

Wskazała na krzesło skonstruowane specjalnie w ten sposób, by pasowało do ciała Świetlika.

— Usiądzie pan?

Lennox zajął miejsce i poczekał, aż ona zrobi to samo.

— Nie jest pan spragniony? — zapytała z troską.

— W tym ciele? — zaśmiał się sucho.

— Przepraszam, że uzgadnianie terminów pańskich operacji trwało tak długo — ciągnęła Nora — ale doktor Ngoni była na urlopie, a ja nie powierzyłabym tej pracy nikomu innemu, bo nikomu innemu na tyle nie ufam. Jestem pewna, że pan bardzo pragnie stać się znowu człowiekiem.

— Bardzo — odparł bezbarwnym tonem.

— Oczywiście, mógł pan nie czekać na sygnał od nas, ale skontaktować się z nami już w zeszłym miesiącu.

Lennox wpatrywał się w swoje długie, nieludzkie palce.

— Byłem zajęty.

— A jak posuwa się praca nad książką?

Wzruszył ramionami.

— Jeśli to możliwe, chciałabym zobaczyć parę stron.

— Nadal zbieram materiały.

— Zbiera pan materiały na temat swoich własnych przeżyć, których pan doznał, będąc Świetlikiem? — zapytała z niedowierzaniem.

— Ja pani nie mówię, jak pani powinna wykonywać swoją pracę — odparł Lennox poirytowanym tonem. — Proszę więc nie mówić mi, jak mam wykonywać moją.

— Z całą pewnością nie chciałam pana urazić, panie Lennox — powiedziała Nora. Zaległa długa, nieprzyjemna cisza. — Czy ma pan jakieś pytania dotyczące operacji?

— Żadnych.

— Sądziłam, że powrót do ludzkiej postaci będzie dla pana czymś bardziej ekscytującym.

— Przypuszczam, że ma ona swoje zalety.

- I swoje wady?
- Wady także.
- Czy zechciałby pan mi je wyliczyć?
- Czym tu się zajmować?
- Mam swoje powody.

Lennox wzruszył ramionami.

— Wiem, że już nigdy nie będę się dobrze czuł w ludzkiej postaci — co zresztą nie znaczy, że czułem się w niej idealnie przed operacjami.

— Dlaczego pan tak myśli? — zainteresowała się Nora.

— Doznałem tam zbyt wielu przeżyć, jakich nigdy nie dozna żaden człowiek — odpowiedział. — Widziałem rzeczy, których ludzie nigdy nie zobaczą, robiłem rzeczy, których nigdy nie zrobią — których nie są w stanie zrobić — w swoich ludzkich ciałach. Żyłem jako obcy. Stałem na szczycie piramidy, z której codziennie Świetliki dobrowolnie skaczą w objęcia śmierci. Łamałem się chlebem — lub było to coś analogicznego — z grupą tamtejszych przestępców i z kapłanem religii, której żaden człowiek nie rozumie, i zostałem przez nich zaakceptowany jako Świetlik. Jak, po tym wszystkim, może mi naprawdę odpowiadać istnienie w ludzkiej postaci?

— Ale na pewno może się pan z czasem przystosować — powiedziała. — Mam na myśli, że jest to jakby powrót z urlopu — czy też, w pańskim przypadku, raczej wyprawy pełnej przygód — która dostarczyła panu wrażeń, jakich większość ludzi nigdy nie dozna.

Potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Kiedy wyjeżdża pani na urlop lub wyrusza na wyprawę, zawsze jest szansa, że ktoś w przyszłości przeżyje to samo co pani. Albo, że spotka pani kogoś, kto był w tych samych

miejscach, czy robił podobne rzeczy. Ale żaden człowiek już nigdy nie zostanie Świetlikiem. Nikt nie będzie wiedział, co to jest, chodzić, oddychać i jeść, mając ciało Świetlika.

— A jak pan na to reagował? — zapytała Nora. — Czy sprawiło to panu radość?

Zastanowił się przez chwilę.

— Sądzę, że radość nie jest tu właściwym słowem. W ostatnim dniu pobytu zrozumiałem, że byłbym zawsze niepełnym Świetlikiem, podobnie jak nigdy nie będę w pełni człowiekiem. Nie należałem do tamtego świata w stopniu choćby trochę większym, niż należę do tego — ponownie wzruszył ramionami. — Myślę, że pewni ludzie, bez względu na to w jakim świecie by się znaleźli, nigdy nie należą — i nie będą należeć — do żadnego: takie jest ich przeznaczenie.

— Co pan zamierza teraz robić?

— Nie wiem.

— Badać kolejne światy?

— Nie, myślę, że nie.

— Czy obce światy nie pociągają już pana?

— Nie — odparł, lecz po chwili powiedział: — Tak. — Po czym oznajmił: — Teraz, kiedy już wiem, co to znaczy poznać jakąś planetę, gdy się zostało przekształconym w tubylca, zdaję sobie sprawę, jak niewiele warte są próby badania obcych światów, gdy się jest człowiekiem.

Przyglądała mu się przez długą chwilę.

— Czy wolałby pan zachować to ciało?

— Nie — odparł. — Będzie mi brakowało kilku jego wspomnianych zdolności, ale należy ono do Mediny. Ma jeszcze mniej powodów, by przebywać w ludzkim świecie, niż ja.

Nora Wallace nic na to nie odpowiedziała. Zapadło milcze-

nie i nagle Lennox zdał sobie sprawę, że jego rozmówczyni, przechylona do tyłu ku oparciu krzesła, uśmiecha się do niego.

— Co panią tak bawi? — spytał ostro.

— Po prostu jestem zdumiona tym, jak pańskie reakcje bliższe są pańskiemu profilowi psychologicznemu.

— Chyba pani nie rozumiem.

— Czy pamięta pan te wszystkie testy, które przechodził pan przed operacjami? — spytała Nora. — Dowiedzieliśmy się z nich nie tylko tego, że zaadaptuje się pan do życia jako Świetlik. Pozwoliły też przewidzieć pańskie zachowanie po powrocie z Medyny.

— Jestem tu raptem od pięciu minut — zauważył Lennox. — Cóż może pani wiedzieć o moim zachowaniu?

— Wiem, że po powrocie nie napisał pan nawet jednego słowa. Wiem, że myśl o pozostaniu Świetlikiem przyprawia pana o rozpacz tak samo, jak myśl o powrocie do ludzkiej postaci. Wiem, że to my musieliśmy się skontaktować z panem w sprawie dzisiejszej operacji, że nie uczynił pan żadnej próby przyspieszenia tego procesu. Wiem, że...

— W porządku — przerwał jej ze złością. — A więc wasi psychiatrzy są dobrzy w swoim fachu. I co z tego?

— To, że mam dla pana propozycję, panie Lennox.

Lennox zeszywniał nagle.

— Tak?

— Pański wybór ciała nie musi być ograniczony do człowieka i Świetlika.

— Proszę dalej — powiedział Lennox, mając nadzieję, że jego głos obcego nie zdradził podniecenia.

— Ministerstwo Spraw Pozaludzkich jest bardzo zadowolone z pańskiej pracy — powiedziała. — Jeśli to pana będzie inte-

resowało, rozważymy możliwość współdziałania z panem w kolejnej, podobnej misji.

— Gdzie?

— W tej chwili mamy cztery planety do wyboru — odparła. — W każdym przypadku reprezentowałby pan interesy Republiki. — Przerwała na chwilę. — Doktor Ngoni i jej zespół są przygotowani do przekształcenia pana w mieszkańca wybranego przez pana świata. Lub, jeśli nie będzie pan tym zainteresowany, dotrzemy słowa i zmienimy pana z powrotem w Xaviera Williama Lennox.

— Które cztery planety? — spytał, ignorując jej ostatnie słowa.

Nora włączyła komputer.

— Pokażę panu.

— Chcę zachować zdolność widzenia w nocy — oznajmił nagle Lennox. — I odruchy. A także nadal chcę widzieć w podczerwieni. — Zastanawiał się przez chwilę. — Chcę też więcej palców. Lub macek. Albo czegośkolwiek, co oni tam używają posługując się przedmiotami.

— Jesteśmy ograniczeni do ras, z którymi utrzymujemy kontakt — odparła. — Pewnie chciałby pan zobaczyć kilka ich hologramów?

— Tak.

— I zapisy ich głównych języków. Z całą pewnością nie chcemy wysłać pana w takie miejsca, gdzie nie mógłby pan zrozumieć tego, co mówią tubylcy.

— Rozumiem — odrzekł.

— Gdy już dokona pan wyboru, będzie pan musiał porozmawiać z doktor Ngoni, która wyjaśni, jakie będą konsekwencje zabiegów chirurgicznych i, oczywiście, podpisać kolejne oświad-

czenie.

— Jasne, jasne — powiedział Lennox mechanicznie. — Teraz proszę pokazać mi rasy.

— Z przyjemnością — odrzekła Nora. — Ale przedtem chcę panu powiedzieć, że ogromnie się cieszę z tego, iż znowu będę mogła pracować z panem.

— Kto by pomyślał, że znów do tego dojdzie? — zadumał się Lennox pełen radosnego zdumienia.

— Właśnie, kto? — powiedziała Nora z uśmiechem, gdy komputer wyświetlił hologram delikatnej, wielobarwnej, niehumanooidalnej istoty.

20

Zupełnie nie przypominał Świetlika — ale też Artismo wcale nie przypominała Mediny. Była to wilgotna planeta pokryta parującą, pełną dziwnych stworzeń dżunglą. A Lennox miał na sobie ciało przedstawiciela jednej z najdziwniejszych rozumnych ras. Korpus Pionierski ochrzcił te istoty Jastrzębioróżcami.

Znalazł się tu, by uzyskać zwolnienie czterech członków Korpusu Pionierskiego, którzy w czasie gdy sporządzali mapę planety, zostali zaatakowani i pojmáni przez Jastrzębioróżce. Nie zażądały one żadnego okupu, a ponieważ nie chciały nigdy rozmawiać z ludzkimi dyplomatami, postanowiono wysłać sztucznego Jastrzębioróżca — Lennox — by rozeznał się w sytuacji i doprowadził do uwolnienia więźniów.

W tej postaci Lennox miał przynajmniej szansę na wykorzystanie swego zadania. Jego nowe ciało było krępe, niezwykle

silne, zdolne do dźwigania ogromnych ciężarów i zadawania morderczych ciosów stworzeniom dużo większym od siebie. Skórę miał grubą, pokrytą łuskami, okrywająca go zbroja, porośnięta na całej niemal powierzchni — z wyjątkiem twarzy, wewnętrznych części dłoni i podeszew stóp — krótkimi piórami, które układały się w agresywne, żółto-pomarańczowo-niebieskie wzory i chroniły go przed bezustannym deszczem.

Szybko stwierdził, że lubi swoje stopy. Gdy wędrował przez las, jego ogromny ciężar wgniatał je na sześć-osiem cali w błoto. Kiedy je stawiał, rozplaszczały się nieco, a gdy unosił, natychmiast wracały do poprzedniego kształtu, tak że nie zdarzyło mu się nigdy ugrzęznąć.

U każdej dłoni miał po dwa przeciwstawne kciuki i nie minęło wiele czasu, zanim zaczął się zastanawiać, jak człowiek zdołał osiągnąć tak wiele, mając tylko po jednym. Pomimo ogromnych rozmiarów i ciężkiego kośćca jego dłonie były zdolne do najdelikatniejszych i najbardziej skomplikowanych manipulacji.

Nagie wnętrze dłoni usiane było porami, większymi niż wszystkie, jakie kiedykolwiek dotąd widział. Dzięki nim mógł wyczuwać docierające doń zapachy. Była to bardzo cenna właściwość, jako że ewolucja zapomniała wyposażyć Jastrzębiorożce w nozdrza i kanały nosowe.

Małe, szpiczaste uszy stanowiły organ słuchu, z trudem dorównując ludzkiemu, dużo mniej sprawny od tego, jakim dysponował, będąc Świetlikiem. A także, ku swemu wielkiemu żalowi, nie widział w nocy. Spowalniało to znacznie jego marsz, ponieważ, pomimo swej ogromnej siły i opancerzonego ciała, nie miał ochoty spotkać się z żadnym żyjącym w dżungli drapieżnikiem, którego nie byłby w stanie zobaczyć.

Był istotą wyłącznie mięsożerną. Beatrice Ngoni uprzedziła

go o tym, ale nie chciał zabijać małych zwierząt, które napotykał, i jeść ich surowego mięsa, spożył więc jakiś owoc i natychmiast gwałtownie się pochorował. Oczywiście, istniała możliwość, że ten konkretny owoc był trujący, a jakiś inny nadawałby się do zjedzenia i zaspokoiłby jego głód, lecz po jednym eksperymencie postanowił wierzyć Ngoni na słowo. Gdy przyszedł do siebie, zmiażdżył pięścią małego, nic nie podejrzewającego ptaka, i pożarł go w całości, razem z piórami, kośćmi, skórą i wnętrznościami — i musiał przyznać, że porównanie z najświetniejszymi daniami, którymi rozkoszował się jako człowiek, wypadło na korzyść tego nowego dlań posiłku.

Najdziwniejszym elementem jego obecnej anatomii był wystający mu z czoła długi, zakrzywiony róg o ostrych krawędziach. Gdy po raz pierwszy zobaczył go na hologramie, przyjął za pewnik, że służył on do walki, prawdopodobnie o samice tej rasy, ale okazało się, że się mylił. Ngoni nazywała go, w braku lepszego terminu, Rogiem Odbiorczym, i tym właśnie był: unikatowym, empatycznym odbiornikiem, wyczuwającym emocje wszystkich żywych istot.

Z początku sądził, że znaczyło to jedynie, iż będzie wiedział, które Jastrzębiorożce go lubią, a które nie, ale nie podejrzewał nawet rozdzielenia rogu. Gdy zabijał ptaka, czuł jego strach i ból. Gdy zrywał owoc z gałęzi, wyczuł bardzo słabą, ale postzegalną reakcję, nie agonię, ale obcą, niemal niezrozumiałą formę gniewu i bólu.

Jak oni to, u diabła, wytrzymują? Żeby utrzymać te ciała przy życiu, muszą zabijać przynajmniej raz dziennie. Czy agonizujące cierpienia ich ofiar nie doprowadzają ich do szaleństwa?

Z drugiej strony, nie mogą kłamać, bo róg natychmiast by ich zdradził. Z tego samego powodu nie potrafię uwierzyć, że

często — czy nawet w ogóle — prowadzą wojny. Z trudem odebrałem to, co czuł owoc, i byłem tak głodny, że zignorowałem doznania ptaka — ale jak można się uodpornić na cierpienia tysiąca umierających członków własnej rasy?

Z raportów Pionierów wynikało, że barwne wzory piór Jastrzębiorożców prawdopodobnie oznaczają różne klany i plemiona, oraz że ci, których pióra tworzą ten sam wzór, zwykli trzymać się razem. Pionierzy znajdowali czasami pojedynczego Jastrzębiorożca, lecz nigdy nie spotkali takiego, który by żył razem z inaczey ubarwionym. Klany były chyba półnomadyczne, wędrowały z miejsca na miejsce, podążając za swymi hodowanymi na mięso zwierzętami, poszukującymi lepszych pastwisk, zawsze jednak trzymały się w obrębie wyraźnie określonych granic.

To komplikowało zadanie Lennox. Nie wystarczyło znaleźć jakiegokolwiek Jastrzębiorożca, trzeba było trafić do właściwego klanu. Ci, którzy schwytali Pionierów, mieli pióra o barwach i wzorach identycznych jak te, które nosił on sam, i był pewien, że gdyby natrafił na rodzinę noszącą inne kolory, najprawdopodobniej zostałby wzięty za intruza, szpiega czy po prostu odwiecznego wroga i natychmiast by zginął.

Tak więc wciąż przedzierał się przez sprawiający wrażenie bezkresnego, wilgotny las, poszukując śladów Jastrzębiorożców. Dopiero po czterech dniach natrafił na pierwszy: zamaskowany dół, który był najwyraźniej pułapką na zwierzęta. Nie miał pojęcia o tropieniu, toteż zamiast iść śladem tych, co wykopali pułpkę, trzymał się w jej pobliżu, pewien, że ktoś wkrótce nadejdzie, by ją sprawdzić.

Nie musiał długo czekać. Sześć godzin później, tuż przed zmierzchem, Jastrzębiorożec, pierwszy — siebie nie licząc — ja-

kiego zobaczył, ostrożnie zbliżył się do dołu. Utworzone przez jego pióra wzory różniły się wyraźnie od tych, które zdobiły Lennox — były to głównie niewielkie plamy czerwieni i zieleni na jasnobrązowym tle — a Lennox na tyle ufał obserwacjom Pionierów, że postanowił nie zbliżać się otwarcie do tej istoty.

Sunął cicho przez poszycie, aż znalazł się w odległości około dwudziestu stóp od niej. Jastrzębiorożec zdradzał oznaki zderzenia, gdyż jego róg odbierał nieprzyjemne uczucia Lennox. Wyprostował się gwałtownie, rozejrzał wokół, a potem ostrożnie podszedł do pułapki.

Odbiór bezkierunkowy! Znaczy to, że zdaje sobie sprawę z żywionych przez coś gwałtownych, związanych z nim uczuć, ale przypisuje je schwytanemu w pułapkę zwierzęciu.

Jeszcze dwa, trzy kroki i Jastrzębiorożec znajdzie się tuż przy pułapce, a wtedy na pewno zorientuje się, że niebezpieczeństwo grozi skądinąd. Ta myśl poderwała Lennox do działania. Wpadł z krzaków i zanim obcy spostrzegł jego obecność, uderzył go w plecy. Napadnięty stęknął zaskoczony, padł do przodu na pokrywającą wylot pułapki ciekłą warstwę traw, przebił ją i stoczył się kilkanaście stóp na dno.

Lennox podszedł do krawędzi wykopu i spojrzał w dół, Jastrzębiorożec, któremu najwyraźniej nic się nie stało, wstał, otrząsał się i popatrzył w jego stronę. Róg Lennox wychwytał uczucia nienawiści i strachu.

— Zabij mnie i miej to z głowy — powiedział Jastrzębiorożec głębokim, chropawym głosem.

— Wcale nie chcę cię zabijać — odparł Lennox. — Pragnę tylko porozmawiać. Jeśli udzielisz mi informacji, których potrzebuję, pomogę ci się wydostać z dołu.

— Dlaczego miałbym wierzyć *droikat* — dobiegło z dołu

pytanie.

Ponieważ należeli do tej samej rasy, Lennox szybko wyciągnął wnioski, że *droika* odnosiło się do jego wzoru i ubarwienia.

— Albo mi uwierzysz, albo zostaniesz tu i zginiesz z głodu — rzekł Lennox. — Jak sobie życzysz, mnie to obojętne.

Jastrzębiorożec wpatrywał się w niego przez długą chwilę, próbując zdecydować, która możliwość jest dlań mniej odstręczająca.

— Chcę rozmawiać — odezwał się w końcu.

— Dobrze.

— Kim jesteś?

— Nazywam się Lennox.

— To nie jest imię *droika*.

— Teraz jest — odparł Lennox.

— O jakie informacje ci chodzi?

— *Droika* schwytali czterech obcych. Gdzie mogę ich znaleźć?

— Nic o tym nie wiem.

— No dobrze. A gdzie znajdę *droika*?

Jastrzębiorożec spojrzał na niego uważnie.

— Jak możesz nie wiedzieć, gdzie jest twój klan?

— To nie twoja sprawa. Gdzie ich znajdę?

Jastrzębiorożec patrzył na niego i milczał.

— W porządku — rzekł Lennox, wzruszając ramionami. — Męcz się z głodu i niech cię szlag trafi.

Odwrócił się i zaczął się oddalać od pułapki. Był w pełni zdecydowany na to, że odejdzie i już nie wróci, wiedział bowiem, że róg tamtego wyczułby oszustwo. Gdy znalazł się już niemal poza zasięgiem głosu Jastrzębiorożca, z ulgą usłyszał ochryply krzyk:

— Wracaj! Wyciągnij mnie z tego dołu, a zaprowadzę cię do nich!

Lennox zawrócił i posłużywszy się swymi niewiarygodnie silnymi mięśniami oderwał od drzewa dziesięciostopową gałąź. Opuścił ją do pułapki, Jastrzębiorożec uczeplił się jej i Lennox wyciągnął go z dołu.

— Jak się nazywasz? — zapytał, gdy uratowany stanął na ziemi.

— Yarlthop.

— Jak daleko jesteśmy od *droika*?

— Niedaleko. Może dzień drogi, może więcej.

— No to chodźmy.

Yarlthop ruszył przez las, a Lennox podążał za nim krok w krok. Jastrzębiorożec wybierał najłatwiejszą drogę, więc popołudnie minęło bez przygód. Tuż przed nocą napotkali niewielkie zwierzę, które Lennoxowi najbardziej przypominało dawno wymarłą małą antylopę z Ziemi. Yarlthop nakazał gestem ciszę, potem zaczął je okrążyć dużym łukiem. Lennox czekał, stojąc nieruchomo, i wreszcie róg dał mu znać, że zwierzę wyczuło, iż gdzieś w pobliżu czai się niebezpieczeństwo.

I on, i zwierzę usłyszeli, jak coś poruszyło się w krzakach po lewej stronie, ale tylko Lennox zdał sobie sprawę z tego, że to był tylko kamień, rzucony dla odwrócenia uwagi przez Yarlthopa, który w chwilę później skoczył na nic nie podejrzewające stworzenie i zatłukł je na śmierć gałęzią podniesioną z ziemi, w czasie gdy się podkradał. Tym razem Lennox odczuł nie tylko strach i ból ofiary, ale również triumf Yarlthopa i jego pragnienie, by jak najszybciej przystąpić do uczt.

Zdał sobie sprawę, że śmierć zbiera wciąż tu, w lesie, wokół niego, żniwo tak ogromne, iż w jakiś sposób oswoił się z zabija-

niem. Emanację uczuć Yarlthopa odebrał bowiem o wiele wyraźniej niż nieustannie doń docierające, nieme cierpienia konających ofiar.

Dołączył do obcego, pomógł rozedrzeć łup i pochłonął niemal pięć funtów surowego mięsa. Przespali się w wypróchniałym wnętrzu pnia potężnego drzewa, niegdyś stanowiącym kryjówkę jakiegoś zwierzęcia. Lennox przyjął, że róg powinien go ostrzec, gdyby Yarlthop próbował umknąć mu w nocy, i rzeczywiście, kiedy się obudził, okazało się iż Jastrzębiorożec spokojnie śpi obok niego.

Wkrótce znowu ruszyli w drogę. Las, przez który wędrowali, zaczął pomału rzednąć i Lennox wyczuł rosnące napięcie Yarlthopa.

— O co chodzi? — spytał.

— Wkrótce znajdziemy się na ziemi *droika* — odpowiedział Yarlthop. — Zabiją mnie, gdy tylko mnie dostrzegą.

— Powiem im, że wyświadczyłeś mi przysługę, więc muszą cię pozostawić w spokoju.

Ta odpowiedź wywołała w Jastrzębiorożcu tak silne uczucie niepewności i zakłopotania, że musiała chyba zabrzmieć dlań jak oświadczenie, iż Lennox zmęczył się marszem i zamierza za chwilę wysunąć z nóg koła. Nie potrafił w pełni zrozumieć wyczuwanych emocji, ale odniósł wrażenie, że tamten uważa, iż *droika* prędzej zabiliby ich obu, niż darowali mu życie.

— Podprowadź mnie jeszcze dalej, aż znajdziemy się w pobliżu nich i wtedy będziesz mógł odejść — powiedział w końcu. Jastrzębiorożec wpatrywał się weń intensywnie, próbując pojąć, co oznacza sygnalizowany mu przez jego róg brak emocji.

— Coś ty za *droika*? — spytał gwałtownie.

— Bardzo nietypowy — odparł Lennox.

— To oczywiste — rzekł tamten i dodał: — Jesteśmy już blisko.

— Podejdźmy jeszcze bliżej — zakomenderował Lennox. Yarlthop podjął wędrówkę, tym razem zachowując się bardziej ostrożnie, i zanim upłynęło pół godziny przystanął znowu.

— A teraz o co ci chodzi? — zapytał Lennox.

Yarlthop wskazał odległe o milę kolorowe punkty.

— *Droika!*

Przez dłuższą chwilę Lennox patrzył z natężeniem we wskazanym kierunku, żałując, że nie ma wzroku Świetlika. W końcu dostrzegł kilka drobnych, żółto-pomarańczowo-niebieskich postaci, które stały na skraju niewielkiego pola, pilnując ze trzydziestu pasących się stworzeń, podobnych do krów.

— W porządku — powiedział Lennox. — Spełniłeś swoją obietnicę. Odejdź w pokój.

Yarlthop wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

— Naprawdę nie zamierzasz mnie zabić!

— Wiesz, że nie.

A może nie wiesz? Czy Jastrzębiorożce nauczyły się kontrolować swoje uczucia tak, by nie dało się ich odebrać? Przez chwilę zastanawiał się nad tą możliwością. To przecież śmieszne. Od chwili naszego spotkania odczytywałem każdą twoją reakcję, każdy twój lęk. Dlaczego więc jesteś tak zaskoczony, że dotrzymuję słowa? Być może sama możliwość darowania wrogowi życia jest czymś nie do uwierzenia, z czego wynikałoby, że macie jednak wojny — ale do końca życia nie zrozumieję, jak możecie powodować związane z tym cierpienie, skoro wraca ono do was przez wasze rogi. Dużo jeszcze muszę się o was nauczyć.

— Oby wszyscy *droika* byli tacy jak ty — powiedział Yarlthop, znikając w gęstwinie lasu.

A to co miało znaczyć? Czy życzyłby sobie by tak było, bo cieszą się oni na tej planecie opinią brutalni znęcających się nad słabszymi? Czy też dlatego, że pokojowe nastawione Jastrzębio-rożce byłyby łatwiejsze do zgładzenia?

Jeszcze przez kilka chwil obserwował *droika*, próbując wymyślić sposób, który pozwoliłby mu się do nich zbliżyć, i nagle przyszło mu do głowy, że nie potrzebuje żadnych podstępów: był dokładnie takim samym *droika* jak oni, a skoro na Artismo członkowie klanu trzymali się razem, powinien zostać natychmiast zaakceptowany.

Śmiało ruszył więc przed siebie i zanim tamci go dostrzegli, zdążył przebyć ponad połowę dzielącego ich dystansu. Było ich pięciu i gdy zaczął się zbliżać do nich, skupili się razem, o czymś rozmawiając.

Kiedy znalazł się w odległości dziesięciu jardów od nich, przystanął.

Czy ja mam ich powitać, czy oni mnie? Czy są jakieś oznaki pozycji w hierarchii, którą powinienem rozpoznać?

Stał nieruchomo i patrzył na nich.

— Nie jesteś z naszej rodziny — odezwał się najbliższy Jastrzębio-rożec.

Róg Lennox nie wyczuł gniewu.

— Nie, nie jestem — odpowiedział.

— Musisz być daleko od domu — dodał inny. — Jeżeli jesteś głodny, możemy zarżnąć dla ciebie *boisha*.

— To niekonieczne — rzekł Lennox, który choć głodny, nie miał ochoty na przykre doznania ginącego zwierzęcia.

— Czy spotkałeś *bedrona*? Mówiono nam, że widziano go gdzieś głęboko w lesie.

Co to, u diabła, jest *bedrona*? Zwierzę? A może członek kła-

nu Yarlthopa?

Już miał powiedzieć, że nie widział nic interesującego gdy przyszło mu do głowy, że ich rogi natychmiast poinformują ich o jego kłamstwie.

Dobra, załóżmy więc, że mówią o Yarlthopie.

- Tak, spotkałem.
- Masz szczęście, że jeszcze żyjesz.
- To prawda, spore szczęście.
- Jak się nazywasz, wędrowcze?
- Lennox.

Jastrzębiorożec skrzywił się.

— To bardzo dziwne imię.
— To zgrzytliwy, kanciasty dźwięk — dorzucił drugi. — Bardziej pasuje do obcego niż do *droika*.

— Tego nie wiem — odparł Lennox. — Nigdy nie widziałem obcego.

— A jednak na myśl o nim odczuwasz napięcie — zauważył Jastrzębiorożec. — Gdzie twoja odwaga, Lennox?

— Mam dużo respektu dla nieznanego — odpowiedział Lennox ostrożnie. — Może gdybym kiedyś zobaczył obcego, czułbym się jak wy.

— Jeśli naprawdę chcesz na nich popatrzeć, to są w zagrodzie Shumario.

— Są? — powtórzył Lennox. — Chcesz powiedzieć, że złapaliście więcej niż jeden gatunek?

— Jeden gatunek, czterech obcych — padła odpowiedź.

— Bardzo chętnie ich obejrzę — powiedział Lennox, starając się ukryć podniecenie.

Siła jego uczuciowej emanacji najwyraźniej sprawiała przykrość pięciu Jastrzębiorożcom. Dwaj odsunęli się nawet o parę

stóp; ich upierzona skóra lekko drżała.

— No więc? — spytał po chwili pierwszy Jastrzębiorożec.

— No więc, co? — zmieszał się Lennox.

— Jeśli chcesz ich zobaczyć i nie masz żadnych obowiązków, które stałyby temu na przeszkodzie, to idź.

Idź? Dokąd?

— Długo byłem w lesie — powiedział Lennox. — Może któryś z was zechciałby mi towarzyszyć.

— Po co? — zainteresował się szczerze Jastrzębiorożec.

— Tęsknię za towarzystwem *droika*.

Wyczuł jeszcze silniejszą ciekawość.

— Naprawdę?

— Tak.

— Jesteś naprawdę bardzo niezwykłym *droika*. Nic dziwnego, że masz niezwykle imię.

— Ja z nim pójdę — zaofiarował się najmniejszy wzrostem Jastrzębiorożec.

— Chcesz po prostu zobaczyć się ze swoją *ganshi* — rzucił pierwszy i wszyscy się roześmiali.

Lennox natychmiast odebrał zakłopotanie najmniejszego.

Jego towarzyszka? Jego matka? Jego ulubione zwierzątko?

— Chodź, Lennox — powiedział mały Jastrzębiorożec. — Nie musimy przebywać w towarzystwie tych *bijuna*.

Lennox wyczuł gniew, potem rozbawienie. Najwyraźniej w pewnych okolicznościach słowo to było obelgą, lecz pozostali natychmiast rozpoznali je jako przyjacielską złośliwość.

— Weźcie ze sobą jedno *boiska* — zaproponował pierwszy Jastrzębiorożec.

— Nie wszyscy są aż tak starzy i leniwi, że nie mogą sobie sami upolować czegoś do zjedzenia — padła odpowiedź.

— Więc pamiętajcie o tym, kiedy będziecie mieli puste brzuchy.

Przekomarzali się jeszcze chwilę, a potem Lennox wraz z małym Jastrzębioróżcem ruszyli w stronę północy. Lennox miał mnóstwo pytań — w Republice wiedziano o tych istotach jeszcze mniej niż o Świetlikach — lecz nie ośmielił się ich zadać. Jeśliby wykazał nadmierną niewiedzę, nie mógłby wywinąć się kłamstwem, miał przecież do czynienia z przedstawicielem rasy wyposażonej w te zdumiewające rogi. Zadowolił się obserwacją roślinności, próbując usystematyzować drzewa, krzewy, kwiaty i trawy.

Jego przewodnik nosił imię Elormi i był bardzo wrażliwy na punkcie swego wzrostu. Lennox wziął go początkowo za młodzika, ale był on, jak się okazało, w pełni dojrzałym osobnikiem i aby udowodnić swoją wartość, w tej społeczności, ceniącej przede wszystkim sprawność fizyczną, zawsze podejmował się najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych zadań. Niewątpliwie właśnie dlatego zgodził się zaprowadzić Lennox'a do uwięzionych Pionierów.

Elormi tak samo jak Lennox zachowywał milczenie podczas marszu i dzień minął bez żadnych wydarzeń. Późnym popołudniem sporządził z bardzo giętkiego pnącza prymitywną procę, znalazł kamień i z bezpiecznej odległości — to znaczy na tyle dużej, że nie dotarły do nich emanacje emocjonalne ofiary — zabił małe, podobne do gryzonia zwierzę. Zjedli je na surowo i jeszcze raz Lennox poczuł podziw dla znakomitej roboty Beatrice Ngoni i jej zespołu, którym zawdzięczał swe obecne kubki smakowe i system trawienny.

— Jutro rano dotrzemy do zagrody Shumario — oznajmił Elormi, gdy skończyli posiłek. — Wtedy się rozstaniemy.

— Cieszę się, że ze mną poszedłeś — powiedział Lennox.

— Jak zamierzasz ich uwolnić?

Lennox spojrział zdumiony.

— Uwolnić kogo? — spytał.

— Obcych.

— Dlaczego sądzisz, że mogę być w jakimkolwiek stopniu zainteresowany ich uwolnieniem?

— Po to tu jesteś, czyż nie?

Lennox, przypomniawszy sobie, że Elormi natychmiast wyczułby kłamstwo, zdecydował się milczeć.

— Przebywałem z tobą cały dzień — ciągnął Elormi — i wiem, że kimkolwiek jesteś, to, pomimo twojego wyglądu, na pewno nie jesteś *droika*.

— Dlaczego więc nie próbowałeś mnie zabić? — spytał Lennox.

— Bo nie wyczuwam w tobie agresji.

— Nawet jeśli tak, to są oni więźniami *droika*. Dlaczego nie spróbujesz mnie powstrzymać?

— Bo gniew i agresja emanujące z więźniów deprawują wszystkich wokół. Sądzę, że lepiej dla nas będzie, jeśli odejdą.

— Czy w takim razie pomożesz mi?

— Jeśli ty w zamian zgodzisz się wyświadczyć mi przysługę.

— Jaką przysługę?

— Więźniowie przybyli z innego świata, prawda?

— Tak.

— Czy wiele jest innych światów?

— Więcej, niż byłbyś w stanie policzyć.

— Mój ojciec jest bajaranem, jak i jego ojciec, i ojciec jego ojca. Pewnego dnia, kiedy będę za stary by opiekować się *bo-isha* czy wykonywać inne obowiązki, też zostanę bajaranem.

Lennox przyglądał mu się zmieszany.

— Co to ma wspólnego z...

— Opowieści mego ojca i dziada nigdy się nie zmieniały — ciągnął Elormi. — Chciałbym mieć coś nowego do opowiadania. Pragnąłbym odwiedzić inne światy i powróciwszy wzbogacić wyobraźnię swoich pobratymców cudami, o których im się nawet nie śniło.

Przerwał na chwilę.

— To moja propozycja. Pomogę ci, jeśli ty mi pomożesz.

Niech mnie diabli! Upierzony, rogaty twórca legend, biegnący goło po obcej planecie!

— Elormi — rzekł Lennox. — Umowa stoi.

21

Lennox przedzierał się przez bagno, podziwiając, jak jego stopy zmniejszają się przy wyciąganiu ich z błocka. Krople porannego deszczu sypały się nań gęsto, ale nie mogły przeniknąć przez jego pióra do skóry.

Szli prawie przez całą noc i na rozciągającej się przed nimi wielkiej polanie mógł już dostrzec coś, co uznał za zagrodę Shumario. Była wysoka na około osiem stóp i otoczona płotem z desek, toteż nie mógł zobaczyć, co znajduje się w środku.

— Jak dla czworga ludzi to duża budowla — zauważył, gdy zatrzymali się w odległości jakiejś mili od zagrody, by się jej dobrze przyjrzeć.

— Co to są ludzie? — spytał Elormi.

— Tak obcy nazywają sami siebie.

— Aha — mruknął Jastrzębiorożec, a po chwili powiedział: — Jest tam też parę *boiska*.

— A strażnicy?

— Kilku.

— Ilu? — zapytał Lennox.

— Co za różnica? Jesteśmy *droika*. Nie będą nam w niczym przeszkadzać.

— Zaczną, gdy tylko zabierzemy więźniów.

— Nawet nie zauważą, że ich nie ma.

Było to zadziwiające stwierdzenie i Lennox skrzywiłby się, gdyby mógł, ale zachował milczenie i nadal przyglądał się zagrodzie. Miała jakieś czterysta jardów długości i około dwustu szerokości. Mogła swobodnie pomieścić parę tysięcy *boiska*. Prawdopodobnie gdyby tylko deszcz ustał, wszystkie zwierzęta zostałyby wyprowadzone na pastwisko. Uważnie przepatrzył teren poszukując Jastrzębiorożców, po raz kolejny przeklinając w duchu wzrok, którym obdarzył go zespół Beatrice Ngoni. Nie dostrzegł żadnego.

— Gdzie są wszyscy? — zapytał swego towarzysza.

— Większość pozostanie pod dachem, dopóki nie ustanie deszcz — odparł Elormi. — Kilku pilnuje więźniów. Paru mogło nawet wyprowadzić swoje zwierzęta na pastwisko.

— Shumario nie ma zwierząt?

— Shumario ma zagrodę.

— Więc wszyscy zamykają na noc zwierzęta w zagrodzie dla bezpieczeństwa?

— Oczywiście.

Lennox obejrzał się. Las zaczynał się w odległości nie większej niż sto jardów. Odległość od zagrody do pierwszych drzew

była jednak zbyt duża, by mógł liczyć na to, że Pionierom uda się tam przemknąć niepostrzeżenie.

Elormi spojrzął w niebo.

— Lepiej się pospieszmy — powiedział. — Nie sądzę, by deszcz padał jeszcze dłużej niż jakąś godzinę.

Ruszył w stronę zagrody, a Lennox podążył jego śladem, choć wciąż jeszcze nie miał żadnego pomysłu, jak uwolnić więźniów, unikając bezpośredniego starcia ze strażnikami. Gdy szli przez bagno, ich stopy wydawały dość głośne, przypominające mlaskanie dźwięki, lecz wokół nie było nikogo, kto mógłby je usłyszeć. Kiedy zbliżyli się do zagrody, grunt stał się twardszy. Znalazłszy się w odległości jakichś dwudziestu jardów od celu zatrzymali się.

— A co teraz? — zapytał Lennox.

— Teraz sprawdzimy, gdzie są więźniowie.

— Jak?

Elormi popatrzył na niego z głębokim niedowierzaniem i uniósłszy wysoko obie ręce skierował wnętrza dłoni w stronę płotu. Zakoczony Lennox zrobił to samo — i nagle dotarł do niego zapach zwierząt i odchodów.

Oczywiście! Zapomniałem o porach na moich dłoniach! Ruszył wzdłuż płotu, wrażliwymi dłońmi analizując liczne zapachy, i w końcu natrafił na taki, jakiego nie napotkał od opuszczenia szpitala. Był tak dziwny, że zupełnie nie pasujący do tego miejsca, że nawet gdyby nie znał go przedtem, wiedziałby, że pochodzi od ludzi.

Elormi także się zatrzymał, jak gdyby również wyczuł woń i miał pewność, że nie mogła pochodzić od nikogo innego.

Lennox zdawał sobie sprawę, że za chwilę będzie zmuszony ujawnić swoją znajomość ludzkiego języka. Patrzył na Elormi,

zastanawiając się, jak ten na to zareaguje; czy poczuje się zdrajcą swojej rasy, czy też pragnienie ujżenia innych światów i poznania nowych legend jest w nim tak silne, że ów fakt będzie mu obojętny. Po chwili Lennox uświadomił sobie, że i tak nie ma żadnego wyboru, bo jeśli miał oswobodzić ludzi, zanim przestanie padać i Jastrzębiorożce wyjdą zabrać swoje zwierzęta, musiał to zrobić teraz.

— Hej — powiedział po ziemsku. Jego obecne wargi zniekształcały brzmienie słów, lecz nie na tyle by uniemożliwić zrozumienie ich sensu. — Tu Xavier William Lennox. Przyszedłem was uwolnić.

Nie musiał czekać na odpowiedź. Jego róg powiadomił go, że właśnie obudził nadzieję i wywołał skrajne podniecenie czterech istot.

— Dzięki Bogu, że tu dotarłeś! — odezwał się damski głos. — Jestem Pionierka Elaine Joubert!

— Czy będziecie w stanie przejść milę w ciągu najbliższych trzydziestu minut? — spytał Lennox.

— Troje z nas tak, Robert Johannsen dostał jakiejś gorączki. Jest tak słaby, że w ogóle nie może chodzić.

— Nie ma sprawy — oznajmił Lennox. — Mogę go nieść. Jak daleko są wasi strażnicy?

— Są po drugiej stronie zagrody, gdzie mają schronienie przed deszczem.

— Czy widzą was?

— W tej chwili tak.

— Co masz na myśli mówiąc „w tej chwili”?

— Czasem zasłaniają nas zwierzęta.

— Dobrze. Poczekajcie, aż zwierzęta znowu was zasłonią, i dajcie mi znać. Trzymajcie się o parę stóp od ściany zagrody.

Sygnał nadszedł jakieś trzy minuty później. Lennox zwinął grube palce w potężną pięść i z całą olbrzymią siłą swojego nowego ciała uderzył nią w płot. Przeszła na wylot. Przebił kolejne dwie deski, po czym wraz z Elormi szybko usunął odszczepione kawałki drewna.

Rudowłosa kobieta zaczęła wydostawać się przez zrobiony przez niego otwór i nagle, ujrzawszy przed sobą dwa Jastrzębio-rożce, zamarła z wrażenia.

— Wszystko w porządku — odezwał się Lennox, po ziemsku. — Później wyjaśnię. Jesteśmy przyjaciółmi.

Wahała się przez moment, potem szybko wyszła, a za nią przeszły przez dziurę w ogrodzeniu dwie kobiety. Lennox przedostał się do zagrody, znalazł bezwładnego, leżącego w gorączce na deszczu mężczyznę i zarzucił go sobie na szerokie, upierzone ramię. Potem dołączył do czworga pozostałych.

— Idziemy ku brzegowi tego lasu — powiedział, wskazując drzewa. — Nie próbujcie biec, dopóki deszcz nie ustanie, nikt nas nie zobaczy. Bardzo ostrożnie przechodźcie przez bagno. Mogą nas schwytać tylko wtedy, gdy po drodze będziecie zbyt często grzęzli.

Pokonanie bagna, które Lennox i Elormi przeszli w dziesięć minut, zajęło kobietom ponad godzinę, lecz w końcu przebrnęły przez nie i zanim deszcz ustał, zdążyli zagłębić się w dżunglę na pół mili.

— Kim naprawdę jesteś i jak nauczyłeś się naszego języka? — spytała Elaine Joubert, gdy zatrzymali się, by odpocząć.

— Wyjaśnię to wieczorem — odpowiedział Lennox. — Teraz odsapnijcie i dajcie mi znać, gdy poczujecie się na siłach iść dalej. Nie będziemy bezpieczni, dopóki nie wejdziemy znacznie głębiej w las.

— A potem?

— Za tydzień przyleci po nas statek. Do punktu kontaktowego dotrzemy za jakieś pięć dni.

— A co by było, gdyby uwolnienie nas zajęło więcej czasu?

— Tak mogło się zdarzyć — przyznał Lennox. — Statek ma przeszukiwać okolicę raz w tygodniu przez cztery miesiące. Jeśli w tym okresie nie udałoby mi się was oswobodzić, najprawdopodobniej nastąpiłaby interwencja militarna. Wy czworo zostalibyście na pewno zabici, zanim wasi strażnicy by się poddali. Potem Republika ogłosiłaby was bohaterami, postawiła wam pomniki i głędziłaby o wielkim zwycięstwie nad tą zaawansowaną technicznie cywilizacją.

Lennox skupił teraz swą uwagę na Robercie Johannsenie. Jego róg nie odbierał bólu, ale sygnalizował też raczej całkowity brak woli życia. Jeśli nawet ten mężczyzna był kiedyś szczupły, to i tak stracił bardzo dużo na wadze i pomimo obfitości wody na planecie uległ poważnemu odwodnieniu. Trzy Pionierki zrobiły dlań wszystko, co mogły, ale ponieważ nie dano im żadnego schronienia, przebywali przez cały czas w bardzo niehigienicznych warunkach i nie mieli żadnych lekarstw — zdołały jedynie utrzymać go przy życiu.

Lennox wsączył trochę wody pomiędzy wargi Johannsena, potem delikatnie zarzucił go sobie na ramię i dał hasło do wymarszu.

Przez trzy dni maszerowali w głąb lasu, a czwartego dnia ranniem Lennox uznał, że muszą odbyć krótką naradę.

— Jeśli nadal będziemy szli w tym tempie, Johannsen umrze, zanim dojdziemy do punktu kontaktowego — oznajmił.

— Możemy iść wolniej i statek zabierze nas tydzień później — powiedziała Elaine.

Lennox potrząsnął przecząco masywną głową.

— Nie — odparł. — Jest niemal pewne, że ci, którzy was schwytali, idą naszym tropem. Jeśli zwolnimy, na pewno nas dogonią.

— Więc co proponujesz? — zapytała. — Nie możemy go tu tak po prostu zostawić.

— Ja z nim zostanę — odrzekł Lennox. — Podam Elormi współrzędne lądowiska, on zaprowadzi waszą trójkę na miejsce. I pamiętajcie: przyrzekłem mu, że będzie mógł polecieć z nami. Nie włada ziemskim, ale ktoś z Ministerstwa Spraw Pozaludzkich może przesłać taśmę z językiem Jastrzębiorożców wszędzie, gdziekolwiek będzie chciał się udać.

— Nie możesz tutaj zostać sam tylko z Johannsenem! — zaprotestowała.

— Moim zadaniem było uwolnienie was i umożliwienie wam powrotu do Republiki.

— Ale Jastrzębiorożce cię wytropią!

— Nie ma mowy — zaprzeczył Lennox. — Bez was mogę iść dużo szybciej. Przekażcie tylko tym z Ministerstwa Spraw Pozaludzkich, że chcę, by statek przylatywał co tydzień. Gdy Johannsen wreszcie wydobrzeje, zjawimy się gdzie trzeba.

— Jesteś pewien, że...?

— Wierźcie mi, bez was będziemy bardziej bezpieczni, niż z wami.

Popatrzyła na niego, a potem niechętnie skinęła głową.

— Dobrze. Skoro tak uważasz.

— Tak uważam. Poczekajcie teraz chwilę, chcę wyjaśnić Elormi sytuację.

Odwrócił się do małego Jastrzębiorożca.

— Zabierzesz ich na lądowisko. Ja zostanę z tyłu.

— Nie wiem, co im powiedziałaś — odparł Elormi — ale nie rozumiem, dlaczego ci uwierzyły.

— Żadna z nich nie ma rogu — wyjaśnił Lennox.

— Dlaczego chcesz zostać w tyle?

— Mam swoje powody. Czy poprowadzisz ich tak, jak cię o to proszę?

— Tak. Czy wiedzą, że mam odjechać z nimi na waszym statku?

— Wiedzą.

Elormi wstał.

— Więc ruszamy.

— Dzięki ci za pomoc, Elormi — powiedział Lennox wstając także. — Uważaj w lesie na *bedrona*, w drodze tutaj natknąłem się na jednego. — Przerwał na moment. — Do widzenia i szczęśliwej drogi!

— Przywiozę opowieści, które poruszają wyobraźnię wszystkich moich współbraci — rzekł Elormi.

Ruszył przed siebie, a trzy Pionierki poszły za nim.

Lennox odprowadzał ich wzrokiem, dopóki nie znikli w od dali, a potem usiadł przy umierającym Johannsonie. Jego róg mówił mu, że za dwie, najwyżej trzy godziny człowiek będzie martwy.

Ułamał gałąź z drzewa, swoimi silnymi dłońmi o dwóch kciukach obrobił ją najlepiej jak umiał i zaczął kopać grób. Skończył na jakieś dziesięć minut przed zgonem Johannsena. Złożył martwe ciało w dole, przykrył je błotem i z dwóch cienkich gałązek sporządził krzyż tak mały, że jeśli *droika* szli za nim, w co zresztą wątpił, nie powinien zwrócić ich uwagi.

W rzeczywistości zamierzał za parę dni przyłączyć się do nich, pragnął bowiem dowiedzieć się jak najwięcej o ich społe-

czeństwie. Ostatecznie przecież nie przeżył miesięcy operacji i treningu tylko po to, by uwolnić czworo nic go nie obchodzących ludzi. Miał trzy miesiące czasu, zanim Republika położy na nim krzyżyk, więc następne dziesięć czy jedenaście tygodni mógł spędzić jako *droika*.

Lecz najpierw musiał przetestować posiadane ciało.

Za pomocą znajdujących się w dłoniach swych niezwykłych organów węchowych wytropił małe zwierzę, po czym, gdy ugrzęzło w błocie, złapał je i zabił, chłodno analizując jego doznania. Wciąż jeszcze sprawiało mu przykrość, owo wysyłane przez ofiarę przejmujące uczucie przerażenia i bólu, ale musiały istnieć pewne sposoby, by się do tego przyzwyczaić. Jastrzębio-
roźce jakoś sobie poradziły z tą sprawą, więc skoro był teraz jednym z nich, też musiał się z nią uporać.

Tej nocy rozpałił małe ognisko. Nie po to, by upiec nad nim mięso — zjadł je już przedtem na surowo; nie po to też, by się ogrzać — jego pióra i opancerzona skóra chroniły go przed deszczem i chłodem. Można by to nazwać eksperymentem; Xavier William Lennox, który kiedyś był człowiekiem, studiował beznamiętnie cierpienia pożeranego przez płomień jeszcze żywego kawałka drzewa.

22

Nora Wallace podniosła wzrok znad swojego biurka i spostrzegła, że stoi przed nią jakaś dobrze ubrana kobieta.

— Czym mogę służyć? — zagadnęła uprzejmie.

— Przyszłam tu powstrzymać was przed dalszym niszczeniem Xaviera Lennox — odparła Angela Stone próbując trzymać emocje na wodzy.

— Pani musi być...

— Jego agentką.

— Miałam powiedzieć, jego była żoną.

— Nią także.

— Odkąd wrócił z Artismo, wielokrotnie próbowałam się z nim skontaktować — wyznała Nora — lecz w ogóle nie reaguje na pozostawiane przeze mnie wiadomości.

— Co zamierzacie zrobić? — spytała Angela sarkastycznym tonem. — Przerobić go na kolejnego potwora?

— To jego wybór — oświadczyła Nora. — Jest pani bardzo wzburzona, panno Stone. Może zechce pani usiąść?

Angela siedła na wskazanym przez Norę krześle i przez chwilę wpatrywała się w nią intensywnie. Gdy się zorientowała, że Nora nie zamierza odezwać się pierwsza, powiedziała:

— On już nie jest człowiekiem!

— Oczywiście, że nie. Jest Jastrzębiorożcem.

Angela potrząsnęła głową.

— Pani nie rozumie.

— Więc może zechce mi pani wyjaśnić, o co pani chodzi — powiedziała Nora.

— Po ostatnim powrocie, kiedy był Świetlikiem, był inny. Wpadł w depresję, snuł się ponury po domu, nie mogłam się z nim dogadać, ale pod tą powłoką nadal był istotą ludzką.

— A teraz pani czuje, że już nią nie jest?

— Zawsze bardzo dużo czytał — zaczęła Angela. — Przerwała. Jej głos i wyraz twarzy zdradzały głębokie zatroskanie. — W tym samym tygodniu, gdy wrócił z Artismo, pozbył się

wszystkich swoich książek i taśm.

— Może ma nowe zainteresowania — podsunęła Nora.

— Ma. Usunął swój chemiczny suchy prysznic i zastąpił go takim, z którego tryska prawdziwa woda. Teraz codziennie stoi pod nim po dziesięć, dwanaście godzin. Po prostu stoi. Nie myje się, nie śpiewa, nic nie robi.

— Jego nowe ciało jest przystosowane do planety, na której prawie stale pada deszcz — wyjaśniła Nora. — Jeśli to jedyny problem...

— Chyba nie! — przerwała Angela. — Właśnie wyciągnęłam go za kaucją z więzienia!

— Ooo! — skrzywiła się Nora.

— Ma sąsiada, który około rok temu sprowadził z Ziemi dwa koty. Jeden z nich miał właśnie małe. — Przerwała, znowu starając się powściągnąć emocje. — Policja aresztowała go po tym, jak zabił i zjadł kocięta razem z ich matką!

— Co zrobić?

— Słyszała pani! On już nie jest Xavierem! Kiedy nie sterczy pod prysznicem i nie zabija małych, bezbronnych zwierząt, po prostu siedzi. W ogóle się nie odzywa, w ogóle nie odpowiada. Uwielbiał muzykę. Teraz nie chce jej słuchać.

— Czy po powrocie z Artismo w ogóle pracował w jakikolwiek sposób? — spytała Nora.

— Nie.

— Czy rozmawiał z panią o jakichkolwiek swoich przeżyciach na tej planecie?

Angela potrząsnęła przecząco głową.

— Pytałam go o to, ale on tylko powtarza, że nie będę w stanie pojąć jego słów. — Próbując ukryć strach, dodała: — I wierzę mu. Mój Boże, ja już kompletnie go nie rozumiem!

— Współczuję pani, panno Stone — powiedziała Nora. — Ale nie wiem, co pani zdaniem, ja mogłabym zrobić w tej sprawie.

— Zmieńcie go z powrotem w człowieka. I zapewnijcie mu odpowiednią pomoc psychiatryczną, kogoś, kto potrafi dotrzeć do prawdziwego Xaviera Lennox, póki jeszcze zachowała się jakaś — choćby niewielka — jego część.

— Jest istotą obdarzoną wolną wolą, podobnie jak pani i ja — odparła Nora. — Nie mogę zmusić go do powrotu do ludzkiej postaci, jeśli on sobie tego nie życzy.

— Jest istotą, to prawda — potwierdziła Angela — ale nie taką jak pani czy ja. Widziałam któregoś dnia jak obserwował przez okno małe dziecko. Śmiertelnie mnie to przeraziło. Wydawał się... głodny! — Przerwała i utkwiała w Norze spojrzenie pełne wrogości. — To pani zaaranżowała jego pierwszą przemianę, więc to pani ma obowiązek zmusić go, by stał się znowu takim, jakim niegdyś był.

— To nie zależy ode mnie — odrzekła Nora łagodnie. — Decyzja należy do niego.

— On nie jest zdolny do podejmowania rozsądnych decyzji.

— Być może ma więcej rozsądku niż pani przypuszcza. Wywiązał się znakomicie z obu swoich misji.

— Guzik mnie obchodzą wasze przeklęte misje! — warknęła Angela. — Obchodzi mnie Xavier!

— Kiedy był na Artismo, podjął poważne ryzyko, by ocalić czworo ludzi — powiedziała Nora. — Czy tak, pani zdaniem, postąpiłby obcy?

— On ma ochotę mordować i pożerać dzieci, a pani mówi o nim tak, jakby był jakimś bohaterem! — Angela przerwała i dokonała niemal fizycznego wysiłku, próbując zapanować nad

emocjami. — Nie zna go pani tak jak ja. Żyłam z nim przez trzy lata i jednym z powodów, dla których od niego odeszłam, było to, że jest największym egocentrykiem, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkałam. Mówię pani, pomimo jego licznych zalet, prawdziwy Xavier nie kiwnąłby palcem, żeby pomóc innemu człowiekowi, gdyby nie sądził, że dzięki temu będzie mógł napisać powieść lub opowiadanie.

— Być może tak jest.

— Gdy tylko wrócił do domu, polecił mi, bym zerwała wszystkie jego umowy z wydawcami, bez względu na to, ile by go to miało kosztować.

— Czy pani wykonała jego polecenie?

— Nie. Kiedy przerobicie go z powrotem na człowieka, tylko w ten sposób będzie w stanie zarabiać na życie.

— Powiedziała mu to pani?

— Nie. Nie miałam ochoty na walkę wręcz. Wyrzuciłby mnie siłą z domu. W tym swoim nowym ciele mógłby mnie rozdrzeć na pół, a kto wie, jak przebiegają teraz jego procesy myślowe.

— Powiedziała mu więc pani, że zerwała pani jego kontrakty?

— Tak.

— Wiedział, że pani kłamie, panno Stone.

— Wątpię.

— Jestem pewna, że znakomicie umie pani kłamać — bez urazy — ale on, będąc Jastrzębiorożcem, ma pewne specyficzne zdolności. Proszę mi wierzyć: nie może pani ukryć przed nim prawdy, tak samo jak i uczuć.

— Może czytać w moich myślach?

— Niezupełnie. Może jednak odczytywać emocje, a ponie-

ZAMGLONY HORYZONT

waż jest bardzo inteligentny, bez wątpienia potrafi wydedukować, co pani myśli.

— To nieprzyzwoite! Mieć umysł obnażony przed tym obcym czymś...

— On nie jest czymś, panno Stone — zaprotestowała Nora. — Jest po prostu człowiekiem noszącym kostium, grającym rolę, do której został znakomicie przygotowany. Nie zdaje sobie po prostu sprawy, że już nie jest na scenie.

— Ma pani odpowiedź na wszystko! — rzuciła gniewnie Angela. — Ale mój mąż zatracca się w kostiumie, który dla niego stworzyliście, a wy chyba nie rozumiecie, co się dzieje.

— Pani były mąż — sprostowała Nora. — Sprawy muszą biec własnym torem — powinna się pani z tym pogodzić, panno Stone. Bez względu na to, czy postanowi znowu stać się człowiekiem, czy nie, już nigdy nie będzie Xavierem Lennoxem, jakiego pani znała.

— Mąż, były mąż, co za różnica? Być może nie jesteście już w stanie pomóc niezwykłemu, niezmiernie utalentowanemu człowiekowi, a jednocześnie upieracie się, że nie istnieje w ogóle żaden problem!

— To, co pani mówi, jest niesprawiedliwe i nieprawdziwe zarazem, panno Stone — rzekła Nora. — My mamy do czynienia z bezprecedensową sytuacją. Żaden człowiek nie doświadczył tego, przez co przeszedł Xavier Lennox. Nikt nigdy nie musiał stamtąd powracać. — Przerwała i popatrzyła nie bez współczucia na zmartwioną kobietę, siedzącą naprzeciw niej po drugiej stronie biurka. — Znajdujemy się na zupełnie nowym, zupełnie nieznanym terenie. O tym, co nim kieruje, wiem nie więcej od pani.

— I podczas gdy pani rozmawia tu ze mną tonem osoby

wszechwiedzącej i nieomyślnej, on torturuje i pożera małe zwierzątka i spędza połowę życia pod strumieniami parującej wody — podsumowała Angela z goryczą.

— Zrobimy tak, panno Stone — powiedziała Nora starannie dobierając słowa. — Będę nalegać, by natychmiast sprowadzono go tu na testy psychologiczne, i jeśli potwierdzą one pani obawy, do czasu, zanim go wyleczymy, uniemożliwimy mu kontakty z ludźmi. Czy to panią satysfakcjonuje?

— I przywrócić mu jego dawną fizyczną postać?

— Tego nie mogę obiecać — zastrzegła się Nora. — To zależy od jego decyzji. — Znowu przerwała na chwilę i dodała: — Ale jeśli nasi psychiatrzy stwierdzą, że jest do tego gotów, nie powinno być żadnych problemów.

Angela wstała i podeszła do drzwi, po czym odwróciła się i spojrzała wyzywającym wzrokiem na siedzącą przy biurku kręłą kobietę.

— To wy go zniszczyliście. Teraz wy go uleczcie.

Po tych słowach wyszła, a Nora Wallace natychmiast włączyła wideofon i powiedziała do jednego ze swoich podwładnych:

— Nadszedł czas, by ściągnąć tu pana Lennox, czy chce tego, czy nie. Odizolujcie go, dopóki nasi psychiatrzy nie przeprowadzą testów. Nie powinni go odwiedzać żadni goście.

— Nawet panna Stone?

— Zwłaszcza panna Stone.

23

Dzień dobry, panie Lennox — powiedziała Nora Wallace wchodząc do małego szpitalnego pokoju. — Jak się dziś czujemy?

Lennox popatrzył na nią, ale nic nie odpowiedział.

— Przed chwilą znowu zadzwoniła z pretensjami pańska agentka. Czy chciałby pan z nią porozmawiać?

Lennox nadal spoglądał na nią w milczeniu.

— Doprawdy, panie Lennox. Jeśli pan mi nie odpowie, nie będę wiedziała co jej przekazać.

— Niech pani jej powie, żeby zostawiła mnie w spokoju — odezwał się Lennox swoim niewiarygodnie niskim głosem.

Wymawiał słowa niewłaściwie, lecz można go było zrozumieć.

— Jak pan sobie życzy — odparła. I dodała po chwili: — Muszę także stanowczo prosić, by zaprzestał pan zabaw w kotka i myszkę z naszymi psychiatrami.

Milczenie.

— Jeden z nich uważa, że jest pan maniakałnym mordercą. Drugi, że jest pan całkowicie normalny pod każdym względem. Trzeci myśli, że cierpi pan na depresję maniakałną z pewnymi objawami paranoi. Dwaj inni oświadczyli, że tak daleko odbiega pan od normy, iż nawet nie umieją ocenić, jaki jest pański stan psychiczny.

— Wszyscy są głupcami — rzekł Lennox.

— Prawdopodobnie tak. Ale czy musi pan naprawdę odpowiadać im w języku Jastrzębiorożców? Przełożenie tego wszystkiego, co pan mówił, zajęło dodatkowy tydzień.

— Jestem Jastrzębiorożcem. To mój język.

— Ale ze mną rozmawia pan po ziemsku. Dlaczego?

Ponowne milczenie.

— Czy to nie dlatego, że czegoś pan chce ode mnie? — ciągnęła Nora.

— Pani wie, czego chcę.

— Cóż, sądzę, że oboje wiemy, czego pan *nie* chce — powiedziała Nora. — Zdarzają się jednak chwile, kiedy myślę, że nawet pan nie bardzo wie, czego chce.

— Nie będę więcej człowiekiem — oświadczył Lennox. — Świat jest zbyt bogaty.

— Słucham?

— Zbyt wiele można poznać, zbyt wiele jest możliwości stania się kimś innym.

— Czy cała ta wiedza umrze wraz z panem, czy też kiedyś w przyszłości zamierza pan to wszystko spisać i przekazać?

— Przesłuchania były bardzo skrupulatne. Wyciągnięto ze mnie wszystko, co wiedziałem. — Przerwał na moment. — Poza tym, pani ma to w nosie, czy ta wiedza zginie wraz ze mną, czy nie.

— Oczywiście, że nie.

— Może pani ze mną zrobić bardzo wiele rozmaitych rzeczy, ale nie jest pani w stanie mnie okłamać.

— Rozpowszechnianie pańskiej wiedzy nie należy istotnie do spraw dla mnie najważniejszych — przyznała Nora. — Ale mnie obchodzi.

Lennox nic nie odpowiedział.

— No, panie Lennox — odezwała się Nora. — Jeśli chce pan opuścić ten pokój, musi pan ze mną współpracować.

Lennox wydał z siebie dudniący dźwięk, który przypominał śmiech.

— Sądzi pani, że mogłaby mnie tu pani trzymać wbrew mojej woli choćby przez sekundę?

Jednym uderzeniem masywnej ręki wybił ogromną dziurę w ścianie.

— Obciążę pana kosztami naprawy — zauważyła Nora.

— Proszę, niech pani to zrobi.

— Mam wystawić rachunek?

— Pani wie, czego chcę.

— Owszem wiem... ale nie wiem, czy jest pan zdolny sobie z tym poradzić. Od czasu swej pierwszej operacji bardzo się pan zmienił.

— Oczywiście, że się zmieniłem! — krzyknął Lennox, a siła jego głosu sprawiła, że Nora odskoczyła gwałtownie w tył. — Odbierałem najsłabsze uczucia wszystkich istot, jakie żyją na Artismo. Czułem ból umierających liści, panikę ofiar próbujących wyrwać się drapieżcom. Dzieliłem ekstazę dwojga Jastrzębiorożców uprawiających seks i doświadczyłem potężnego szoku rodzącego się dziecka. Jak mogłem się nie zmienić?

— Rozumiem.

— Wątpię — Lennox popatrzył na nią wrogo. — Nie cofnę się do ludzkiej postaci.

— Uczciwie mówiąc nie sądzę, bym mogła pozwolić na taką operację — powiedziała bez ogródek. Odnotowaliśmy zbyt wiele takich pańskich sądów i reakcji, które nie są już na pewno ludzkie. Wygląda na to, że jesteśmy wzajemnie na siebie skazani: — pan i nasz zespół. — Uśmiechnęła się nagle. — Nawiasem mówiąc, może zainteresuje pana, że zwolniliśmy psychiatrę, który uważał pana za normalnego.

— Tego niskiego? Chudego, o szaroblond włosach?

— Właśnie tego.

— Powinienem być go pożreć, kiedy miałem po temu okazję.

— No właśnie, tego rodzaju uwagami nie pozyskuje pan sobie sympatii pozostałych członków zespołu — zauważyła łagodnie. — Zaczyna nam brakować pielęgniarzy chętnych do opieki nad panem.

— No to zróbmy operację i miejmy to z głowy.

— To nie takie proste — powiedziała Nora. — Według doktor Ngoni, za każdym razem gdy przechodzi pan operacje zmieniające ciało, dokonuje się tak wielu modyfikacji i trzeba dostosować do nich tak wiele elementów, że zmniejsza to swobodę działania przy zabiegach związanych z następnym przekształceniem.

Spojrzał na nią pytająco.

— Wytrzyma pan jeszcze dwie, trzy operacje — ciągnęła Nora. — Potem musi pan powrócić do ludzkiej postaci albo zachować ostatnią, jaką panu nadamy. Tak jak się sprawy mają, nasze możliwości działania są tym razem ograniczone. Jest świat chlorowy, dokąd bardzo pragnęlibyśmy pana posłać, ale doktor Ngoni, przy całym jej kunszcie, nie jest w stanie przekształcić pana w istotę oddychającą chlorem. Z analogicznego powodu nie możemy pana wysłać na mroźną planetę meta-nową. — Przerwała na moment. — Tak naprawdę, w tej chwili jest tylko jeden świat, gdzie by się pan nam przydał i gdzie jednocześnie jesteśmy w stanie pana posłać.

— No to tam właśnie się udam.

— Niech pan nie podejmuje decyzji zbyt pochopnie, panie Lennox — powiedziała. — Pańskie zadanie będzie tym razem zupełnie odmienne od dwóch poprzednich.

— To znaczy?

— Próbuję panu wyjaśnić, że jeśli podda się pan operacji

i zawieziemy pana na Tamerlaine, może pan spędzić następny rok będąc jedyną rozumną istotą na tej planecie. Może to być samotna, wywołująca frustrację praca.

- A co z tą rasą, której członka będę odgrywał?
- No więc, w tym właśnie tkwi nasz problem...

24

Tamerlaine była interesującą planetą, a w dodatku bardzo cenną planetą.

W tym czasie Ludzie przenosili swą Główną Kwaterę z osamotnionej w spiralnym ramieniu Galaktyki Ziemi na położoną bliżej centrum, ogromną Deluros VIII. To właśnie osiadłszy na Deluros i sąsiednich planetach człowiek rozpoczął prawdziwą ekspansję na obszarach Galaktyki. Republika zaczęła wchłaniać pobliskie światy, a potem sięgać coraz dalej i dalej, w dwóch głównych kierunkach: ku Zewnętrznej Granicy, tym odległym planetom na galaktycznej Krawędzi; oraz ku Granicy Wewnętrznej, światom leżącym w pobliżu jądra Galaktyki.

Zadaniem Departamentu Kartografii było nie tylko sporządzanie map Galaktyki i planet, lecz również planowanie wielkiej strategii ekspansji Republiki. Zazwyczaj linie tej ekspansji pokrywały się z łatwymi do przewidzenia modelami wyznaczanymi przez szlaki handlowe i punkty potencjalnego zbrojnego oporu, ale od czasu do czasu Korpus Pionierski znajdował planetę leżącą z dala od utartych tras, którą Kartografia uznawała za wartą eksploatacji.

Takim światem była Tamerlaine — mała planetka krążąca wokół usytuowanego głęboko w obszarze Wewnętrznej Granicy, niepozornego słońca klasy G — ponieważ znajdowały się tam bardzo bogate złoża pierwiastków rozszczepialnych, których Republice wiecznie brakowało.

Wiek czy dwa wcześniej Republika po prostu wkroczyłaby na planetę i wzięła sobie, co chciała, bez żadnych skrupułów, lecz w miarę jak rosła liczba wchłanianych przez nią rozumnych ras, dla Człowieka coraz bardziej istotny stawał się jego własny wizerunek. Choć był obecnie najpotężniejszą rasą w galaktyce, inne rasy miały przewagę liczebną w stosunku kilkaset do jednego, więc już tylko w ostateczności decydował się na użycie siły.

Gdyby na Tamerlaine nie było inteligentnych istot, nic nie powstrzymałoby Republiki przed zajęciem planety i rabunkiem jej zasobów. Jeśliby żyły tam takie istoty, sprawą zajęłyby się Ministerstwo Spraw Pozaludzkich i Jego Korpus Dyplomatyczny i dopiero jeżeli im nie udałoby się zawrzeć korzystnego porozumienia z mieszkańcami Tamerlaine, wówczas, pod byle jakim pretekstem, na planetę wkroczyłaby armia.

Jednakże, choć najlepsi specjaliści z zakresu psychologii obcych ras, jakimi dysponowało Ministerstwo, już od trzech lat prowadzili swe obserwacje, nadal nie umieli stwierdzić, czy najbardziej rozwinięte formy życia na Tamerlaine były rozumne czy nie. Spowodowało to daleko idące konsekwencje: pomiędzy różnymi wydziałami Ministerstwa, a nawet członkami Rządu Republiki wybuchały tak gwałtowne spory, ujawniające tak zupełnie sprzeczne cele, że do czasu jednoznacznego i ostatecznego rozwiązania kwestii, czy planeta jest zamieszкана przez istoty rozumne, czy nie, wszystkie plany związane z Tamerlaine uległy

zawieszeniu.

W końcu całą sprawę przekazano Norze Wallace. Pierwszym jej posunięciem było schwytanie, zgładzenie i przekazanie Beatrice Ngoni i jej zespołowi trzech mieszkańców planety, przedstawicieli owej zagadkowej rasy. Gdy okazało się, że przekształcenie Lennox w Toczaka (jak ochrzczono te istoty) jest możliwe, Nora — zawdzięczając to jego poprzednim sukcesom — szybko zdobyła niezbędne fundusze i uruchomiła cały proces.

To wszystko stało się cztery miesiące temu.

Tym razem różne zabiegi chirurgiczne trwały w sumie nieco dłużej niż poprzednio, za to obyło się prawie bez ćwiczeń i treningu. Jako Toczak Lennox nie posiadał daru mowy, nie potrzebował więc się uczyć żadnego języka. Nikt nie wiedział, czy Toczaki są istotami rozumnymi, toteż nie musiał zapoznawać się z ich kulturą. Jego potencjalne umiejętności fizyczne, choć niezwykłe, były łatwe do opanowania, więc poznanie nowego ciała i jego ograniczeń zajęło mu zaledwie dwa tygodnie. Potem zawieziono go na Tamerlaine, powiedziano mu, że zostanie zabrany z powrotem po upływie sześciu miesięcy, a na pożegnanie polecono, by uważał na siebie i chronił swoje nowe ciało, w które Republika zainwestowała olbrzymią kwotę.

Nie miał oczu, którymi mógłby się przyglądać swemu otoczeniu, ani nóg, na których mógłby wędrować po planecie. Był mięsożerny, nie miał jednak rąk umożliwiających chwytanie zdobyczy ani szponów do rozrywania jej ciała, ani też strun głosowych pozwalających zmusić ją rykiem do rezygnacji z ucieczki i uległości.

Posiadał długi, niebieski język, który mógł wysunąć z otworu gębowego na odległość ponad piętnastu cali. Wyczuwał nim światło, kształty i poruszenia, wychwytywał też niesione deli-

katnym powiewem wiatru najślabsze zapachy. Miał także nowy, umieszczony pośrodku gładkiego pyska organ, który wychwytywał i identyfikował słabe pola elektryczne generowane przez żywe istoty.

Jego ciało pokrywała warstwa tłuszczu i gruba, niemal nieprzenikalna skóra. Kiedy trwał w bezruchu, przypominał wielkiego, brązowego ślimaka, lecz gdy zwinął się w kulę i odepchnął od podłoża drobnymi pseudokończynami — miał ich po kilkadziesiąt z każdego boku — mógł toczyć się z prędkością do dwudziestu mil na godzinę.

Znajdował się na dużej, otwartej, płaskiej przestrzeni. Porastająca ją, podobna do mchów roślinność wydawała się w jakiś sposób dlań odpowiednia, jakby została stworzona specjalnie po to, by toczenie się sprawiało mu przyjemność. Choć nie mając oczu nie mógł jej widzieć, wiedział jednak — nie wiadomo skąd — że jest bladożółtozielona. W pewnej odległości od niego rosły setki wysokich, cienkich drzew. Niektóre z nich wystrzelały w górę ku jasnemu, błękitnemu niebu na dwieście stóp lub więcej. Nagle zdał sobie sprawę, że jest głodny, więc postanowił wypróbować swoją umiejętność poruszania się i ruszył w ich stronę.

Wyczuł, że nie toczy się po linii prostej, więc zaczął eksperymentować, tak jak to robił w szpitalu; odpychając się prawymi pseudokończynami, równocześnie podkurczał i chował w zwałach tłuszczu lewe. Teraz znosiło go za bardzo w lewo, więc poprawił kierunek wprowadziwszy do akcji pseudokończyny znajdujące się z tej właśnie strony. Zabrało mu to parę minut, lecz w końcu nabrał pewnej wprawy. Zaczął wtedy ćwiczyć toczenie się z różną prędkością, zatrzymywanie się i ruszanie. Gdy uznał, że daje sobie całkiem niezłe radę z tym wszystkim, opuś-

cił pole i skierował się znowu w stronę drzew.

Znalazł dwa pnie, odległe o jakieś trzy stopy jeden od drugiego, uchylił łądę na czubku języka i zaczął wystrzykiwać lepka, przejrzystą substancję, z której miał zbudować swoją sieć. Rozsnuwał ją między pniami drzew tam i z powrotem, tworząc w ten sposób kolejne nici, ale po jakimś czasie uznał, że nie jest to najlepsza konstrukcja, więc zaczął rozpylać ciecz z góry na dół i uformował sieć złożoną z mniej więcej trzystu niewielkich kwadratów; jej dolny brzeg dzieliły od ziemi jakieś dwa cale, a górny prawie trzy stopy.

Potem, ponieważ jakiś instynkt podszeptał mu, że ma znikome szanse na to, iż w tę właśnie sieć złapie się cokolwiek, przystąpił do tworzenia kolejnych sieci w regularnych odstępach i zabudował nimi obszar o powierzchni większej niż akr.

Dokonawszy tego poturlał się poprzez drzewa w poszukiwaniu innych Toczaków. Był świadom pokrzykiwań ptaków, prychnania małych, podobnych do gryzoni zwierząt, delikatnych dźwięków wydawanych przez owady skrobiące pod ziemią. Do jego języka dotarła woń odległej wody, lecz nowe ciało jej nie potrzebowało; całą niezbędną wilgoć czerpało z ciał swoich ofiar.

Po kilku minutach zawrócił, nie chciał bowiem oddalać się zbyt od swoich sieci, a nie miał żadnego instynktu pozwalającego łatwo odnaleźć określone miejsce. Sprawdził je wszystkie, nie znalazł niczego i zdał sobie sprawę, że słońce znajduje się już nisko nad horyzontem.

Powiedziano mu, że Toczaki znajdowały się na szczycie łańcucha pokarmowego Tamerlaine, ale postanowił temu w pełni nie dowierzać, dopóki nie pozna lepiej planety, i zaczął szukać jakiegoś bezpiecznego schronienia na noc. Znalazł wypróchniały

pień, wcisnął się do środka i starając się nie myśleć o dokuczającym mu nie na żarty głodzie, czekał, aż zmorzy go sen.

Był niezadowolony i rozczarowany. Ze Świetlikami nawiązał kontakt, zanim minęły trzy godziny od chwili, gdy wylądował na Medinie, Jastrzębioróżca spotkał pod koniec pierwszego dnia spędzonego na Artismo. Lecz tu, na Tamerlaine, nie natknął się do tej pory na żadnego Toczaka, a co więcej, nie miał nawet bladego pojęcia, co powinien zrobić, gdy do takiego spotkania dojdzie. W dodatku cierpiał głód, w lesie, który — jak mu sygnalizowały jego nowe zmysły — roił się od potencjalnych ofiar.

Obudził go śpiew tutejszych ptaków. Uprzytomnił sobie, że spędził noc spokojnie, nie niepokojony przez nikogo. Wygramolił się ze swojego pnia i ponownie obszedł sieci.

Nic. Nie złowił nawet marnego owada.

Poturlał się przez las, by odnaleźć Toczaki, tym razem dalej niż poprzedniego dnia. Nie znalazł żadnego. Co dwie lub trzy godziny powracał, by sprawdzić, czy w końcu coś się złapało w jego sieci. Nie złapało się nic. Dorobił kilkanaście następnym.

O zmierzchu zrobił ostatni obchód i znowu nie znalazł niczego. Ponieważ nie spostrzegł żadnych śladów drapieżników, dużych ani małych, postanowił nie wciskać się do niewygodnego pnia i ułożył się do snu obok drzewa.

Piekielnie głodny obudził się parę minut przed świtem. Sprawdził sieci — nadal były puste.

Położenie stało się krytyczne, więc postanowił przenieść się w inną okolicę, mając nadzieję, że tam powiedzie mu się lepiej. Po prawie dwugodzinnej wędrówce na zachód natrafił na sieć tak misterną, że wydała mu się dziełem sztuki.

Dziesięć jardów dalej natknął się na następną, równie kunsz-

towną. Szamotał się w niej mały ptak. Lennox rzucił się na niego, zabił jednym uderzeniem szczęk i połknął w trzech kęsach.

Nie zaspokoilo to jego głodu, lecz był pewien, że zdoła już wytrzymać do końca dnia, nawet jeśli sam nic nie upoluje. Wciąż jeszcze przyglądał się sieci, zastanawiając się, czy jakiś element jej wzoru mógł zwabić ptaka, gdy mocne okrągłe ciało spadło mu na plecy.

Lennox w tym momencie nie był zwinięty w kulę, więc przecaczający się po nim Toczak, który go napadł, rozplaszczyl go na mchu. Napastnik zatoczył koło i zaatakował ponownie, tym razem od przodu. Lennox odturlał się, z trudem uniknąwszy zderzenia z Toczakiem, zwinął się w kłębek i oddalił się na jakieś dwadzieścia jardów.

Tamten nie gonil go, więc Lennox zatrzymał się i odwrócił w stronę przeciwnika. Toczak nie różnił się prawie od niego ani wielkością, ani wagą i nie zdradzał chęci, by go ścigać. Z wysuniętym w jego stronę językiem kołysał się lekko z boku na bok, najwyraźniej uważnie go obserwując, zupełnie jakby miał oczy.

Lennox pragnął wyjaśnić Toczakowi, że nie chciał wyrządzić mu żadnej szkody, że zabrał ptaka jedynie dlatego, bo aż osłabł z głodu — ale zupełnie nie wiedział, jak się z nim porozumieć.

Ponieważ Toczak nie wykonał żadnego ruchu świadczącego o chęci agresji, Lennox podtoczył się parę stóp w jego stronę. Nagle tamten zeszywniał i zwinął się ciaśniej w kulę. Lennox odebrał to jako ostrzeżenie i znieruchomiał.

W ciągu następnej godziny nic się nie zmieniło. Za każdym razem, gdy Lennox się zbliżał — teraz posuwał się wolniej, cal po calu — Toczak sztywniał i szykował się do ataku, a kiedy Lennox zaczynał się cofać, Toczak się uspokajał. W końcu, kiedy stało się oczywiste, że tamten nie zamierza oddalić się od

swojej sieci, bo wtargnięto na jego terytorium, Lennox postanowił odejść.

Nie miał pojęcia, jak wróci do własnych sieci, ale wcale się tym nie przejmował. Najwyraźniej i tak musiał upleść misterniejsze pułapki, podążał więc dalej naprzód. Przebywszy około pół mili natknął się na kolejne sieci. Miały one wzór zupełnie inny niż widziane poprzednio, choć wszystkie były bardzo podobne do siebie, więc doszedł do wniosku, że wtargnął w rejon łowiecki innego Toczaka. W jednej z tych sieci słabo szamotało się małe, podobne do gryzonia zwierzę. Lennox zaczekał, aż zapadł zmrok, a wtedy podszedł i zaczął je zjadać, licząc się z możliwością ataku. Nic się jednak nie wydarzyło i gdy skończył posiłek, wycofał się, rozdzierając po ciemku kilka pułapek.

Następnego dnia znalazł nie zajęty obszar, stanowiący w przybliżeniu kwadrat o boku długości trzystu jardów, i przystąpił do rozsnuwania sieci. Nie miał pojęcia, jakie wzory zwabiają poszczególne gatunki zwierząt, wiedział jednak, że skuteczne pułapki były dużo bardziej kunsztowne od tych, które sam dotychczas sporządził. Zaczął od wykonania dużego prostokąta przekreślonego krzyżem, a potem, od jego środka, rozbudowywał swą konstrukcję ku bokom, starając się stworzyć, jak umiał najlepiej, skomplikowany deseń. Jego umiejętności nie w pełni dorównywały jego ambicjom, ale gdy skończył i odroczył się o parę stóp, uznał, że sieć stanowi zarówno pułapkę, jak i dzieło sztuki. Miał nadzieję, że sprawdzi się lepiej jako pułapka.

Resztę dnia spędził na snuciu kilkunastu następnych sieci, potem położył się spać na mchu w pobliżu ostatniej z nich.

Gdy się obudził i dokonał ich kontroli, wszystkie okazały się puste.

Kiedy próbował dociec, co zrobił źle, przyszło mu do głowy, że zanim się dowie, czy Toczaki są istotami rozumnymi, może umrzeć z głodu.

25

Lennox ponownie wyruszył badać swój nowy świat.

Tego ranka dwukrotnie natknął się na Toczaki. W obu wypadkach zachowywały się nieagresywnie — ale też nie próbował wykraść żywności żadnemu z napotkanych. Oba obserwowały go uważnie, nie przerywając pracy nad swymi sieciami, lecz żaden nie zdradzał najmniejszej chęci, by się doń zbliżyć lub go przepędzić.

Później, właśnie w chwili gdy uznał, że Toczaki są rasą samotników i każdy z nich żyje w obrębie określonego terytorium, napotkał trzy osobniki snujące sieci razem. Pracowały oddalone o kilka stóp jeden od drugiego i odniósł wrażenie, że działają w pełnej zgodzie. Każdy co chwila sprawdzał sieci dwóch pozostałych, a potem wracał do pracy nad swoją własną.

A więc jednak nie byli całkowitymi samotnikami. Lennox ostrożnie zbliżył się do nich, a wtedy wszyscy trzej przerwali swoje zajęcia i odwrócili się ku niemu. Chciał wyjaśnić, że przybywa w pokojowych zamiarach, ale nie miał strun głosowych, więc po prostu podturlał się w ich stronę. Gdy dzieliło go już tylko kilka stóp od najbliższego, przystanął, gotów do ucieczki w razie nagłego ataku.

Toczaki obserwowały go uważnie przez jakieś trzy minuty,

a potem, jeden po drugim, powrócili do swego zajęcia i przestały się nim interesować. Zbliżył się jeszcze bardziej, ale żaden z nich nie zwracał nań już w ogóle uwagi.

W końcu, nie umiejąc wymyślić kolejnego posunięcia, postanowił odejść. Odwrócił się i potoczył przez las, próbując się dopatrzyć sensu w dopiero co widzianej scenie. Czy oni się porozumiewali wzajemnie? A jeśli tak, to w jaki sposób? I czy było to świadome porozumiewanie się, czy tylko natknął się na trzy Toczaki, które po prostu miały kłopoty ze schwytaniem zdobyczy, takie jak on sam, i postanowiły połączyć swoje wysiłki? A jeżeli tak, czy to dowodzi, że są istotami rozumnymi?

Przyjął, że jedyną przyczyną, która z dużą dozą prawdopodobieństwa mogła wywołać atak Toczaka, była próba obrabowania go ze zdobyczy — ale to w najmniejszym stopniu nie ułatwiało mu życia. Dopóki nie nauczy się snuć misterniejszych sieci, będzie musiał plądrować cudze. Sam atak zresztą niekoniecznie był oznaką inteligencji; wszystkie zwierzęta, od owadów po największe drapieżniki, broniły swoich terytoriów i strzegły zdobyczy przed intruzami.

Jednak jeżeli Toczaki miały tak silnie rozwinięty instynkt terytorialny, to jak się to mogło stać, że trzy osobniki pracowały w tym samym miejscu? Wyposażono go we wszystkie posiadane przez nie zmysły, a nie potrafił znaleźć ani jednego takiego, który pozwoliłby mu się z nimi porozumieć. Nie mógł nawet zmieniać wyrazu twarzy. Skąd więc te trzy wiedziały, że powinny połączyć swe siły? Jaki instynkt podszeptał im, że działając razem, we trójkę, mogą zdobyć więcej pożywienia, niż polując osobno — a także skąd wiedziały, na terytorium którego miały zastawić sieci? Czy jeden z nich wezwał pozostałe dwa? A jeśli tak, to w jaki sposób?

Lennox zastanawiał się nad tymi pytaniami przez większą część dnia, wędrując bez celu przez las. Usiłując rozwikłać dręczące go zagadki tak się zatopił we własnych myślach, że nie zwracał uwagi na to, dokąd zmierza i ku swemu zdumieniu uświadomił sobie, iż dotarł do swojego pierwszego terytorium. Rozpoznał je po banalnych, pozbawionych wyobraźni wzorach rozwieszonych przed nim sieci.

Gdy porównał je z napotkanymi, będącymi dziełem innych Toczaków, a nawet z tymi, które sam usnuł poprzedniego dnia, prawie się zawstydził. Jak mógł w ogóle pomyśleć kiedykolwiek, że tak proste wzory potrafią zwabić zdobycz. Nagle jego język wyczuł dźwięki i wibracje wywołane przez coś, co szamotało się rozpaczliwie gdzieś w pobliżu, usiłując się uwolnić. Szybko obszedł sieci i w jednej z nich znalazł średniej wielkości gada.

Zwierzę było osłabłe, jak gdyby tkwiło tu, pozbawione wody i jedzenia, od paru dni — najprawdopodobniej tak właśnie było. Lennox zaskoczyło jednak nie to, że zdobycz jeszcze żyła, lecz przede wszystkim to, iż złapała się w sieć o tak prostym, pozbawionym wszelkiej fantazji, wręcz prymitywnym wzorze.

Dobił zwierzę szybko i bezboleśnie, a potem pożarł je łakomie. Posilając się, rozważał nowo uzyskaną informację, która przeczyła jego poprzednim wnioskom: najwyraźniej sieć nie musiała być tak skomplikowana i misterna, jak te, które znalazł. Nawet wykonana tak niezdarnie, według tak marnego pomysłu, mogła spełnić swoje zadanie.

W takim razie po co tracić czas na tworzenie bardziej skomplikowanych wzorów? Czy sieci stanowiły formę sztuki, co byłoby świadectwem inteligencji istot je tworzących? Czy też Toczaki były po prostu obdarzone instynktem, który nakazywał im kreować wymyślne desenie? A może poszczęściło mu się

zwyczajnie z tą jedną siecią, a bardziej wyszukane pułapki umożliwiały bardziej udane łowy?

Potrzebował więcej informacji, więc rozszerzył swoje terytorium o połowę i na nowym obszarze rozmieścił najbardziej skomplikowane sieci, jakie potrafił stworzyć. Potem zaczął przygotowywać się wewnątrz do czekających go tygodni nudy; wiedział, że wiele czasu musi upłynąć, zanim ta osobliwa baza danych udzieli mu kilku odpowiedzi.

W ciągu piętnastu dni w prymitywne pułapki wpadło jedenaście zwierząt i ptaków, w bardziej wymyślne — pięć. Ponieważ prostsze pokrywały dwukrotnie większy teren dało się wyciągnąć tylko jeden wniosek — złożoność sieci nie miała nic wspólnego z jej efektywnością.

Teraz należało zbadać, czy misterność wzorów służyła jakiemuś celowi, czy była jedynie przejawem instynktu.

Ponownie opuścił swoje terytorium i po jakichś dwóch godzinach natknął się na Toczaka, który przerwał snucie sieci i odwrócił się w jego kierunku. Nie wykazywał oznak agresji, więc Lennox zbliżył się do niego na odległość około dwóch stóp. Obcy przyglądał mu się uważnie przez chwilę, potem wrócił do pracy przy sieci. Co chwilę jednak przerywał ją i odwracał się ku Lennoxowi. Czy zaprasza mnie, bym zaczął tu snuć swoje sieci? Czy też po prostu zastanawia się, kiedy sobie w końcu pójdę?

Lennox nie miał pojęcia, czego od niego oczekiwano, ale na wypadek, gdyby się okazało, że zaproszono go, aby tu pozostał, przetoczył się do dwóch niskich drzew i zbudował pomiędzy nimi niezdatną, prostokątną sieć.

Toczek zbliżył się doń zdradzając oznaki wielkiego poruszenia. Rozszarpał sieć Lennox'a i na jej miejscu zaczął rozsnuwać nową.

Lennox przyjrzał się jej. Miała kształt koła, z ośmioma, wychodzącymi z centralnego punktu szprychami.

Dlaczego prostokąty są złe, a koła dobre?

Lennox podarł się i stworzył własne koło. Toczak przyjrzał mu się, a potem spojrzał na Lennox'a.

No dobra, to nie jest wspaniałe koło, ale ujdzie. Jest okrągłe. Czego, u diabła, jeszcze chcesz ode mnie?

Zaintrygowany Lennox odsunął się o parę stóp, by Toczak mógł pokazać mu, co robi źle, a co dobrze, lecz ten tylko na chwilę wyciągnął w jego kierunku język, a potem powrócił do sieci, przy której pracował poprzednio.

Lennox ruszył za nim, zatrzymał się w odległości kilku stóp od niego i przyglądał się jakiś czas, jak tamten pracuje. Toczak wkrótce skończył swe dzieło, potoczył się do jednej ze swoich starych sieci, podarł ją i zaczął snuć nową.

To jest bez sensu. Sieci wytrzymują całe tygodnie, przez cały czas zachowują taką samą lepkość jak tuż po zawieszeniu. Po co więc roździerasz tę i robisz nową?

Nagle wyczuł językiem śmiertelne przerażenie jakiegoś zwierzęcia. Toczak potoczył się szybko przed siebie, a za nim, utrzymując bezpieczną odległość, podążył Lennox. Duży ptak miotał się w sieci, bijąc skrzydłami i skrzeczając rozpaczliwie. Toczak natychmiast zabił go i zaczął jeść. Lennox zbliżył się na piętnaście stóp i obcy niezwłocznie wykonał pozorowany atak, wystarczająco jednoznacznie sygnalizujący agresję, więc Lennox się wycofał.

Czekał, aż tamten skończy posiłek. Gdy Toczak pozostawił mniej więcej trzecią część ptaka i odsunął się, Lennox ostrożnie podturlał się do tego, co zostało nie zjedzone. Toczak stanął i przyglądał mu się, nie zdradzał jednak chęci powstrzymania

go, więc Lennox z wdzięcznością połknął resztkę zdobyczy.

Kręcił się w pobliżu Toczaka przez następne dwie godziny, lecz ten nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, toteż Lennox w końcu postanowił wrócić na swój teren.

Dotarł tam tuż przed zapadnięciem nocy i spostrzegł, że jakiś inny Toczak dodał nowe elementy do wzorów jednej z sieci. Były to ciągi połączonych ze sobą trójkątów. W czasie obchodu te same motywy odnalazł we wszystkich swoich pozostałych sieciach.

Czy oznaczało to, że ktoś przejął jego posiadłość i powiadał go o tym? Nie umiał sobie odpowiedzieć na to pytanie.

Spędził noc obok jednej z sieci, mając nadzieję, że intruz poczeka z wizytą do rana i że do tego czasu wpadnie na pomysł, jak się z nim dogadać. Jednakże kiedy nastał świt, wciąż jeszcze był sam.

Rozpoczął obchód sieci i naraz wyczuł drgania, wywołane przez małe zwierzę szamoczące się w jednej z nich. Popędził w jej stronę — i natknął się na Toczaka stojącego pomiędzy nim a próbującym się bezskutecznie uwolnić gryzoniem.

Przez niemal pięć minut nieruchomo trwali naprzeciwko siebie. W ciągu tych pięciu minut Toczak ani razu nie usiłował go odpędzić ani też nie próbował zabić i zjeść zwierzęcia. W końcu Lennox, nie mogąc dłużej znieść napięcia, potoczył się naprzód.

Toczak natychmiast odsunął się na bok, umożliwiając mu swobodny dostęp do pułapki. Była to jedna z jego pierwszych sieci, tworzyło ją zaledwie pięć strun rozciągniętych pomiędzy drzewami, wyglądających zupełnie jak pięciolinia bez nut.

Lennox zabił gryzonia i gdy zaczął jeść, uświadomił sobie, że Toczak poruszył się i teraz na jego sieci wykonywał ten sam złożony z trójkątów wzór, który znalazł się na wszystkich pozo-

stałych sieciach. Nie próbował wydrzeć mu resztek posiłku, tylko cofnął się i przyglądał mu się wyczekująco.

Wiesz, że nie zamierzam cię zaatakować, czego więc ode mnie oczekujesz?

Tylko po to, żeby zobaczyć, co się stanie, Lennox owinął język wokół nie dojedzonego kawałka gryzonia i rzucił go Toczałowi. Ten pożarł go jednym kłapnięciem, a potem zbliżył się ponownie i utworzył na sieci ciąg połączonych ze sobą rombów.

Dlaczego wtedy trójkąty, a teraz romby? To coś oznacza — ale co?

Nagle spłynęło nań olśnienie.

Jeśli to w ogóle coś znaczy, on próbuje się ze mną porozumieć! Wypowiedź zmieniła się z trójkątów w te połączone romby. Co takiego mógłby mi teraz mówić, czego nie mówił przedtem?

Lennox spoglądał ze zdumieniem to na romby, to na Toczałkę, który stał w odległości kilku stóp i sprawiał wrażenie zadowolonego.

On mi dziękuje!

Lennox sięgnął pamięcią do wszystkich znalezionych sieci, do misternych wzorów, rzadko powtarzających się na kolejnych pułapkach. Przypomniał sobie spotkanego dzień wcześniej Toczałkę, który podał mu sieć dlatego, że nic nie znaczyła, a potem, gdy nie odpowiedział na usnutą przez obcego sieć, przestał się nim interesować.

Oczywiście! Jestem wioskowym przygłupem-analfabetą. Próbuje ze mną rozmawiać, a kiedy nie umiem odpowiedzieć, po prostu współczują mi i ignorują mnie!

Odwrócił się od sieci i sporządził na niej bezsensowny wzór.

Ten Toczak zareagował tak samo jak poprzedni, podarł ją i sporządził nową, tym razem jednak Lennox przyglądał się jej bardzo uważnie. Nie bardzo wiedział, jak dopytywać się o znaczenie wzorów, lecz miał już pewność, że dopóki będzie dzielić się z nim swoim pożywieniem, Toczak pozostanie w okolicy wystarczająco długo, by go tego znaczenia nauczyć. Miał to być długi, trudny proces, bardzo podobny do nauki nowego języka, ale uczenie się nowych języków było akurat jedną z jego specjalności i nie wątpił już ani przez chwilę, że w końcu znakomicie opanuje ten sposób porozumiewania się.

Jedenaście tygodni później pożegnał się ze swym mentorem i zaczął dogadywać się z pozostałymi Toczakami. Byli w posiadaniu czegoś, czego chciała Republika, i potrzebowali tłumacza, by mieć pewność, że uzyskają najlepszą możliwą cenę.

Zatrzymał się przy pierwszej napotkanej sieci i umieścił na niej wiadomość:

Pozdrowienia. Nazywam się Lennox. Przyrowadź tu jutro wszystkich swoich współbraci. Mamy ważne sprawy do omówienia.

Obszedł sąsiednie terytoria i wszędzie pozostawił podobne informacje, a kiedy powrócił na swój teren znalazł tam nagrodę w postaci krótkiej notatki:

„Przyjdziemy, bracie Lennox.”

26

Co wyście z nim zrobili? — krzyknęła Angela Stone.

ZAMGLONY HORYZONT

— Nic takiego, na co nie wyraził zgody — odparła Nora Wallace.

— Dlaczego nie mogę się z nim zobaczyć?

— Nie chce pani widzieć. Po prostu respektuję jego życzenie.

— Chcę to usłyszeć od niego!

— On nie potrafi mówić, panno Stone — odpowiedziała Nora.

— Co? — wykrztusiła osłupiała Angela.

— Nie ma strun głosowych.

— Ależ on uwielbia mówić! Sądzę, że bardziej lubił wygłaszać wykłady, niż pisać. Jak mogliście mu to odebrać?

— To była jego decyzja — odrzekła Nora. — Nie może rozmawiać ani z panią, ani z nikim innym.

— Mimo to chcę go zobaczyć.

— Nie sądzę, by to było rozsądne.

— A co pani wie? — warknęła Angela. — Nie jestem tylko jego eks-żoną. Jestem jego agentem. Muszę się z nim zobaczyć w sprawach zawodowych.

Nora Wallace westchnęła głęboko.

— Jeśli zaprowadzę panią do niego, zobaczy pani podobnego do ślimaka stwora bez rąk, nóg, oczu, uszu czy nozdrzy; coś, co widzi, słyszy i porozumiewa się wyłącznie manipulując piętnastocalowym językiem. Odżywia się żywymi zwierzętami i odmawia spożywania martwych. Jedynym jego sposobem poruszania się jest przetaczanie się po podłodze od jednej ściany pustego pomieszczenia do drugiej. — Przerwała na moment. — Czy jest pani naprawdę pewna, że chce go pani zobaczyć?

— Czy coś takiego w ogóle może żyć?

— Oczywiście. A w odpowiednich warunkach, na odpo-

wiedniej planecie, może radzić sobie nawet lepiej, niż byłaby w stanie któraś z nas. — Nora popatrzyła na stojącą przed nią oszołomioną kobietę. — Powiem bez ogródek: w Xavierze Lennoxie nie pozostało nic ludzkiego, nic, co pani mogłaby rozpoznać jako choćby cząstkę znanego pani kiedyś człowieka. Nie chce widzieć ani pani, ani żadnej innej istoty ludzkiej. Chce tylko, aby go jeszcze raz przekształcono.

— Jeśli nie może mówić, to skąd pani to wie?

— Tak przerobiliśmy komputer, by mógł posługiwać się nim za pomocą tego swojego niesamowitego języka.

— I w ten sposób rozmawia z wami?

— Porozumiewa się z nami w niezmiernie ograniczonym zakresie. Zdał sprawozdanie ze swojej ostatniej, uwieńczonej powodzeniem misji. Od tamtej pory jedynymi jego słowami są powtarzane w nieskończoność dwa krótkie zdania.

— Jakie zdania?

— Pierwsze brzmi: „Żadnych wizyt.” Drugie: „Przekształćcie mnie.”

— Może chce, byście mu przywrócili ludzką postać?

— Pytałam o to kilkakrotnie. Jediną jego odpowiedzią jest „kaftan bezpieczeństwa”, co, moim zdaniem, oznacza, że uważa pozostawanie w ludzkim ciele za równoważne z noszeniem kaftana bezpieczeństwa.

— Ile jeszcze operacji może przejść?

— Prawdopodobnie jedną, może dwie. Po prostu nie wiemy. On jest pionierem; nikt jeszcze nie przeszedł przez to, co on. Oprócz mózgu, serca i płuc, niewiele zostało z oryginalnego Lennox.

— Jak on może tak żyć?

— Będę z panią całkowicie szczerą, panno Stone. Jeśli zgo-

dzimy się przetworzyć go raz jeszcze, będzie to już jego ostatnie przekształcenie. Po każdym powrocie coraz bardziej niechętnie dzieli się z nami informacjami, które zdobył. Kiedy wykonywał swoje ostatnie zadanie, prowadził negocjacje w imieniu swojego nowego gatunku przeciwko Republice. Za każdym razem zmienia się, nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Och, potrafi znaleźć sposoby na zaadaptowanie się do warunków panujących na każdej planecie i na to, by stać się członkiem każdego społeczeństwa, ale sądzę, że gdybyśmy poddali go testowi psychologicznemu — próbowaliśmy, ale odmawia współpracy — mieściłby się w ludzkich normach. Uważam jednak, że jest jednocześnie absolutnie normalnym Toczakiem. Za każdym razem, gdy włącza się do grona istot tworzących jakieś obce społeczeństwo, traci część swego człowieczeństwa. Jedyne elementy, które, jak się wydaje, pozostały nie zmienione, to jego żądza wiedzy i umiejętność pokonywania wszelkich przeszkód, stawianych przed nim przez jego nowe światy.

— Zniszczyliście wspaniałą istotę ludzką — powiedziała gorzko Angela. — Gdybym wierzyła, że mam jakąkolwiek szansę na wygranie sprawy, oskarżyłabym was o morderstwo.

— Nigdy by się to pani nie udało — odparła Nora. — To wszystko były jego własne decyzje, nie moje. Czymkolwiek jest, czymkolwiek się stał, stanowi to rezultat jego własnych wyborów.

— Jeszcze możecie go przekształcić z powrotem w Xaviera Lennox.

Nora potrząsnęła głową.

— Moglibyśmy przywrócić mu znaną pani fizyczną postać Xaviera Lennox — choć byłoby to nielegalne bez jego przyzwolenia, którego on nigdy nie da. Ale jeśli nawet zgodziłby się

na tę przemianę, nie byłby Xavierem Lennoxem. Byłby kimś przepełnionym obcymi myślami wyrażanymi w obcych językach, kimś, kto widział i robił rzeczy, które większość ludzi doprowadziłaby do obłądu. Już same fizyczne transformacje wystarczyłyby do tego, by zmienić zwykłego człowieka w szalejącego psychopatę. Proszę pomyśleć: poddać się operacji i ocknąć się bez paru zmysłów i organów, które miało się przez całe życie, za to z kilkoma nowymi, nie dającymi się nawet opisać komuś, kto sam ich nie ma. — Przerwała na chwilę. — Dla mnie osobiście brzmi to przerażająco — lecz na istotę, która kiedyś była Xavierem Lennoxem, zdaje się działać jak narkotyki.

Angela Stone milczała przez bardzo długą chwilę. W końcu odetchnęła głęboko i popatrzyła na Norę Wallace.

— Jeśli jest czymś w rodzaju narkomana — powiedziała — to pani go takim uczyniła. Pani postępowanie wobec niego nie różni się ani trochę od postępowania handlarza narkotyków rozdającego towar dzieciom w szkole. Był człowiekiem o twórczym umyśle, człowiekiem bardzo operatywnym i działającym niezwykle efektywnie, kimś cholernie ważnym, a pani przemieniła go w poszukiwacza nieludzkich podniet. Jak pani może w ogóle znieść samą siebie?

— Tak długo, jak on może wytrzymać ze sobą, ja mogę znieść samą siebie — odparła Nora ostro. — Wiem, że on ma swoje własne cele, ale jak dotąd są one zgodne z potrzebami Republiki. Uratował trzy rasy obcych przed eksterminacją.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— Taki wyczyn, dokonany kosztem takich osobistych poświęceń, powinien być powszechnie znany — westchnęła. — Nigdy o tym nie napisze, prawda?

— Nie, na pewno nie.

Angela podeszła do drzwi.

— Wie pani o tym, że kochał muzykę. Czy kiedykolwiek będzie mógł znowu się nią cieszyć?

— Nie wiem.

— I kochał czytać. Im starsza i bardziej zniszczona była książka, tym bliższa była jego sercu. — Po chwili dodała: — Czy odkąd pani go zna, przeczytał choćby jedną?

— Nie, nie sądzę.

— Zanim dostał się w łapy waszego ministerstwa, był wspaniałym, niezwykle wartościowym człowiekiem.

— Niech mi pani wierzy lub nie, ale potrafię zrozumieć pani stanowisko, panno Stone — powiedziała Nora poważnie. — Gdyby w przyszłości chciała pani ze mną kiedyś porozmawiać...

— Nie — odparła Angela. — Nie mam już nic do powiedzenia.

Poczekala, aż drzwi się odsuną, a potem po raz ostatni odwróciła się do Nory.

— Czego on chce? — spytała z twarzą pełną niepewności i rozpaczy.

— Naprawdę nie wiem — odparła szczerze Nora. — Czasami wątpię, czy on sam to jeszcze wie.

27

Dzień dobry, Xavierze — powiedziała Nora, wchodząc do pustego pokoju.

ZAMGLONY HORYZONT

Toczek, choć pozbawiony oczu, wpatrywał się w nią, wyczuwając językiem jej zapach.

— Twoja była żona pojawiła się tu dzisiaj rano — Nora przerwała, by zobaczyć jaka będzie reakcja. — Powiedziałam jej, że nie chcesz się z nią widzieć.

Toczek nie odpowiedział.

— Tu jest twój komputer. Czy chciałbyś, żebym jej coś przekazała?

Toczek ani drgnął.

— Czy jest coś, co chciałbyś mnie powiedzieć?

Język Toczek wystrzelił w stronę komputera. **PRZEMIĘCIE MNIE.**

— Wiem, wiem — odparła Nora. — Czekamy, aż doktor Ngoni i jej zespół określą, czy możemy zmienić cię w to, w co chcemy.

PRZEMIĘCIE MNIE — powtórzył Toczek.

Nagle coś nowego przyszło Norze do głowy.

— Czy sprawia ci cierpienie to, że jesteś Toczekiem? Czy to dlatego chcesz jak najszybciej przejść kolejną serię operacji?

NIE. PRZEMIĘCIE MNIE.

— Powiedziałam ci: badamy możliwości.

Uspokajającym gestem położyła dłoń na grzbiecie Toczek.

Ten odskoczył tak gwałtownie, że aż się przestraszyła.

— Czy to zabolęło? — zapytała.

Toczek poturlał się z powrotem do komputera.

NIE DOTYKAJ MNIE WIĘCEJ.

— Nie chciałam sprawić ci bólu.

NIE BÓL. TYLKO WSTRĘT.

— Wstręt? — powtórzyła. — Przecież należymy do tego samego gatunku, Xavierze.

JUŻ NIE.

— Czy dotyk Świetlika lub Jastrzębioróżca byłby mniej przykry? — spytała Nora.

Żadnej reakcji.

— Nie odpowiedziałeś na pytanie.

PRZEMIEŃCIE MNIE.

— Ta rozmowa staje się zbyt jednostronna. Jeśli jeszcze raz napiszesz „przemieńcie mnie”, wyjdę.

MAM TO W DUPIE.

Uśmiechnęła się mimo woli. Lennox, którego znała, nie zanikł jednak całkowicie. A skoro się pojawił, postanowiła, że spróbuje wyciągnąć go nieco bardziej na powierzchnię.

— Czy w ogóle myślałeś, co zamierzasz robić po tej kolejnej transformacji?

Toczak zachowywał się, jakby w ogóle jej nie usłyszał, więc powtórzyła pytanie.

PRZEMIEŃCIE MNIE.

— Przecież, do cholery, przemieniamy cię! — rzuciła z irytacją. — Czy nic innego w całym wszechświecie cię nie interesuje?

PRZEMIEŃCIE MNIE.

— Tracę cierpliwość, Xavierze!

PRZEMIEŃCIE MNIE PRZEMIEŃCIE MNIE PRZEMIEŃCIE MNIE.

28

Przemienili go. Tam, gdzie kiedyś miał długie, muskularne ręce, teraz były duże błony, rozpięte na poskręcanych kończynach. Latać, oczywiście, nie mógł, ale był w stanie szybować.

Odkrył też, że mógł świadomie zmieniać swój metabolizm. Trening był nieskomplikowany: po prostu umieszczano go, pozbawionego jakiegokolwiek okrycia, w pomieszczeniach o różnych temperaturach, a on po kilku sekundach całkowicie się do nich dostosowywał. To samo było z pożywieniem: otrzymywał pochodzące z innej planety zwierzęta — gotowane i surowe — ziarna, a także różne szkodliwe płyny, które zabiłyby dawnego Xaviera Williama Lennox, człowieka. On zaś spożywał to wszystko bez najmniejszej przykrości czy groźnych efektów ubocznych.

Ponownie mógł mówić, lecz potrafił jedynie wydawać delikatne brzęczące dźwięki, przypominające te, jakie słychać, gdy jednym kryształem trąca się drugi. Nie był w stanie artykułować żadnych słów, lecz przypuszczano, że istoty należące do tego gatunku porozumiewają się ze sobą za pomocą melodii i modulacji głosu. Dlatego też koloniści ochrzcili je Śpiewakami.

Znów miał oczy — ogromne, wielofasetowe, zdolne do widzenia w niemal całkowitej ciemności. Jego wielkie uszy potrafiły wyłowić dźwięki pojedynczych skrzypiec spośród pięćdziesięciu grających tę samą melodię.

Twarz mogła przypominać oblicze olbrzymiego owada, ale ciało z pewnością było ludzako podobne do lśniącego, srebrnego pocisku. Dłonie — a właściwie szpony — wyrastały z krawędzi błon skrzydłowych. Nogi — miał ich trzy — nie bardzo nadawały się do biegania, ale gdy raz wczepił się nimi w podłoże, jedy-

nie huragan mógłby go ruszyć z miejsca wbrew jego woli. Miał wreszcie na dłoniach i stopach małe przysawki, dzięki którym mógł wchodzić na najgładsze ściany i zatrzymywać się tam na dowolnej wysokości, w dowolnej pozycji, bez najmniejszej obawy, że spadnie w dół.

Zadanie miał tym razem proste i jasne. Dziewięciuset kolonistów na Monticello IV zapadło na morderczą chorobę wywoływaną wirusem, roznoszonym przez podobne do ślimaków, mikroskopijne stworzonka żyjące i rozmnażające się w wodzie, którą pili. Zanim znaleźli sposób uzdatniania wody, cała kolonia została już zakażona. Choroba rozwijała się bardzo powoli, podobnie jak ziemski AIDS sprzed dwóch tysięcy lat, ale nie leczona była tak samo śmiertelna.

I oto, gdy już się zdawało, że nie ma na nią żadnego remedium, przydzieleni do kolonii na Monticello lekarze odkryli, że Śpiewacy, jedyny gatunek istot rozumnych, jaki wydała planeta, mieli we krwi bakterie zabijające wirusa. Jeden litr krwi Śpiewaka zawierał akurat tyle bakterii, ile było potrzeba do wyleczenia jednego człowieka.

Ponieważ choroba rozwijała się powoli, a Republika świetnie zdawała sobie sprawę, że jest powszechnie uważana za agresora, dano Lennoxowi trzy miesiące na dotarcie na Monticello, nawiązanie kontaktu ze Śpiewakami i nakłonienie ich, by dobrowolnie ofiarowali krew w ilości wystarczającej do zlikwidowania zarazy. Jeśliby nie udało mu się uzyskać zgody w tym terminie, miała wkroczyć armia, która zdobyłaby potrzebną do celów leczniczych krew siłą, a rozlałaby jej przy tej okazji niewątpliwie znacznie więcej.

Lennox protestował, że trzy miesiące to za mało, że tyle czasu może mu zająć samo opanowanie podstaw języka, ale Mini-

sterstwo Spraw Pozaiudzkich nie było skłonne do żadnych ustępstw. Mógł się zgodzić na te warunki i zostać Śpiewakiem, mógł pozostać Toczakiem, mógł wreszcie powrócić do ludzkiej postaci. Czwartej możliwości nie było.

W tej sytuacji podjął decyzję, która nie zaskoczyła nikogo.

29

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że większość Śpiewaków żyła w soczyście zielonych dolinach. Od czasu do czasu któryś z nich zbliżał się zbytnio do przejść prowadzących do sąsiednich, również zamieszkałych przez Śpiewaków dolin, a wtedy ze szczytu wzgórza spływał strażnik, unoszony prądami termicznymi, szybując z wdziękiem i ostrzegał go swoim melodyjnym, krystalicznym głosem.

Taki w każdym razie wniosek wyciągnął Lennox na podstawie obserwacji, jakie poczynił przyglądając się im z góry. Potem statek Republiki wysadził go w odległości paru mil od pierwszej z połączonych dolin. Odetchnął głęboko świeżym, czystym powietrzem — i w nozdrza uderzył go nieznany aromat, tak słodki i oszałamiający, że zaczął się wręcz ślinić. Ruszył w kierunku, z którego zapach ów napływał i wkrótce dotarł do doliny, gdzie przebywało blisko pół setki Śpiewaków, a wtedy pojął, co go tu zwabiło. Wszystkie obecne tu osobniki były rodzaju żeńskiego, a część z nich znajdowała się w okresie rui.

Zdażył zrobić zaledwie parę kroków w głąb doliny, gdy nagle usłyszał głośną, ostrą melodię nad głową. Spojrzał w górę

i zobaczył Śpiewaka nurkującego ku niemu z wysuniętymi szponami i otwartą paszczą.

W ostatniej chwili uchylił się i gdy Śpiewak rozłożył skrzydła nabierając wysokości, Lennox zaczął biec na swoich trzech nogach, najszybciej jak potrafił, trzymając się zbocza stanowiącego granicę doliny. Zanim znalazł się w bezpiecznym przejściu pomiędzy pierwszą i drugą doliną, Śpiewak jeszcze trzykrotnie próbował go osiągnąć.

Lennox stał bez ruchu i ciężko dysząc próbował zrozumieć to, co przed chwilą się stało. Wszedł do doliny pełnej samic i momentalnie zaatakował go samiec. Dlaczego? Czy Śpiewak bronił swojego terytorium, czy haremu? A może jednego i drugiego?

Przeście miało około siedemdziesięciu jardów i Lennox doszedł do jego końca. W drugiej dolinie również była grupa samic, a gdy spojrzał w górę, zobaczył dwa samce szybujące ku sobie w wyraźnie wrogich zamiarach. Spotkały się z potężnym łomotem, mniej więcej sześćdziesiąt stóp ponad dnem parowu, i mniejszy z nich natychmiast runął w dół. Zdołał rozpostrzeć skrzydła na moment przed upadkiem na ziemię i wzniósł się tukiem w powietrze, wciąż jeszcze ścigany przez większego samca. Nie znalazł prądu wstępującego wystarczająco silnego, by zdołał go przenieść nad krawędzią zbocza i wylądował mniej więcej na wysokości dwóch trzecich skalnej ściany. Większy samiec rzucił się na niego z zębami i pazurami, a on rozpaczliwie się broniąc, krok za krokiem wycofywał się w kierunku wierzchołka zbocza. Gdy tam dotarł, skoczył w górę i zniknął za granią.

Lennox spędził resztę dnia ukryty w przejściu, obserwując, jak — to w jednej, to w drugiej dolinie — dominujące samce przepędzały kolejnych konkurentów, którzy co parę godzin rzu-

cali im wyzwanie.

W końcu, zaraz po świcie następnego dnia, jeszcze jeden samiec wtargnął do drugiej doliny. W odróżnieniu jednakże od tych, którzy wlatywali do niej i podejmowali walkę z władającym nią ze szczytu zbocza Śpiewakiem, wkroczył dnem doliny, pochylony, ze szponami złożonymi razem nad głową i bezwładnie opuszczonymi skrzydłami. Śpiewak spojrzął raz tylko w dół na przybysza, a potem — kiedy ten zatrzymał się przy strumieniu, ugasił pragnienie i ruszył w stronę przejścia, w którym ukrywał się Lennox — nie zwracał już nań w ogóle uwagi.

W momencie gdy nowo przybyły opuścił dolinę, rozplótł szpony i zaczął iść wyprostowany. Zobaczywszy Lennoxą zatrzymał się i przemówił śpiewnym, krystalicznym głosem. Lennox próbował odpowiedzieć, powtarzając te dźwięki, ale nie został zrozumiany, więc w końcu zamilkł i przyglądając się Śpiewakowi czekał na to, co ten zrobi.

Przybysz zaśpiewał po raz ostatni, a potem przeszedł obok i wkroczył do pierwszej doliny, znów pochyliwszy się i zaplótłszy szpony nad głową. Lennox doszedł do wniosku, że była to postawa uległości, postanowił ją naśladować i mszył w ślad za tamtym, w odległości kilku stóp od niego. Idąc przez dolinę ani razu nie spojrzął w górę, ale znajdujący się ponad nimi Śpiewak tym razem w ogóle nie próbował go atakować, więc przebyli ją bez przeszkód.

Idący przodem odwrócił się ponownie i zanucił coś do niego. Lennox nie odpowiedział, lecz za pomocą gestów, jakie był w stanie wykonać przy ograniczonej ruchomości rąk i dłoni, pokazał, że chce mu nadal towarzyszyć. Śpiewak ponownie coś powiedział, potem ruszył dalej, a Lennox podążył za nim.

Po przejściu ponad pięciu mil dotarli do rzeki, najprawdo-

podobniej tej samej, która płynęła przez doliny. Nad jej brzegiem obozowały setki samców i Lennox zauważył, że niemal wszystkie były albo bardzo stare, albo bardzo młode. Te nieliczne, które nie należały do żadnej z obu grup wiekowych, nosiły ślady świeżych ran.

Większość była zajęta chwytaniem ryb i owadów. Lennox przyłączył się do nich. Wiedział, że jego ciało przyswajało każdy pokarm i równie dobrze mógłby zerwać parę owoców z pobliskich drzew — wyczuwał jednak także, że potrzebuje białka, którego większą ilość mógł uzyskać zjadając zwierzęta.

Inni Śpiewacy łapali ryby, posługując się prymitywnymi sieciami, lecz Lennox nie miał ochoty przez cały dzień, czy nawet dłużej, wymachiwać siecią, wszedł więc do wody, schylił się i rozpostarł skrzydła tuż nad powierzchnią. Ryby, uciekając z okolic nagranych słońcem, wpływały w stworzony przezeń sztuczny cień. Bardzo ostrożnie zanurzył palce w wodzie i gdy jakaś ryba znalazła się pomiędzy nimi, pochwycił ją i szybko wyrzucił na brzeg. Powtórzył ten manewr jeszcze dwukrotnie, a wtedy zbliżyło się kilku Śpiewaków, obserwując go z nieukrywaną ciekawością.

Wyrzuciwszy na brzeg szóstą rybę Lennox wyprostował się i wyszedł z wody. Podał jedną swemu towarzyszowi wędrówki, a cztery rzucił starym, przywiędłym Śpiewakom, którzy sprawiali wrażenie mocno wygłodniałych. Łapali ryby i szybko z nimi uciekli, ten zaś, który przyprowadził go nad rzekę, usiadł obok niego i zaczął jeść.

Lennox pokazał rybę pytającym gestem, Śpiewak powiedział coś, Lennox powtórzył, tamten poprawił wymowę i tak zaczęła się jego edukacja językowa. Do zmroku nauczył się dwudziestu kilku słów i nabrał pewności, że po tygodniu, a może nawet

wcześniej, będzie w stanie porozumieć się w podstawowych sprawach. Dalsze postępy, podobnie jak przy nauce innych języków, zależały jedynie od pilności.

W ciągu dnia, gdy nie uczył się nowych słów, analizował swe dotychczasowe obserwacje i doszedł do pewnych wstępnych wniosków. Tutejszy podstawowy porządek społeczny bardzo przypominał ten, jaki obowiązywał wśród wielu stadnych zwierząt, które widział na Ziemi i innych planetach. Dominujące samce wyznaczały swoje terytoria — w tym wypadku doliny — i próbowały zatrzymać każdą samicę, jaka znalazła się w ich włościach. Nieliczni pretendenci do tronu usiłowali pokonać ich w pojedynku i przejąć haremy. Pozostałe samce, za stare, za młode czy za słabe by stanąć do walki, żyły na peryferiach, w koloniach kawalerskich. Niektórzy przygotowywali się po raz pierwszy do zdetronizowania któregoś dnia dominanta i odebrania mu haremu; inni z rozrzewnieniem wspominali dawno minione czasy, gdy sami mieli własne haremy, a jeszcze inni, Lennox był tego pewien, lecząc swoje rany liczyli dni dzielące ich od kolejnej próby pokonania któregoś Śpiewaka patrolującego z grani swoje terytorium.

Gdy po raz pierwszy wszedł do doliny, został zaatakowany, ponieważ wkroczył tam wyprostowany, a ta postawa dla dominującego Śpiewaka wyrażała niewątpliwie wyzwanie i kojarzyła mu się z zagrożeniem. Kiedy się pochylił i splótł szpony nad głową, dał w ten sposób władcy do zrozumienia, że chce jedynie przejść przez dolinę i nie zamierza podejmować żadnych prób odebrania mu nawet części haremu... a ponieważ nawet Śpiewaków-dominantów mogły wyczerpać ustawiczne boje o utrzymanie supremacji, bardzo chętnie pozwalali demonstrującym odpowiednią uległość samcom przechodzić swobodnie

przez swoje terytorium.

Lennox przez prawie dwa miesiące przebywał nad rzeką wśród kawalerów. Codziennie kilku z nich wyruszało, by sprawdzić swoją odwagę w walce z dominującymi Śpiewakami. Zazwyczaj wracali po kilku godzinach liżąc rany. Czasami nie wracali w ogóle. A czasami — zdarzało się to jednak bardzo rzadko — dołączał do grupy pokonany Śpiewak, który właśnie stracił harem, poszarpany, okrwawiony i przepętniony wściekłością — niekiedy tak ciężko poraniony, że cała jego nienawiść i gorycz zmieniały się w pochłaniającą wszystko litość nad samym sobą.

W końcu Lennox uznał, iż opanował język na tyle, że może przedstawić kawalerom swoją sprawę. Zebrał ich kilkuset i wyjaśnił im, że ludzie, którzy osiedli na Monticello IV, zapadli na śmiertelną chorobę, i że uda się ich wyleczyć tylko wtedy, jeśli w przybliżeniu tysiąc Śpiewaków ofiaruje im trochę swojej krwi. Poprosił, by zgłaszali się na ochotnika ci, którzy zdecydują się zostać dawcami, oraz ci, którzy mogliby przekazać wiadomość do innych kolonii kawalerów.

To było kompletne fiasko.

Nie widzieli żadnych powodów, by oddawać krew, czy cokolwiek innego obcym, którzy nieproszeni przybyli na ich planetę. Poza tym zetknęli się z ludźmi tylko raz, gdy przybysze schwyтали i zabili czterech z nich, by dokonać sekcji i poznać sekret ich odporności. Nie zaliczali ludzi do swoich ulubionych ras i uważali, że im prędzej umrze ostatni człowiek, tym lepiej.

Lennox nie spierał się z nimi. W głębi duszy zgadzał się ze wszystkim, co mówili. Zamierzał jednak przedstawić Norze Wallace swoje własne żądania, gdy już wykona powierzone mu zadanie, i zdawał sobie sprawę, że ma większe szanse uzyskać

to, czego chciał, jeśli jego misja zakończy się sukcesem. Poza tym jego porażka oznaczałaby wyrok śmierci dla tysięcy Śpiewaków — a on sam przecież był Śpiewakiem.

Zaczął więc rozważać różne warianty i w końcu wymyślił coś, co dawało największe prawdopodobieństwo rozwiązania jego problemu.

Wyszukał w korycie rzeki kilka ostrych kamieni i na trzy dni przeniósł się z kolonii do pobliskiego lasu. Przez ten czas zgromadził odpowiednio mocne i mające właściwy kształt gałęzie, a następnie obrobił je za pomocą kamieni i sporządził w ten sposób około trzydziestu krótkich, grubych włóczni. Zaniósł je do obozu kawalerów, ułożył w zgrabny stosik i ponownie zebrał swoich towarzyszy.

— Jeżeli pokażę wam, jak pokonać Wielkich — (była to miejscowa nazwa określająca dominantów) — ilu spośród was pozwoli ludziom wziąć niewielką ilość krwi od wszystkich samic należących do waszych haremów?

— Nie możemy ich pokonać — odezwał się jeden ze Śpiewaków. — Dlatego właśnie my jesteśmy tutaj, a oni tam. Są silniejsi.

— Udowodnię wam, że mimo to możecie ich zwyciężyć.

— Jak?

— Ja sam pokonam pierwszego Wielkiego — powiedział Lennox. — Lecz jedynie ci, którzy zobowiążą się udostępnić mi krew ze swoich haremów, będą mogli to oglądać i uczyć się.

Większość Śpiewaków nie umiała się zdecydować, lecz siedmiu, skuszonych wizjami seksu i chwały, które zamajaczyły przed ich wielofasetkowymi oczami, zgodziło się na warunki Lennox. Spodziewał się, co prawda, że będzie takich więcej, ale ta siódemka stanowiła przecież dopiero początek. Był pewien, że

gdy ci zwyciężą, inni pójdą ich śladem.

Wyciągnął ze stosu osiem włóczni, włożył je sobie pod ramię i na czele siedmiu ochotników ruszył w stronę dolin. Kiedy dotarli do pierwszej z nich, polecił Śpiewakom, by przyjęli postawę uległości, weszli do środka i przyglądali się uważnie temu, co się będzie działo.

Wszyscy wyrazili zgodę, lecz żaden się nie ruszył.

— O co chodzi? — zapytał Lennox. — Powiedziałem wam, żebyście weszli do doliny.

— Zanim zdołasz wspiąć się na grań i zaatakujesz Wielkiego, upłynie co najmniej godzina — odpowiedział jeden ze Śpiewaków. Poczekamy, aż znajdziesz się w połowie drogi i dopiero wtedy wejdziemy. W ten sposób nie będziemy musieli czekać zbyt długo.

— Idźcie od razu — rzekł Lennox. — Wszystko potrwa mniej niż minutę.

— To niemożliwe, żebyś tak szybko znalazł się na górze.

— Nie zamierzam w ogóle się wspinać.

— Rezygnujesz z korzyści, jakie daje lot, i mimo to spodziewasz się zwyciężyć? — zdziwił się Śpiewak. — To się nigdy nie uda.

— Dotychczas nigdy się nie udało — poprawił go Lennox. — A teraz wejdźcie do doliny.

Siedmiu Śpiewaków popatrzyło nań jak na wariata, ale zgodnie z jego życzeniem ruszyli naprzód, pochyleni z rękami splecionymi nad głową.

Lennox starannie ułożył włócznie na ziemi, wybrał najmocniejszą i wyprostowany wkroczył do doliny.

W chwilę później usłyszał wściekły okrzyk Wielkiego, spojrział w górę i zobaczył, że ten nurkuje ku niemu z wyciągniętymi

szponami i wyszczerzonymi zębami. Cierpliwie czekał, aż atakujący znajdzie się tuż nad nim, a wtedy oparł włócznię o ziemię i przykucnął tak że jej ostrze znajdowało się jakąś stopę ponad jego głową. Wielki, który nigdy dotąd nie widział broni, kontynuując atak i próbując dosięgnąć przeciwnika nadział się na włócznię, a Lennox spokojnie odszedł na bok i zaczął się przyglądać agonalnemu drgawkom Śpiewaka.

W chwilę później siedmiu samców zbliżyło się doń ostrożnie, z przerażeniem wpatrując się w martwego Wielkiego.

— Widzicie? — odezwał się Lennox. — Jeśli postąpicie tak samo jak ja, to jeszcze przed zachodem słońca każdy z was zdobędzie harem dla siebie.

— Zabiłeś Wielkiego, a nie masz nawet jednego zadrapania na ciele! — wykrzyknął jeden z nich.

— Nawet nie spotkałeś się z nim na skrzydłach wiatrów! — zdumiał się inny.

— To nie było konieczne — odparł Lennox, a następnie wyjaśnił im i zademonstrował sposób użycia broni, potem zaś wręczył każdemu z nich po jednej włóczni.

Nim zapadł zmrok było już siedmiu nowych Wielkich, a gdy wieść dotarła do kolonii kawalerskiej, zgłosiło się więcej ochotników, niż Lennox potrzebował. A zanim minął tydzień dokonana się pełna wymiana Wielkich, zaś Lennox wystął zespołowi medycznemu Republiki wiadomość, że zgromadził dla nich ponad tysiąc dwustu krwiodawców.

Teraz nadszedł czas jego ostatecznej konfrontacji z Norą Wallace.

30

Gdy Nora Wallace weszła do pokoju, Lennox pracował przy komputerze. Pozostał nadal Śpiewakiem, a ponieważ nie było tu żadnych odpowiednich dlań mebli, po prostu uczeplił się ścianymieszczonymi na stopach przyssawkami i wisiał równolegle do podłogi, zaś jego owadzie oczy znajdowały się w odległości kilku cali od holograficznego ekranu.

Ujrzawszy wchodzącą Norę oderwał się od ściany i stanął przed nią, usiłując ukryć wstręt, jaki w nim budziła, podobnie jak ona starała się ukryć obrzydzenie, które odczuwała na jego widok.

— Dzień dobry, panie Lennox — odezwała się.

Jego odpowiedź była dla niej całkowicie niezrozumiała.

— Właśnie wróciłam z centrali Ministerstwa na Deluros VIII — ciągnęła. — Nasz budżet został obcięty — no, dobrze, przydzielony komu innemu — i dotyczący pana program stracił dotację. — Przerwała na chwilę, i próbowała się zorientować jaka jest jego reakcja, ale nie dostrzegła żadnej. — Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Jak mówiłam panu po ostatnim cyklu operacji, zdaniem zespołu doktor Ngoni zdoła pan przeżyć jeszcze tylko jedną transformację.

Lennox patrzył na nią, jak gdyby czekał, co powie dalej.

— W uznaniu pańskich wyjątkowych zasług dla Republiki przyznano wystarczającą kwotę na pokrycie kosztów tej transformacji, ponieważ jednak nie mamy dla pana żadnego zadania, ma pan wolny wybór. Może pan stać się członkiem dowolnej rasy — lub powrócić do ludzkiej postaci.

Lennox postąpił krok naprzód i napisał swoją odpowiedź na

komputerze.

NIGDY.

— Tak myślałam — mruknęła Nora.

Napisał coś jeszcze.

— To nic nie znaczy, panie Lennox — oświadczyła. — Wszystko jest pomieszane i zniekształcone. Część z tego wygląda na jakiś zawiły deseń, a tu narysował pan coś, co przypomina zapis nutowy.

MÓJ BŁĄD. CORAZ TRUDNIEJ PRZYCHODZI MI MYŚLENIE W ZIEMSKIM.

— Co to za język?

TO NIEWAŻNE. Przerwał, by uporządkować myśli i nadać im formę zrozumiałą dla niej. DUŻO MYŚLAŁEM O KOLEJNEJ TRANSFORMACJI.

— Doktor Ngoni powiedziała mi, że może pan wybrać formę przedstawiciela dowolnej rasy tlenodysznej oprócz Domarian i Molluteich.

WIEM, CZEGO CHCĘ.

— To dobrze. Czego więc?

PATRZ.

Wprowadził kilka komend i komputer powoli poskładał hologram.

— Nigdy przedtem nie widziałam czegoś takiego — oznajmiła Nora, przyglądając się obrazowi. Jest naprawdę piękne. — Przez chwilę z natężeniem wpatrywała się w ekran. — Ktoś mógłby nawet powiedzieć, że budzi grozę. Na jakiej planecie żyje?

NA ŻADNEJ — odpowiedział. Po czym dodał: JESZCZE.

— Czy to pańskie własne dzieło? — zapytała, dziwiąc się samej sobie, że nie jest szczególnie zaskoczona.

WASZE DZIEŁO. MÓJ PROJEKT.

— Będzie pan musiał skonsultować się z doktor Ngoni — odparła Nora. — Przypuszczam, że wszystko jest możliwe, ale dlaczego stworzył pan taki właśnie projekt?

PODOBA MI SIĘ.

— Chce pan spędzić resztę swojego życia jako... takie coś? To bez sensu.

A CO MA WIĘCEJ SENSU?

Nora rozważyła to pytanie, zdała sobie sprawę, że nie potrafi na nie odpowiedzieć i wzruszyła ramionami.

— Co będzie pan robił po przybraniu takiej formy?

MAM PRACĘ.

— Powiedziałam już: straciliśmy dotacje.

MOJĄ PRACĘ, NIE PRACĘ DLA WAS.

— Czy zechciałby mi pan powiedzieć, na czym ma ona polegać? — zapytała Nora.

NIE. NIE MAM OCHOTY.

— Albo gdzie zamierza pan ją wykonywać?

NA PLANECIE, DO KTÓREJ BĘDĘ PASOWAŁ.

Raz jeszcze przyjrzała się hologramowi.

— Nigdy nie było planety, do której by *to* pasowało.

TO ZNAJDŹCIE JĄ.

— Zrobię co w mojej mocy. Jesteśmy to panu winni.

TAK, JESTEŚCIE.

Nora zrobiła kilka wydruków dzieła Lennox, ukazujących je ze wszystkich stron.

— Podrzucę je doktor Ngoni — powiedziała. — Jestem pewna, że będzie chciała omówić z panem szczegóły. — Podeszła do drzwi i zawahała się.

— Być może widzę pana po raz ostatni. Przeniesiono mnie

do Gromady Albion.

Stworzenie, które już nie było Xavierem Williamem Lennoxem, pogrążone głęboko we własnych myślach, nie odpowiedziało. Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, a potem wyszła z pokoju, nie powiedziawszy mu, że czuła się dumna z roli, którą odegrała w dziwnych kolejach jego losu, a zarazem zawstydzona.

31

Jedyny mieszkaniec Alfa Bengston II, od niedawna nazywanej się Xavier, stał na powierzchni planety i przyglądał się jak statek, który go tu przywiózł, znika w stratosferze, powracając do światów Republiki.

Był fascynującą istotą. Miał wielofasetkowe oczy Śpiewaka, obdarzone zarazem zdolnością widzenia w ciemności, właściwą Świetlikom. Z czoła wyrastał mu róg o jednej ostrej krawędzi, posiadający wszystkie właściwości odbiorczego rogu Jastrzębirozców. Z jego ust wysuwał się język Toczaka, którym wyczuwał niesione powiewem zapachy i odbierał sygnały o wszelkich ruchach w otoczeniu.

Z pleców wyrastały mu dwa skrzydła Śpiewaka, umożliwiające szybowanie. Jego ciało pokrywały pióra — tworzyły jednak nie ów żółto-pomarańczowo-niebieski wzór charakterystyczny dla *droika*, lecz olśniewający, błyszczący, wielobarwny deseń zapożyczony z sieci Toczaków. Potężne, muskularne ramiona kończyły się silnymi dłońmi o dwóch przeciwstawnych kciu-

kach, a trzy nogi, szczupłe lecz mocne, zakończone były okrągłymi stopami Jastrzębiorożców, stopami, które postawione na ziemi rozpląszczały się szeroko, a uniesione — natychmiast się kurczyły.

Wysłuchany w pełne zadowolenia dźwięki wydawane przez pobliskie zarośla wypróbowywał inne możliwości swego nowego ciała: teleskopowe ręce i nogi, wydawanie szerokiej gamy dźwięków — od delikatnego podzwaniania do zwalającego z nóg ryku. Ze sprawdzeniem skrzeli musiał poczekać do czasu, gdy znajdzie jakieś jezioro lub rzekę, a o tym, jak widzi w podczewieni miał się przekonać dopiero po zapadnięciu ciemności.

Zbadał otoczenie. Na zachodzie piętrzyło się pasmo gór, a na północy musiała się znajdować jakaś woda — jego ruchliwy, długi język wyczuł jej zapach dobiegający z tamtej strony. Gdzieś tutaj były czekające na odkrycie lasy i doliny, sawanny i pustynie. Były też ptaki, zwierzęta i ryby, jakich dotąd nigdy nie widział, a które można było badać, chwycić i jeść.

Stwór wsłuchiwał się przez pewien czas w swoje myśli i uczucia, bezskutecznie próbując w nich odnaleźć choć trochę żalu, że już nigdy nie zobaczy człowieka. Ludzie osiągnęli swoje cele, nadszedł czas, by się zajął realizacją własnych zamierzeń. Rozpakował i uruchomił komputer i generator, jedyne dwa przedmioty, jakie przywiózł do swego nowego świata.

Najbliższe miesiące, a nawet lata, powinny być pracowite. Czekają go tłumaczenie biblii Świetlików, opisanie i sformułowanie zasad niewiarygodnie skomplikowanego języka Toczaaków, skomponowanie symfonii filozoficznej Śpiewaków, spisanie historii Jastrzębiorożców. Należało nauczyć się posługiwać nowym ciałem. Było też jeszcze coś innego — dziwne myśli i obce obrazy — które powinien wyjaśnić, zanim jego czas do-

biegnie kresu.

Czas był jego największym wrogiem. Tyle przecież musiał zrobić, tak wiele zrozumieć. Może kiedyś, jeśli pożyje wystarczająco długo, posłucha nawet zagrzebanych głęboko w jego duszy okruchów tego, co w nim pozostało po Xavierze Williamie Lennoxie, i spróbuje odzyskać kontakt z dawno pożegnanym człowieczeństwem.

Lecz owa częśćka z każdym dniem stawała się coraz mniejsza i w jakiś sposób wiedział, że zniknie na zawsze, zanim się nadarzy taka sposobność.

KONIEC



Biblioteka Fantastyki

Na planecie Grotamana, zwanej przez ludzi Medina, Xavier William Lennox, autor literatury podróżniczej i tajny agent Ministerstwa Spraw Pozaludzkich, zostaje schwytyany podczas próby obserwacji miejscowego rytuału religijnego i bezlitośnie okaleczony za ów akt świętokradztwa.

Ale pragnienie poznania tajemnicy jest silniejsze niż groźba unicestwienia. Lennox wraca na Medinę w ciele ukształtowanym tak, by niczym nie różniło się od ciała Medińczyka...

Jedna z najlepszych powieści Resnicka, w której przygoda splata się fascynująco z metafizyczną tajemnicą niezwyklej spekulacjami filozoficznymi i antropologicznymi.



T00300979

ISBN 83-7179-103-8



9 788371 791031 >